

WOJNY

urojone

Andrzej ZIEMIAŃSKI



ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI
Wojny Urojone

Na zastępującym iluminator monitorze obraz skakał tak bardzo, że nawet kiedy Fletcher starł osiadającą na nim wilgoć, nie mógł odróżnić przesuwających się powoli konstelacji. Zniechęcony opadł na fotel i zapalił kolejnego papierosa. Wolną rękę odruchowo włożył za kołnierz, a tą z papierosem dotknął stojącej przed nim szklanki. Herbata była zimna. Zamierzał ją podgrzać, gdy do kabiny wpadł zdyszany Tłuścioch z teczką wypchaną dokumentami.

–Masz wolna chwilę?

–Właściwie... – Fletcher wskazał leżące w nieładzie papiery.

–Nie zajmę ci dużo czasu. Sam też się spieszę – Tłuścioch, nie bacząc na dezaprobatę malującą się na twarzy Fletchera, usiadł naprzeciwko niego.

–Masz coś do picia? To bieganie w kółko wykańcza mnie.

Zanim zdążył zareagować, Tłuścioch sięgnął po stojącą na biurku herbatę.

–I jak ci się podoba nasza sytuacja? – spytał po krótkiej chwili.

–Mmm?

–Jak zareagowałeś na to wszystko?

Fletcher wzruszył ramionami.

–A mnie szlag trafia – Tłuścioch oparł drżące dłonie na wyświechtanych poręczach fotela.

– Chociaż myślę, że gdybym dawniej nie czytał o tym tak wiele, czułbym się jeszcze gorzej.

–Co ma do tego czytanie?

–Impregnuje nerwy – Tłuścioch uśmiechnął się lekko. – Wydaje mi się teraz, że wszystko już kiedyś przeżyłem.

Fletcher strzepnął popiół i zaciągnął się głęboko.

–Redfield zgodził się wreszcie wysłać ludzi na Ziemię – kontynuował Tłuścioch. – Ciekawe, dlaczego dopiero teraz? Te rozgrywki w dowództwie paraliżują wszystkie działania.

–Nie interesuje mnie to.

–Nie żartuj. Jak długo można tkwić na orbicie w tych rozlatujących się trumnach? Ani Centaur, ani Vega nie były obliczone na tak długi okres użytkowania. Praktycznie większość naszych urządzeń jest już nieczynna albo właśnie zbliża się do momentu śmierci technicznej.

–Chcesz lecieć na Ziemię?

–Tak. Tam się dzieje coś dziwnego.

Fletcher podniósł oczy.

–Przejrzałem wyniki badań satelitarnych...

–To mamy jeszcze satelity?

–Graty – Tłuścioch machnął ręką. – Ale mniejsza z tym. Przyniosłem ci wyniki, żebyś mógł się z nimi zapoznać – rzucił teczkę na biurko.

Z przepelnionej popielniczki wypadło kilka niedopałków.

–Wykryli coś?

–Niewiele. Warto to jednak przeczytać. – Tłuścioch spojrzął na zegarek. – Wpadniesz do mnie jeszcze dzisiaj? Odniósłbyś teczkę, a ja nie musiałbym wracać tu na górę.

Fletcher skinął głową.

–Duszno tu u ciebie. Wentylator nie działa? – Tłuścioch wstając otarł pot z czoła. – Zostawię otwarte drzwi na korytarz.

Fletcher mruknął coś niezrozumiale. Odczekał, aż ucichnie odgłos kroków, zamknął na

powrót drzwi i wyrzucił zawartość teczki na biurko. Przez chwilę bezmyślnie w niej przewracał, potem wypił resztkę herbaty i rzucił się na koję. Opierając głowę o wysoką poręcz, przyglądał się swoim poślódkom od nikotyny palcom.

Tonąca w półmroku mesa była prawie pusta. Jedyne gdzieś z boku, pod jedną z odrapanych ścian, siedział Snyder, drzemiąc skulony nad pustym talerzem. Na odgłos kroków podniósł jednak głowę i zaczął przecierać podkrążone oczy.

–Można dostać coś ekstra? – spytał Fletcher.

–Kisiel.

–A oprócz niego?

–Tylko kisiel.

Fletcher machnął ręką. Podeszedł do małego okienka w cienkim przepierzeniu dzielącym salę i odsunął lepką od tłuszczu roletę.

–Jest coś do picia?

–Kisiel w płynie! – krzyknął z tyłu Snyder.

Kucharz wściekły wystawił głowę. Na widok Snydera cofnął ją jednak i odpowiedział w miarę spokojnym głosem:

–Mogę zrobić herbatę.

–Tylko?

Kucharz otworzył usta, ale ostre trzaśnięcie drzwiami sprawiło, że zamknął je z powrotem i przezornie wycofał się w głąb zagraconego pomieszczenia za przepierzeniem.

–Anuluję wszystkie zamówienia tego człowieka! – krzyknął rozkraczony w wejściu Greetz. Potem wycelował w Fletchera palcem: – Szef cię wzywa.

–Co się dzieje?

–Jeśli nie liczyć ciągłych kradzieży, kłótni i bójek w korytarzach, jest zupełnie spokojnie. – Greetz skrzywił się boleśnie. – Kompletna demoralizacja.

–W takim razie może jednak... – Fletcher kiwnął głową w stronę kuchni. – Zaraz umrę z głodu.

–Nie. Landau chce cię widzieć zaraz. Obojętnie, żywego czy martwego. – Przynaglająco kiwnął ręką. – Chodź!

–Landau? – Fletcher powoli ruszył w jego kierunku. – Przecież mówiłeś, że szef.

–Twój szef. – Greetz zapalił latarkę, oświetlając nią wyłożony pokruszonymi, plastikowymi płytami korytarz. – Oszczędzamy energię – wyjaśnił.

–Wylączając światło?

–Możemy jeszcze odciąć ciepłą wodę.

Minęli rząd studzienek, które owionęły ich zapachem pleśni i fermentacji. Tuż za zakrętem fetor zgnilizny wzmógł się. W wąskim strumieniu światła majaczyły teraz zdeptane, zbite w jedną masę rośliny, z których większa część ledwie wystawała spod powierzchni mętnej, zastalej wody.

–Teraz uważaj – Greetz podniósł głos, żeby przekrzyczeć jednostajny świst tłoczonego powietrza. – W komorze hibernatorów jest zwarcie i...

–Chyba nie chcesz powiedzieć, że ta woda jest pod prądem?!

–Nie – krzyknął Greetz, ślizgając się pomiędzy stosami przegniłych kartonowych pudeł. – Ale może być.

Pokonując obrzydzenie, Fletcher położył dłoń na pordzewiałej ścianie, czując osypujące się płaty lakieru.

–Słuchaj – Greetz odwrócił się nagle. – Wiesz może, co jest grane?

–O co ci chodzi?

–Nie udawaj durnia. Chcę wiedzieć, dlaczego nie lądujemy?

–Ziemia milczy. Głucho na wszystkich kanałach.

–To wiem.

–Więc czego chcesz jeszcze?

Greetz osłonił twarz przed spadającymi z góry kroplami wody. Zrobił ruch, jakby chciał usiąść w sparciałym fotelu wybebeszonego transportera, ale zaraz ruszył dalej.

–Widziałem plan ewakuacji – powiedział po chwili. – Zakłada wyekspediowanie na Ziemię obu załóg we wszystkich naszych ładownikach...

–Zmieszczą się? – przerwał mu Fletcher.

–Tak. Po wymontowaniu całego zbędnego sprzętu i... i bez możliwości powrotu na statki. Dlatego plan przewiduje pozostawienie tu na jakiś czas załóg szkieletowych.

–Tak cię to przeraża?

–Nie to. Ale zrozum. Żeby zmniejszyć masę, u celu wyprawy pozostawiliśmy cały sprzęt eksploracyjny, dosłownie wszystko. Powiedzmy, że uda się, upychając ludzi jak sardynki, przetransportować obie załogi w tym, co jeszcze mamy. Ale co dalej?

Fletcher ciągle sunąc ręką po ścianie poczuł nagle, jak dłoń zanurza się w czymś zimnym. Cofnął ją i starając się omijać drobne strużki chłodzących płynów, oparł o biegnący pod sufitem rurociąg.

–Jak, do cholery, zapewnić miejsce do spania i zaopatrzenie dla dwóch tysięcy osób? – ciągnął Greetz. – Przecież w tej skali najmniejsze problemy nabierają ogromnej wagi.

Ręka Fletchera była już lepka od smaru, którym niedbale pociągnięto spoiny rurociągu. Co chwilę przystawał, żeby zaczerpnąć tchu, ale parne powietrze nie przynosiło żadnej ulgi.

–Przecież nie damy rady bez sprzętu. – Greetz zatrzymał się, sprawdzając jakieś znaki na ścianach. – Trzeba będzie zbudować domy... Ale z czego? Z drewna? Skąd na przykład wziąć dwa tysiące siekier?

–Mówisz poważnie?

O ile było to widoczne w mroku, Greetz wzruszył ramionami.

–Najgorsze jest to, że nikt z dowództwa nie powiedział ani słowa na temat tego planu. Odbitki krążą wśród ludzi, a oni milczą...

–Myślisz, że chcą nas na coś przygotować?

–Nie wiem. Nie wiem nawet, co myślę.

Przestronna sala, do której weszli, była oświetlona dużo lepiej. Wszędzie wały się pokieroszowane panele, z których wymontowano zespoły na części zamienne, puszki po oleju, dziurawe kanistry i całe tony nierozpoznawalnego złomu.

Greetz oparł plecy o zaśnieżoną szybę.

–To tutaj Landau uwił sobie gniazdko – powiedział, wskazując obite skórą drzwi. – Jeszcze chwilę – dodał, widząc, jak Fletcher kładzie rękę na klamce.

–Nie chciałbym, żebyś myślał, że się łamię – mruknął po chwili przerwy. – Wiem, że wracamy na Ziemię, delikatnie mówiąc, trochę później, niż zakładano, i nie oczekuję żadnych

komitetów powitalnych. Ale sprzęt się sypie. Musimy zrobić coś konkretnego, bo będzie za późno!

Fletcher, mrużąc oczy, obserwował drgające w rozgrzanym powietrzu sylwetki kręcących się bez celu ludzi.

–Co tam mogło się stać, do cholery? – ciągnął Greetz. – Nagle kilku facetów zaczęło pieścić swoje atomowe guziki?

–Ale zrobiłeś się nerwowy... – Fletcher zerknął na spoconą twarz Greetza. – Masz jakiś konkretny plan?

Tamten jakby oprzytomniał i uśmiechnął się kwaśno.

–Tak. Założymy nową ludzkość. Skoro mamy na pokładzie dwa tysiące osób, możemy założyć kolonię.

Fletcher popatrzył na niego z nagłym zainteresowaniem.

–Zawsze wiedziałem, że z tobą jest coś nie w porządku – mruknął.

–Dlaczego?

–Przecież wiesz, że mamy dwa tysiące mężczyzn. Ani jednej kobiety!

Pomieszczenie, w którym Landau ustawił swoje biurko, nigdy nie było gabinetem, ale po usunięciu z niego sprzętu przeciwpożarowego, gaśnic, parcianych przewodów, wydawało się dużo bardziej przytulne niż większość mieszkalnych kabin. Fletcher usiadł na twardym drewnianym krześle pod ozdobioną pustymi zaczepami ścianą.

–Dobrze, że przyszedłeś – powiedział cicho Landau, ani na chwilę nie podnosząc oczu znad rozłożonych na zniszczonym blacie papierów. Trudno go było podejrzewać o telepatyczne zdolności, ale najwyraźniej wiedział, z kim rozmawia. – Co pijesz? Ciepłe? Zimne?

–Mocne.

Landau uśmiechnął się lekko, wskazując na syczący automat.

–Mam tylko to.

Fletcher sięgnął po papierowy kubek. Gorąca kawa nieprzyjemnie szczypała podrażniony papierosową smołą język.

–Czy to prawda, że zamienimy się w jaskiniowców? – spytał.

–Co masz na myśli?

–Krażą słuchy, że przy ewakuacji ładowniki będą tak przeciążone ludźmi, że nie starczy miejsca na jakikolwiek sprzęt.

–To prawda – Landau dopiero teraz odłożył pióro i rozparł się w fotelu. – Ale jest inne wyjście. Dysponujemy planem rozmieszczenia starych wojskowych magazynów...

–Chyba nie sądzisz, że coś w nich jeszcze będzie?

–Wprost przeciwnie. Chodzi mi tylko o te magazyny, gdzie składowano częściowo zużyty sprzęt, zbyt przestarzały, aby stosować go w linii, ale dostatecznie dobry, żeby latać nim dziury w zaopatrzeniu na wypadek wojny.

–Taka rezerwa, której użyto by w razie zniszczenia przemysłu?

–Tak. Jest tam wycofana broń, środki transportu, łączności, wyposażenie medyczne, kwatermistrzowskie, materiały pędne... Magazyny ukryto w sztolniach pod grubą warstwą skał i były tak tajne, że można mieć sporą nadzieję na wykorzystanie ich zawartości.

–Ale po tylu latach...

–Bez przesady. Wszystko pakowano w kilkuwarstwowe plastikowe pokrowce,

odpompowywano stamtąd powietrze i wtłaczano obojętne gazy. W tym stanie każdy przedmiot może przetrwać wieki.

Fletcher odstawił kubek z kawą i zapalił papierosa.

–Skąd masz te plany?

Landau zmrużył oczy.

–Może ktoś przewidział sytuację, w jakiej się znaleźliśmy?

Fletcher wypuścił gęsty kłęb dymu.

–Mógłbyś mi wyjaśnić, co się dzieje na dole? – spytał, przecierając załzawione oczy.

–Ja również chciałbym wiedzieć. – Landau odsunął leżące przed nim papiery. – Czytałeś raport grupy nasłuchu?

–Mmm... Przeglądałem – Fletcher nerwowo potarł brodę.

–A więc w ogóle nie miałeś go w ręku. Raport zawiera tylko jedno zdanie: Nie stwierdzono obecności jakichkolwiek fal elektromagnetycznych pochodzących ze sztucznych źródeł. Wygląda na to, że na Ziemi nie ma już radia, telewizji, radarów ani żadnych innych nadajników. Przynajmniej pracujących.

Fletcher wzruszył ramionami.

–A satelity?

–Otrzymujemy zdjęcia fatalnej jakości. Może później uda się wypuścić coś lepszego.

–Ale chyba wiadomo, co się dzieje na powierzchni planety?

–Z grubsza – Landau przesunął palcami po zmatowiałym blacie biurka. – Miasta są opuszczone od dawna. Nie zamieniły się jeszcze w gruzy, ale niewiele im brakuje. Liczbę ludzi na całej planecie oceniamy na jakieś dwadzieścia do trzydziestu milionów.

–A przemysł?

–Nie zauważyliśmy jakichkolwiek jego śladów. Cała ludność najprawdopodobniej skupia się w niewielkich, bardzo od siebie oddalonych ośrodkach rolniczych. Jednak, mimo że zaobserwowano tylko bardzo proste uprawy, to budownictwo nie wydaje się aż tak prymitywne...

–Nie jest prymitywne? W jakim sensie?

–Trudno wypowiedzieć się autorytatywnie na podstawie tak skąpych materiałów, ale myślę, że te budowle są zbyt duże i skomplikowane jak na potrzeby małych, rolniczych społeczności. Nie chodzi tu nawet o metody montażowe... Jeśli brać pod uwagę wyłącznie technologię, to można by było wybudować coś takiego już w trzynastym, czternastym wieku, ale funkcje... Nie rozumiem, po co mieliby...

–A po co były Egipcjanom piramidy?

–Właściwie masz rację – Landau wstał nagle i podszedł do pociemniałej szyby zastępującej jedną ze ścian. Tuż za nią ziała tonąca w mroku przepaść. Tylko gdzieś w głębi błyskały niewyraźnie światelka towarowych wind.

–Redfield zdecydował się wreszcie wysłać na rekonesans kilkudziesięciu ludzi. Ich zadaniem będzie sprawdzenie wojskowych magazynów, ewentualnie uruchomienie sprzętu, założenie bazy i tak dalej... W związku z tym, w przeciwieństwie do następnych, ta wyprawa będzie stosunkowo dobrze wyposażona – Landau zawiesił głos. – Zarezerwowałem dwa miejsca dla moich ludzi – odwrócił się i popatrzył na siedzącego.

Ten jednak nic nie powiedział.

–Chciałbym wysłać kogoś zaufanego – podjął Landau.

–I tym kimś mam być ja?

–Miło mi, że zgłosiłeś się na ochotnika.

Fletcher z całej siły zdusił w popielniczce wypalonego zaledwie do połowy papierosa.

–Z kim chcesz lecieć? – Landau ponownie zajął miejsce w fotelu.

–Z Tłuściochem – powiedział Fletcher po chwili wahania.

–To znaczy z Richardsem?

–Tak.

–Dobrze. W takim razie wyjaśnię ci, na czym polega wasze zadanie.

–Myślałem, że założenie bazy, magazyny...

–Tym zajmą się inni – wpadł mu w słowo Landau. – Wy dwaj od razu po wylądowaniu ruszycie w stronę najbliższego skupiska ludzi. Oficjalnie musicie się dowiedzieć, po pierwsze, jaką techniką dysponują ci ludzie i, po drugie, co się stało z naszą cywilizacją.

–Domyślam się, że ciebie interesuje co innego...

–Tak. Ja chciałbym wiedzieć wszystko o strukturze władzy tam na dole. I jeszcze jedno – Landau wyjął ze stojącej na biurku kasetki papierosa. – Sprawdzisz, czy istnieje tam jakaś zorganizowana opozycja. Jeśli tak, to nawiążesz z nią kontakt.

–Opozycja? W rolniczej wspólnoty?

–Wszystko jest możliwe...

–Ale jak mam ich znaleźć? Wywiesić na każdym domu ogłoszenie, że poszukuję partyzantów?

–Kwestie techniczne pozostawiam wam. Na pewno sobie poradzicie.

Fletcher ukrył twarz w dłoniach. Potem odchylił się na krześle tak, że stało teraz tylko na dwóch nogach, i odruchowo wsunął rękę za kołnierz.

–Jak mam cię informować? Nie chcesz chyba, żebym przesyłał informacje, normalnymi kanałami?

–Oczywiście. Dostaniesz radiostację o zasięgu umożliwiającym bezpośrednią łączność pomiędzy Ziemią a Vega i Centaurem.

–Z tego, co słyszałem, wynika, że będę ją dźwigał na plecach!

–Trudno. Ale nie przejmuj się. Nie jest taka ciężka...

Fletcher wznosił oczy ku sufitowi.

–Skąd wiesz, że po wylądowaniu Redfield wyśle na rekonesans akurat mnie i Tłuściocha? – spytał po chwili. – Skąd wiesz, że wyśle kogokolwiek?

Wargi siedzącego na fotelu mężczyzny lekko zadrgały.

–Na pewno uda mi się doprowadzić do tego, że pójdziecie właśnie wy – powiedział cicho. – Po awarii ładownika będzie musiał kogoś wysłać, bo zorganizowanie dużej ekspedycji ze sprzętem z magazynów bardzo się opóźni.

–Po awarii ładownika?!?

–Konkretnie po jego rozbiciu. Muszę odpowiednio wcześniej dysponować wszystkimi informacjami. Da mi to lepszą pozycję przetargową w rozgrywce z Redfieldem.

–Chcesz rozwalić ładownik tylko po to, żeby... żeby...

–Żeby móc was wcześniej wysłać.

–Rany boskie, świat się kończy, a wy ciągle swoje...

–Co za słowa! – Landau uniósł ręce w geście zdziwienia. – Była cywilizacja i nie ma cywilizacji. Nie mogę się podporządkować Redfieldowi z tak blahego powodu.

Zapadła ciszę dopiero po dłuższej chwili przerwał Fletcher.

–W tej sytuacji jak przewieźć na Ziemię radiostację? Nie włożę jej przecież do zasobników, bo i tak będą przepelnione.

–Weźmiesz ze sobą i przymocujesz do uprząży spadochronu jako kitbag.

–Tak jak robią komandosi?! Skakałeś kiedyś z promu kosmicznego obciążony kitbagiem?!

Landau machnął ręką.

–Jak zwykle tylko mnożysz trudności.

Fletcher cicho westchnął.

–Ty zawsze potrafisz mnie załamać. Nie wiem, dlaczego cię nie powiesilem.

–Gdybyś się teraz zdecydował, to spróbuj najpierw w tej części statku, gdzie nie ma ciężenia. Nabierzesz wprawy.

Landau otworzył szufladę biurka i wyjął z niej szczelnie zaklejone kartonowe pudło.

–Masz – powiedział pojednawczym tonem. – Przyda ci się, gdy będziesz w sytuacji bez wyjścia.

–Co to jest? Granatnik czy składana szubienica?

–Zobaczysz – Landau znowu machnął ręką. Tym razem ze zniecierpliwieniem. – A swoją drogą mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego ciągle trzymasz rękę za kołnierzem?

–To taki gest bez sensu – mruknął Fletcher, cofając dłoń.

–Co?

–Takie przyzwyczajenie. Snyder opowiadał mi kiedyś historię obrony pracy doktorskiej Redfielda...

–Tak?

–Podobno po zakończeniu rozprawy wstał jakiś stary profesor i krzyknął, że to stek bzdur. „Kompletną bzdurą byłoby jedynie to – odparował niewzruszony Redfield – gdyby włożył pan teraz rękę za kołnierz i wyciągnął królika”. Profesor tak się zaperzył, że wbiegł na podium i krzyknął: „Jeśli ma to przekonać pana o bezsensowności tej pracy, to proszę!”

Fletcher poprawił opadający kosmyk włosów.

–I wiesz – ciągnął – staruszek przy całym audytorium, w centrum wszystkich spojrzeń, rzeczywiście rozluźnił krawat, wpakował rękę za kołnierz i...

–I wyciągnął? – spytał Landau.

–Co?

–No... królika.

Fletcher, zaskoczony, spojrział w jego kierunku. Twarz Landaua była poważna.

–Żartujesz?

Landau wyglądał, jakby się nagle ocknął.

–Przepraszam... tak mi się powiedziało – mruknął.

Milczeli przez chwilę. Potem Fletcher powoli wstał.

–W takim razie... ja już chyba pójdę.

Landau skinął głową. Pewien nieuchwytny wyraz jego twarzy wskazywał jednak, że problem królika wyraźnie go nurtował.

Fletcher zaciągnął się chciwie, czując, jak żar parzy go w język. Wyrzucił niedopalek,

włożył do ust gumę i żuł ją wściekle, marząc o jeszcze jednym papierosie. Stojący obok Tłuścioch również wiedział, co się stanie, ale w przeciwieństwie do dłoni Fletchera, jego wielkie lapska od dłuższego czasu tkwiły nieruchomo w kieszeniach, najmniejszym drgnięciem nie zdradzając, co się działo w myślach ich właściciela.

–Richards! Fletcher! Garnki pod pachę i włączyć do dziury. – Głos Mc'Cooleya, mimo twardej intonacji, brzmiał dziwnie cicho. – Co jest? Mam przed wami otwierać włazy?

Tłuścioch wziął obydwie helmy, a Fletcher podniósł toporny prostopadłościan radiostacji. Potem kolejno precyzyjnie przeszli przez wąskie przejście. Snyder wskazał im miejsca, ale panujący wewnątrz ładownika rozgardiasz sprawił, że zajęli swoje fotele zasapani i spoceni.

–Nie, to się nie może dobrze skończyć... – Tłuścioch masował żebra po ciosie czyjegoś łokcia. – Mam już dość.

–Ciszej, do jasnej cholery! – Mc'Cooley starał się przekrzyknąć hałas wypełniający ciasne pomieszczenie. – Zajmować miejsca... Swoje miejsca! Gdzie siadasz, durniu?!

Ktoś z tyłu przepychał się do kabiny łączności, trzymając w wyciągniętych nad głowę rękach rolki magnetycznych taśm. Strofowany przez Mc'Cooleya Jeffers cofnął się, wpadł na tamtego i taśmy znalazły się na podłodze.

Fletcherowi udało się zapiąć zaczepy w fotelu, ale jak zwykle fatalnie poplątał pasy.

–Zgaście światło! – krzyknął pilot. – Nie widzę, co się dzieje na ekranie.

–Nie! – klęczący na podłodze Mc'Cooley uderzył głową w czyjąś nogę.

Ostry brzęczyk na konsoli łączności przerwał kłótnię między Snyderem i nawigatorem.

–Słucham! – mikrofon w dłoni Snydera zadrżał, kiedy pilot założył mu słuchawki. – Tak, jesteśmy gotowi do startu.

–Nie, jeszcze nie! – Mc'Cooley co prawda wstał z podłogi, ale okazało się, że tymczasem zniknął gdzieś jego hełm.

–Karabinek nie zaskakuje – odezwał się ktoś z boku, wymachując końcówką pasa.

–To zmień fotel! Słucham? – Snyder zbliżył mikrofon do ust. – Na pewno się nie mylę. Tak, wszystko w porządku!

–Światło! Zgaście to cholerne światło! – krzyknął pilot.

Popychany przez Jeffersa nawigator wydobyl wreszcie hełm Mc'Cooleya spod czyichś nóg.

–Nie, nie trzeba otwierać włazu – powtarzał Snyder. – Tu naprawdę nie dzieje się nic szczególnego.

–Światło... – zaczął pilot w momencie, kiedy nagle zapadła ciemność.

–Wszyscy gotowi? – krzyknął Snyder. – Startujemy.

–O Boże... – rozległ się czyjś cichy głos.

Kiedy oczy przywykły do rozjaśnionego jedynie mżącą z monitorów zielenią mroku, Fletcher nachylił się do przodu. Boczne kamery były teraz unieruchomione, ale przednia pokazywała wyraźnie, jak puszczają trzymające ładownik uchwyty. Wysunęli się z doku całkiem sprawnie. Niestety, po odłączeniu od macierzystego statku zanikła grawitacja i jakieś przedmioty zaczęły latać w ciasnej kabynie. Opadły wprost na głowy siedzących z tyłu osób, kiedy pilot włączył ciąg. Oddalali się od Vega bardzo powoli, przyspieszenie wzrosło dopiero po minięciu Centaura. Po chwili jednak znowu spadło do zera.

–Długo będziemy czekać w tej cholernej nieważkości?

Snyder spojrział na zegarek.

–Niecałe sześć minut.

Pilot zbliżył twarz do najbliższego monitora.

–Zaraz, ja tu mam napisane co innego...

–Obojętnie. I tak wystartuje nas komputer.

Tłuścioch znowu pokręcił głową.

–Dasz sobie radę z kitbagiem? – spytał Fletchera.

–Zobaczymy.

–Przy skoku musisz to mocno trzymać – Tłuścioch końcem palca dotknął leżącej na kolanach Fletchera radiostacji. – Jeśli puścisz, masa złamie ci szczękę.

–Dziękuję za pocieszenie. – Fletcher przymocował końcówki dwóch długich taśm do własnych pasów. – Ta cholerna uprząż nie jest przystosowana do kitbagów...

Tłuścioch chciał coś powiedzieć, ale nagle przyspieszenie rzuciło go na oparcie fotela. Z zewnętrznej kieszeni skafandra wyjął kraciatą chustkę i wytarł gromadzący się nad brwiami pot. Fletcherowi również było gorąco, ale bał się ruszyć, żeby jeszcze bardziej nie poplątać opasujących go taśm.

–Wchodzimy w atmosferę? – spytał, kiedy rozległ się cichy szum.

Tłuścioch skinął głową, potem dyskretnie podniósł oparcie swojego fotela.

–Już?

–Chyba nie. Jesteśmy jeszcze zbyt wysoko.

Ujemne przeciążenie stawało się coraz bardziej przykre. Gdzieś z góry posypały się drobinki złuszczonego lakieru. Kilka minut potem ładownikiem zaczęło rzucać tak, że pilot musiał wygaszać poprzeczne drgania.

–Jaką mamy wysokość? – spytał Snyder.

–Ponad dwadzieścia tysięcy metrów. Potwornie rzuca.

–Czuję. – Snyder znowu podniósł mikrofon. – Kabina radia? Macie łączność?

Któryś z nawigatorów przechylił się nad poręczą swojego fotela.

–Dlaczego tak podskakujemy?

–Nie wiem – pilot nawet nie odwrócił głowy. – Pudło się rozlatuje.

Z tyłu dobiegł szmer nerwowych rozmów. Kolumny cyfr i wykresy trajektorii na ekranach drgnęły nagle i zaczęły się zmieniać z rosnącą ciągle szybkością.

–Czy to awaria komputera? – Snyder ciągle jeszcze mówił spokojnym głosem.

–Nie wiem – krzyknął pilot.

–Spróbuj to opanować!

–Nie mogę. Kobyła sypie się zupełnie.

Snyder odruchowo dociągnął pasy.

–Skaczemy?

–Spróbuj wyrównać! – krzyknął Mc'Cooley. – Ten grat idzie za ostro w dół.

Z tyłu rozgorzała klótnia.

Pilot jednak od kilku chwil przyjął klasyczną pozycję ewakuacyjną, podciągając nogi pod brodę i wsuwając głowę w specjalną rynienkę. Najwyraźniej nie zamierzał ryzykować wyciągnięcia ręki w kierunku wolantu.

–Włożyć helmy!

Tłuścioch pomógł Fletcherowi dopiąć zatrzaski.

–Cisza! – okrzyk Mc’Cooleya przerwał dochodzące ze słuchawek rozmowy. – Trzymać języki za zębami, bo podczas odpalenia foteli sami je sobie odgryziecie.

Fletcher zauważył, jak Snyder dotyka czegoś na tablicy rozdzielczej, ale całe to zdezelowane żelastwo wokół trzęsło się i podskakiwało tak, że nie mógł zogniskować wzroku. Ryk alarmowej syreny zmieszał się z hukiem odrzucanych osłon, a potem fotel Fletchera wystrzelił w dół. Spomiędzy jego nóg, niczym gigantycznych rozmiarów fallus, wysunął się teleskopowy pręt z nasadką tworzącą przed nim stożek Macha. Mimo tego potworne przeciążenie pozbawiło go oddechu, z ogromną siłą wciskając mu w brzuch radiostację. Oślepienie jaskrawymi promieniami słońca oczy łzawiły, nie pozwalając na dostrzeżenie czegokolwiek. Czuł jedynie, jak rozkładane stateczniki stabilizują fotel, zmniejszając trochę ucisk ciśnieniowego kombinezonu.

Po dłuższej chwili prędkość znacznie zmalała, automatyczne łącza puściły i Fletcher został wyrzucony z fotela głową w dół. Oczy ciągle piekły i bolały, ale zdołał zauważyć kilkanaście ciemnych sylwetek szybujących gdzieś nad nim. Z boku opadały kontenery ze sprzętem, a jeszcze dalej ciągnął się gęsty warkocz dymu, znaczący drogę pustego ładownika. Uważając, żeby nie przekościolkować, Fletcher zmienił pozycję, tak że leciał teraz prawie poziomo, wprost w oślepiąco białe chmury. Przez głowę przemknęła mu myśl, że pod spodem mogą być skały. Nie mógł nic zrobić, więc zamknął oczy i zaczął liczyć. Wytrzymał tylko kilkanaście sekund i kiedy otworzył je z powrotem, był właśnie w gęstym, rozmazanym w strugi mleku. Zacisnął zęby. Nie uważał się za doświadczonego spadochroniarza, ale nie sądził również, że tak trudno będzie mu walczyć z coraz silniejszym uczuciem strachu. Tylko to, że musiał trzymać tańczącą wściekle radiostację, powstrzymywało go od sięgnięcia do oznaczonej czerwonym kolorem rękojeści. Na szczęście po chwili do świstu rozdieranego powietrza dołączył szum rozwijającej się torlenowej płachty. Ostre szarpnięcie przywróciło Fletcherowi normalną pozycję. Ciągle otoczony białym oparem, powoli popuszczał taśmy kitbagu. Kiedy uwolnił ręce, wsunął kciuki pod pasy okalające uda i podciągnął kolana pod brodę. W momencie wyjścia z chmur siedział już wygodnie w uprzęży, z radiostacją wahającą się lekko kilka metrów niżej. Odetchnął z ulgą. Teraz groziło mu najwyżej złamanie nogi lub ręki, więc z większym spokojem rozejrzał się wokół. Przed nim aż po horyzont widać było tylko wody jakiegoś morza, z tyłu i z lewej ciągnął się brzeg ze stromą, zalesioną skarpą, ocieniającą wąski pas piasku. Fletcher ściągnął taśmę z linkami nośnymi po lewej, wykonując boczny ślizg w stronę plaży. Kiedy czasza zaczęła się obracać, puścił taśmę i widząc, że kontury brzegu rosną w coraz szybszym tempie, skrzyżował ręce, żeby wykonać skręt do lądowania. Błyskawicznie złączył nogi w kostkach i kolanach, a potem ugiął je, podciągając się na szelkach. Kiedy radiostacja uderzyła w ziemię, jego własna prędkość spadła tak, że wylądował dość łagodnie. Spadochron szarpnął jednak, wywrócił go na piasek i pociągnął do wody. Fletcher szybko wybrał dolne linki gasząc czaszę, ale otaczająca wilgoć spowodowała napętnienie kamizelki ratunkowej i gumowej łódki na plecach. Stękając z wysiłku, zdjął kamizelkę, rozciął spadochroniarskim nożem łódkę i wreszcie zdjął hełm.

–Czy zstąpiłeś z nieba, synu?

Fletcher odwrócił się gwałtownie, ale zaplątany w linki i stosy gumy upadł z powrotem do wody.

–Czy cię czymś uraziłem?

Wstał z trudem, ściskając w ręku nóż. Kilka kroków przed nim stał siwy, ogorzały od wiatru starzec. Jego brązowy, bardzo zniszczony płaszcz łopotał w podmuchach wiatru.

Fletcher wciągnął w płuca chłodne, wilgotne powietrze.

–Kim jesteś? – spytał.

–Nazywam się Monroe. Przechodziłem tędy.

Głos starca brzmiał głośno i mimo pewnych zniekształceń w akcentowaniu mógł być głosem kogokolwiek z Centaura lub Vegi. Fletcher czuł, że ogarnia go podniosły nastrój.

–Cieszę się, że cię widzę – powiedział.

–Ja też.

–Czy jesteś sam?

–Nie.

Twarz staruszka przybrała uduchowiony wyraz.

–Czy twoi bracia też zstąpią z nieba?

Fletcher spojrział w górę.

Gdzieś w lesie, z głośnym trzaskiem łamanego drzewa, lądowały zasobniki. Ktoś usiłując rozplatać linki, zsuwał się po skarpie. Tłuszcioch wylądował w wodzie, Mc'Cooley na plaży, a Snyder na Mc'Cooleyu. Luźne spadochrony tych, którym udało się je odpiąć, sunęły leniwie wzdłuż brzegu. Czyjaś uszkodzona raketnica wystrzeliwała kolorowe race, a dochodzące ze wszystkich stron wrzaski i przekleństwa mieszały się z wyciem sygnalizacyjnych syren kontenerów ze sprzętem.

–Właśnie zstąpili – powiedział Fletcher. – O to ci chodziło?

Staruszek spojrział na niego trochę nieprzytomnie.

Mgła, która pojawiła się wkrótce po lądowaniu, zgęstniała do tego stopnia, że mimo wczesnej pory zrobiło się prawie mroczno. Przygnębiająca atmosfera sprawiała, że większość ludzi skupiła się na plaży, gdzie owinięty w spadochron Mc'Cooley rozmawiał ze staruszką.

Fletcher jednak miał dość ich towarzystwa. Szczękając z zimna zębami, ruszył wzdłuż skarpy, a potem, kiedy znikły ostatnie, porozrzucane na piasku skafandry, wspiał się pod górę. Minał ledwie majaczące w strzępiastej bieli krzewy i wszedł między drzewa. Przejmujący chłód bezlitośnie wdzierał się pod cienki sweter, powodując coraz silniejsze dreszcze. Fletcher przyspieszył kroku, ale po chwili znowu zwolnił. Gdzieś z boku dobiegł go odgłos cichej rozmowy. Skręcił w tamtą stronę, wspiał się na niskie, prostopadle do poprzedniej skarpy zbocze i prawie wpadł do rozpalonego tuż za wierzchołkiem ogniska. Siedzący wokół ludzie niechętnie podnieśli głowy. Fletcher rozpoznał Snydera, Reissa i jeszcze kogoś, kogo nazwiska nie pamiętał.

–Gotujecie morską wodę? – spytał, wskazując na wypełniony bulgoczącą cieczą hełm zawieszony nad ogniem.

–Nie, tam dalej jest strumień. Napijesz się herbaty?

Fletcher kucnął, wyciągnął dłonie do ciepła.

–Otworzyliście zasobniki?

Wszyscy trzej wyszczerzyli zęby w parodii uśmiechów.

–Blake przy nich majstruje – mruknął Snyder. – Ale to robota na kilka godzin. Masz kubek?

–Skąd mam mieć?

–Dobra. Należę ci do tego – Snyder wyjął z kieszeni foliowy worek.

Fletcher pociągnął nosem.

–To prawdziwa herbata?

–Jasne. Na szczęście Reiss był na tyle zapobiegliwy, że zabrał ze sobą kilka torebek. –

Snyder podał mu parujący worek. – Trochę cuchnie, bo rozgotowała się wykładzina słuchawek.

Reiss strząsnął ze spodni resztki pokruszonych biszkoptów.

–Jak ci poszło z lądowaniem? – spytał.

–Nieźle.

–A ja miałem pecha – odwinął nogawkę, ukazując opuchniętą kostkę. – W ostatniej chwili musiałem schodzić z linii drzew.

–Ale nie rozplakaleś się ze strachu? – mruknął Snyder.

–Idiota – Reiss wzruszył ramionami. – Wiedziałem, że wszystko pójdzie dobrze. Tuż przed naszym startem z Ziemi Cyganka przepowiedziała mi szczęśliwy powrót.

–Sierżant Kate?

–Przecież mówię, że Cyganka. O co ci chodzi?

Snyder skrzywił się lekko.

–Przed odlotem przeprowadzono ostatnią serię testów psychologicznych, które wykazały, że kilkunastu członków załogi waha się, czy nie zrezygnować w ostatniej chwili. Dowództwo postanowiło natchnąć ich optymizmem, najlepiej przy pomocy sił nadnaturalnych. Wybrali sierżant Kate Wells z Korpusu Pomocniczego, bo miała odpowiedni typ urody i w przebraniu do złudzenia przypominała Cygankę...

–Żartujesz?

–Nie. Sam przygotowałem listę osób, którym trzeba było powróżyć.

–Niech cię szlag trafi!

Snyder wyduł wargi.

–Ty byłeś szczególnie podejrzany – powiedział, wolno cedząc słowa. – Pamiętasz list, jaki dostałeś przed startem od tej dziewczyny, która cię rzuciła?

–Chyba nie ty go napisałeś?

–Nie. Zrobił to osobiście Redfield.

Fletcher z trudem powstrzymywał uśmiech. Chcąc ukryć charakterystyczne drżenie mięśni, pociągnął łyk gorącej wody udającej herbatę.

–Ciekawe, co stary mógl wtedy wypocić? – kontynuował Snyder. – Patrz, jak go wzięło.

–Co jest z tymi zasobnikami? – spytał Fletcher, chcąc zmienić temat. – Nie można ich otworzyć?

–Można... Ale jak zwykle bywa, namioty są w jednym, stelaże w drugim, a śpiwory jeszcze w innym.

–Namioty? Będziesz tu zakładał obóz?

–Jeśli chcesz w tym chłodzi spać na gołej ziemi, nic nie stoi na przeszkodzie. Ja jednak wolę mieć suchy tyłek.

–A co z magazynami w górach?

–Nie ruszały się z miejsca przez tyle lat, to nie uciekną i teraz. O ile w ogóle tam są...

–Jak chcesz się do nich dostać?

–Na piechotę. O taksówkę będzie raczej ciężko. – Snyder dorzucił do ognia wilgotnych

gałęzi. – Chciałbym, co prawda, wysłać naprzód mniejszą grupę, która dotarłaby do kazamatów w górach dużo szybciej i uruchomiła parę ciężarówek, ale nie sędzę, żeby Mc'Cooley na to poszedł.

–Dlaczego?

–Nie wiem, co siedzi w tych lasach. Lepiej trzymać się razem.

–Myślisz, że ktoś nas może zaatakować?

–Raczej coś. Przecież nikt nam nie zagwarantował, że nie ma już drapieźników. Poza tym jeśli się rozdzielimy, mogą być kłopoty z łącznością.

Fletcher skinął głową. Dopił resztkę herbaty i podniósł się ociężale.

–Skoro już się pozbierałeś, to może byś pomógł Blake'owi – powiedział Snyder.

–Jasne.

Fletcher ruszył w stronę lasu, ale kiedy mgła zakryła blask ognia, zmienił kierunek. Potykając się o niewidoczne przeszkody, dotarł do skarpy i zsunął się na plażę. Zanim jeszcze dostrzegł kogokolwiek, usłyszał głos starca.

–Czy... czy wy naprawdę jesteście z Nieba?

–Tak – to był Tłuścioch. – Ale wyrzucono nas stamtąd za złe sprawowanie.

Fletcher zatrzymał się tuż przy Mc'Cooleyu. Wokół stało tylko kilka osób.

–Gdzie są wszyscy? – spytał.

Tamten dopiero teraz podniósł głowę.

–Dobrze, że jesteś. Chcę cię o coś zapytać.

–A gdzie reszta?

–Blake wezwał ich do kontenerów. Słuchaj, czy przez to twoje pudło można nawiązać łączność z Vega?

–Tak.

Mc'Cooley zdjął pokrywę zabezpieczającą pulpit radiostacji.

–A swoją drogą, po co to ze sobą taskałeś? – spytał.

–Dla zysku.

–Co?

–Płacisz pięć dolarów za minutę rozmowy...

Mc'Cooley zamachnął się, ale Fletcher lekko odskoczył do tyłu.

–Dziesięć dolarów.

W mlecznej zawieszynie nad nimi rozległ się trzepot skrzydeł i pisk jakiegoś ptaka.

–Coś tu lata? – zdziwił się Tłuścioch. – We mgle?

Fletcher podszedł do niego i spytał ściszym głosem:

–Dowiedziałeś się czegoś od staruszka?

–Tak. Najbliższe skupisko ludności jest o parę dni drogi stąd. On idzie w tym kierunku – poprowadzi nas.

–Zgodził się?

–Przecież nie mogłem spytać wprost. Oficjalnie jeszcze nic nie wiemy... Ale dlaczego miałby odmówić?

Fletcher popatrzył na siwowłosą postać w gęsto pocerowanym płaszczu.

–A jeśli on jest szpiegiem?

–Czym? Masz manię prześladowczą – zdenerwował się Tłuścioch. – Zresztą co może nam

zrobić wywiad prymitywnych rolników?

–Prymitywnych? Chyba niezbyt dokładnie przestudiowałeś zdjęcia satelitarne... – Fletcher chciał powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał mu Mc'Cooley.

–Richards! Fletcher! Podejdźcie bliżej!

Zrobili kilka kroków.

–Dowództwo zdecydowało, że pójdziecie na rekonesans do jakiejś osady.

–Kiedy?

–Jak najszybciej. – Mc'Cooley sprawnym ruchem zabezpieczył radiostację. – No bez przesady – dodał widząc ich miny. – Ruszycie dopiero jutro. Teraz i tak nie mógłbym wydać wam sprzętu.

–Dostaniemy cięższą broń? Snyder wspomniał coś o zwierzętach...

–Cięższą? Masz na myśli działa czy granatniki?

–Chodzi mi o jakąś strzelbę.

Mc'Colley zmarszczył brwi.

–Tak... Jest coś takiego w zasobnikach. Składany automatyczny karabinek, przerobiony z pistoletu. Taki sam, jaki stosuje się w wyposażeniu awaryjnym pilotów wojskowych.

–Przerobiony z czego? Przecież on ma niskoenergetyczne pociski.

–Można tym zabić na przykład niedźwiedzia? – wtrącił Tłuścioch.

Mc'Colley uśmiechnął się cynicznie.

–Jeśli potrafisz prosto w oko, to czemu nie...

Fletcher zaklął cicho.

–Dostaniecie jeszcze pistolet maszynowy i wszystko, co zawierają zestawy specjalne.

–Pocieszające. Niedźwiedź jednak ciągle pozostaje poza naszym zasięgiem.

–Po co braliśmy w kosmos pistolety maszynowe? – zainteresował się Tłuścioch. – Dowództwo zamierzało pacyfikować obce istoty?

–Raczej bało się buntu załogi – mruknął Fletcher.

Stał jeszcze przez chwilę, słuchając fragmentarycznych instrukcji, potem powlókł się na zmywany falami brzeg.

Śnieg przestał padać, a kilkanaście minut później pokazało się słońce. Nie grzało prawie zupełnie, ale jego blask i refleksy na pobielalej nagle ziemi zmusiły Fletchera do włożenia ciemnych okularów. Monroe od samego początku narzucił ostre tempo. Mimo siwych włosów i brody nie mógł być jednak aż tak stary, jak myśleli. Co prawda niósł tylko lekki, pustawy worek i sękaty kij. Oni natomiast wlekli się za nim objuczeni wyladowanymi do granic możliwości plecakami i ciężkimi pasami z całą gamą futerałów. Fletcher, który dodatkowo dźwigał radiostację, mimo chłodu rozpiął zamek ciepłej kurtki i rozluźnił szalik. Przy każdym ruchu lufa pistoletu maszynowego uderzała go w brzuch, więc zdjął taśmę z szyi i dokonując cudów zręczności, przywiązał ją do zrolowanego wokół plecaka koca. Automat huśtał się teraz w powietrzu, co jakiś czas zawadzając o mijane krzewy i wystające gałęzie drzew.

Kiedy las przerzedził się, a potem ustąpił miejsca gdzieś porośniętym krzakami pagórkom, staruszek przyspieszył kroku. Ciężkie, zrobione z twardej skóry buty sprawiały, że każdy krok odzywał się bólem otartych stóp. Fletcher uśmiechał się jednak. Co jakiś czas spoglądał na Tłuściocha i widok jego wielkiej, zataczającej się sylwetki sprawiał, że własne zmęczenie spadało do rangi wymysłu hipochondryka.

„Świat nie jest taki zły” pomyślał, kiedy Tłuścioch potknął się i wśród głośnych przekleństw zjechał na brzuchu z łagodnego zbocza.

Richards podniósł się dopiero po dłuższej chwili.

–Zostaję tutaj – powiedział schrypniętym głosem. – Nie zrobię ani kroku dalej.

Monroe spojrział na niego zdziwiony.

–To tylko takie żarty – mruknął uspokajająco Fletcher.

–Jestem śmiertelnie poważny – krzyknął Tłuścioch, siadając na śniegu. Potem, ciągle w pełnym ekwipunku, opadł na plecy.

–Złamałeś sobie coś?

–Tak. Wiarę w lepsze jutro.

Fletcher rozejrzał się niepewnie.

–Trudno. Postój – odpiął plecak i oparł go o najbliższe skarłowaciale drzewo. Rozpiął też pas, przewiesił go sobie przez ramię i podszedł do Richardsa, żeby wyjąć spod niego oblepiony śniegiem karabin.

–W porządku, jeszcze żyję – powiedział tamten. – Nie musisz mnie zakopywać.

–No to podnieś się wreszcie. Tym ciężarem pogruhoczesz cały bagaż.

Fletcher, nie czekając na reakcję, odwrócił się i podszedł do swoich rzeczy.

–Trzeba by zobaczyć, co wetknął nam Snyder jako zestawy uniwersalne...

–Rób, co chcesz. Ale zestawy osobiście pakował Mc’Colley, a nie Snyder.

–Mc’Cooley? On ma przerost poczucia odpowiedzialności, którą utożsamia z regulaminem. Może większość co cięższych gratów uda się poupychać w krzaki...

–Myślisz? – Tłuścioch ożywił się.

Fletcher wyjął z plecaka sporych rozmiarów paczkę. Zerwał zabezpieczający ją plastik i zdjął pokrywę.

–I co? – Richards nie mógł się uporać ze ściągaczem swojego plecaka.

–Artyleria. – Fletcher zważył w dłoniach dwa dziewięćmilimetrowe pistolety. Wsunął magazynek do jednego z nich i schował go do kieszeni.

–Teraz naprawdę wyglądamy jak partyzanci. U ciebie jest tak samo?

Tłuścioch skinął głową.

–Rakiety sygnałowe, oświetleniowe, zestaw narzędzi... To chyba można wyrzucić?

–Narzędzia?

–Wszystko.

–Jak chcesz. Rakiety bym zostawił.

Fletcher odrzucił za siebie komplet lin i bloków.

–Pomoce alpinistyczne też wyrzucić. Ciekawe, po co nam tyle amunicji?

–Nie domyśliłeś się, że jesteśmy dwuosobowym korpusem ekspedycyjnym Mc’Cooleya? Drobnie zawiniątko wyśliznęło się z palców Tłuściocha i upadło w śnieg. Podniósł je i rozwinął papier.

–Sto pięćdziesiąt dolarów w zlocie... O rany, razem mamy trzysta.

Fletcher wzruszył ramionami.

–Aparat fotograficzny i apteczka. To już chyba wszystko.

–Brakuje jednej rzeczy.

–Czego?

–W wojsku do takich zestawów dodaje się zwykle prezerwatywy.

Fletcher zsunął na czoło przeciwsłoneczne okulary. Tego, co zostało po wyrzuceniu narzędzi i lin, nie oplacało się pakować ponownie do pojemnika, więc zawiął wszystko w kaptur od śpiwora i wsunął do plecaka.

–Idziemy? – spytał widząc, że Tłuścioch również dociąga paski.

–Jeszcze chwilę.

–Posuwając się w tym tempie zeżremy wszystkie konserwy, zanim zrobimy połowę drogi.

Tłuścioch machnął ręką. Dłuższy czas siedzieli w milczeniu, bawiąc się wyraźnym zniecierpliwieniem staruszka. Potem Fletcher spojrział na zegarek. Zamierzał wstać, kiedy Richards powstrzymał go ruchem ręki.

–Widzisz te ciemne plamy?

–Na zboczu? – Fletcher rzucił grudkę śniegu w najbliższy pagórek.

–Co w nich dziwnego? Śnieg topnieje partiami i widać gołą ziemię...

–Naprawdę nic nie widzisz?

–Przecież to normalne, że południowe zbocze jest bardziej nasłonecznione.

Tłuścioch podniósł się powoli, zapiął pasy plecaka i skinął na staruszka.

–Wszystko byłoby dobrze – powiedział – gdyby nie fakt, że jak na złość śnieg topnieje tutaj na zboczu północnym.

Fletcher, jakby nie dowierzając widocznemu wyraźnie słońcu, zerknął na kompas.

–Może ten teren jest nierównomiernie nagrzany...

–Na pewno. Ale dlaczego?

–Ciepłe źródła. Szczątkowa działalność wulkaniczna...

–Ciepłe źródła, tutaj? – Tłuścioch uśmiechnął się sarkastycznie. – Chodźmy.

Ruszyli za starcem, który znowu narzucił forsowne tempo. Powietrze ochłodziło się wyraźnie i Fletcher na nowo zawiązał szalik wokół szyi. Pagórki, wśród których zatrzymali się, ustąpiły miejsca szerokiej równinie, z rzadka pociętej płytkimi parowami. Minęli majaczącą w oddali czarną ścianę lasu i kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, dotarli do niskiego nasypu, ciągnącego się skośnie do obranego przez nich kierunku.

–Tu była jakaś droga – Richards kopnął rozsypujący się płat asfaltu.

–Tak. Zaraz będzie skrzyżowanie. – Fletcher wyciągnął rękę w stronę rozmytego częściowo przez deszcz, ale – sądząc z regularności kształtów – sztucznego wzniesienia.

–Autostrada?

–Może.

Drugi, prostopadły do poprzedniego, nasyp był wyższy. Także nawierzchnia kilkupasmowej szosy, mimo spękania i przemieszczenia się pewnych fragmentów, nadawała się do użytku. Kałuże i naniesiony przez wiatry piasek uniemożliwiały szybką jazdę, ale w porównaniu z resztkami asfaltowej nawierzchni poniżej, droga sprawiała mniej odpychające wrażenie.

–Gorąco tu – mruknął Fletcher.

–To ciepły wiatr – Tłuścioch wystawił pośliniony palec.

–Ciepły wiatr? W zimie?

–O ile wiem, jeszcze nie ma zimy...

–W porządku, ale wiatr nie może być aż tak ciepły...

Monroe odwrócił głowę.

–To się często tutaj zdarza – powiedział cicho.

–A gdzie indziej?

–Co?

–Czy gdzie indziej, kiedy leży śnieg, też wieją gorące wiatry?

Staruszek spojrział na nich zdziwiony.

* * *

Mimo puchowego śpiwora Fletcher drżał z zimna. Nie chciał jednak zmieniać niewygodnej pozycji. Wsunęty pod spód plastikowy worek miał się i obsuwał tak, że każdy ruch groził wpadnięciem do błota, w jakie zmieniła się ziemia po roztopieniu śniegu. Jakieś drobiny pyłu musiały wpaść do lewego oka, które piekło go coraz bardziej. Przecierał je rękawem lub wierzchem dłoni, ale to tylko potęgowało ból. Palce były zbyt brudne do takiej operacji, podobnie jak wszystkie chustki, które zabrał ze sobą. Skądś z boku dobiegł go miarowy oddech Tłuściocha. Dalej spał Monroe, jak zwykle, wprost na ziemi, owinięty w swój brudny płaszcz, cały czas w tej samej pozycji. Mimo swoich lat najlepiej znosił trudy wędrówki.

–Swoich lat! – prychnął Fletcher. – Przecież urodziłem się grubo przed nim.

Z nagłą złością przewrócił się na drugi bok, pakując lewą rękę w błoto. Klnąc cicho, rozpiął śpiwór i wstał z trudem, czując, jak całe ciało przenikają ostre ukłucia chłodu. Właśnie kucnął nad na pół zrolowanym workiem, kiedy poczuł, że ledwie wyczuwalny dotąd wiatr wzmaga się. Szelest pierwszych podmuchów błyskawicznie przeszedł w wycie i coś uderzyło go w twarz. Oslaniając oczy przed mokrymi, zlepionymi błotem liśćmi podbiegł do swojego plecaka. Odgłosy wiatru zagłuszył przeciągły, o rosnącej z każdą chwilą sile, huk. Fletcher wyszarpnął z kieszeni latarkę i rzucił się na ziemię przygniatając własnym ciałem porwany przez wiatr śpiwór.

–Co się dzieje? – krzyk Richardsa był ledwie słyszalny.

Jego wielka, szamocząca się z trzepoczącym materiałem postać wyglądała groteskowo w nikłym strumieniu światła rzucanego przez latarkę Fletchera. Jednostajny grzmot, przewalając się gdzieś w górze, paraliżował nerwy słuchowe. Tłuścioch wstał wreszcie, ale oślepiiony niesionym skądś pyłem, wpadł na gałęzie pobliskiego drzewa i runął na ziemię.

–Leżcie! Leżcie płasko! – krzyczał staruszek.

Porywiste podmuchy wiatru oblepiały twarz Fletchera błotnistą mazią. Nasunął śpiwór na głowę. Ktoś upadł na niego.

–Czy to burza? – głos Tłuściocha z trudem przebijał się przez niesamowity grzmot.

–Słyszałeś kiedyś tak długi grom?

–Co?

Fletcher machnął ręką. Tuż obok runęła na ziemię ogromna gałąź.

–Powinniśmy przejść na brzeg rzeki! – krzyknął Richards.

–Leż!

–Zaraz jakieś drzewo trzaśnie nas w głowę! Trzeba...

Niespodziewanie, bez żadnych wcześniejszych oznak, ogłuszający grzmot urwał się. Chwilę potem ucichł wiatr. Było to tak nagle, tak nienaturalne, że Fletcher był skłonny sądzić, że ogłuchł. Dopiero po chwili wstał ostrożnie i spojrział wprost na pokrytą błyszczącymi kropelkami wody szybką latarkę. Jej światło żółkło coraz bardziej.

–Co to było? – spytał Tłuścioch.

W nieprawdopodobnej wprost ciszy słychać było ich przyspieszone oddechy.

–Odgłos startujących odrzutowców. Zasnęliśmy na lotnisku.

–Idiota.

Monroe wygrzebał się spod swojego płaszcza, na którym leżały teraz zwaly mokrych, przegniłych liści.

–Co to było? – powtórzył Tłuścioch.

Staruszek wzruszył ramionami.

–Burza.

–Bzdury. A ten huk?

Monroe metodycznie czyścił i otrzepywał płaszcz.

–Trzeba rozpalić ognisko – mruknął Fletcher. – Mam dość snu na dzisiaj.

Odrzucił w krzaki wyladowaną latarkę i sięgnął po zapalniczkę. Czuł się nieswojo w tej martwej, jakby sztucznej ciszy, która objęła władanie nad okolicą. Schylił się nad przygotowanym wieczorem stosem drewna i przycisnął dźwignię zapalniczki. Kilka słabych iskerek na chwilę rozjaśniło mrok. Fletcher potrząsnął ręką i powtórzył operację.

–Cholera, wszystko się psuje. Tłuścioch, masz zapalki?

–Zaraz się tym zajmę.

Kiedy zapłonął ogień, Fletcher odszukał swoją kurtkę. Włożył ją i usiadł, opierając się o plecak, ale wilgotny materiał nie dawał ochrony przed zimnem. W dodatku przez rozdarcie na plecach przenikał strumień chłodnego powietrza. Tłuścioch przecierał rękami podpuchnięte oczy.

–Zjecie coś? – spytał.

Staruszek zaprzeczył ruchem głowy.

–A ty?

–Nie. Jestem zbyt zmęczony.

Fletcher zapalił papierosa, potem wyjął z plecaka tekturowe pudło.

–Co to jest?

–Pakiet, który mam otworzyć, jeśli znajdę się w sytuacji bez wyjścia. Dał mi go Landau.

Tłuścioch wytarł ręce o sweter. Z rosnącym zainteresowaniem obserwował rozdzierane opakowanie.

–Nie mogę powiedzieć, żeby Landau miał złe pomysły.

Fletcher uśmiechnął się lekko.

–Tak. Jego szczególnie dobrym pomysłem jest to, że siedzi teraz spokojnie na dupie, a my odwalamy całą robotę.

Zerwał nakrętkę i pociągnął kilka łyków whisky. Potem rzucił butelkę Richardsowi. Tamten zgniótł nogą resztki kartonowego pudła.

–Chcesz, stary? – wytarł usta. – To naprawdę dobre.

–Gasi pragnienie?

–Wprost przeciwnie. Rozpala.

W oczach Monroe'a błysnął strach.

–Pijecie, jeśli nie macie pragnienia?

–O co ci chodzi?

–Wszystko, co związane z wodą, jest złe.

Tłuścioch pociągnął duży łyk, długo przetrzymując go w ustach.

–Zupełnie powariowali na Matce Ziemi – podał butelkę Fletcherowi.

–Przecież człowiek składa się głównie z wody – zwrócił się do staruszka.

–Nie mów tak.

–Ale to prawda.

Monroe opuścił głowę.

–Owszem. Dlatego pochodzenie człowieka jest złe.

–Wszystko jest złe – Fletcher przytknął policzek do zimnego szkła.

–Cholera, znowu bierze go chandra – Tłuścioch również zapalił papierosa. – Pij szybciej, bo zamarznę.

Fletcher odchylił się do tyłu. Przez chwilę jego grdyka poruszała się miarowo, potem zakrztusił się i zaczął kaszleć.

–Wiedziałem, że to tak się skończy – wychrypiał, oddając butelkę. – Zawsze wiedziałem.

–Zaczyna się – Tłuścioch szturchnął staruszka. – Teraz wysłuchamy jego życiorysu.

–Mylisz się. Tak naprawdę to cieszę się, że uciekłem ze swoich czasów i cywilizacji zamkniętej w sztywnych normach. Gdybym tam został, pewnie przyłączyłbym się do terrorystów.

–Ty chyba niezbyt lubisz ludzi?

Fletcher chwycił w locie butelkę.

–Od urodzenia byłem leniem i fajtlapą. I ciągle zmuszano mnie do przewycięzania siebie. Zmuszano do robienia rzeczy, które, jak mi wmawiano, były ważne i interesujące... – nowa porcja paliła gardło. – Musiałem dzień w dzień walczyć ze sobą, żeby coś osiągnąć, i później nie miałem już możliwości zatrzymania wytworzonej i rozpędzonej przez innych maszyny dążenia. Nie można też jej było zaspokoić. Mam kaca...

–Już?

–Mówię w przenośni – Fletcher skrzywił się, oddając prawie pustą butelkę. Zamglonym wzrokiem spojrzął w błyszczące zainteresowaniem oczy staruszka.

–Nie mogę się wyzwolić z dotychczasowego trybu... Wszystko i tak rozgrywa się obok. Chciałbym wreszcie nic nie robić, ale już nie umiem.

–Czy chciałbyś powiedzieć coś jeszcze? – spytał staruszek.

–Tak. Mam w zapasie całe mowy, które chciałbym wykrzyczeć, ale nie ma przed kim. Wszystko, co mam do przekazania, chciałem powiedzieć tamtym ludziom. Ale już ich nie ma. Popelniono morderstwo doskonale – zbrodnię, w której nie ma sprawców ani ich spadkobierców. Już nie ma, rozumiesz? Jestem okradziony z możliwości popelnienia własnej zbrodni. Poza mną i mnie podobnymi nie ma już nikogo...

–Coś ci się płacze – Richards z trudem utrzymywał głowę w pionowej pozycji. Dopiero teraz zauważył, że zaczyna świtać. Delikatna szarość rozlewała się nad rosnącymi na horyzoncie drzewami. Z rzeki unosił się lekki, białawy opar.

–Cieszę się, że zostawiłem tam żonę – powiedział Fletcher.

–Tam? To znaczy gdzie? – spytał Monroe.

–W przeszłości... – Fletcher wstał, sunąc dłonią po najbliższym pnium. – To była wspaniała kobieta. Kiedy mówiła ci, że ranek jest piękny, zdawało się, iż mówi również, że jesteś durniem, i to ostatnim durniem na dobitkę.

Tłuścioch wycelował w niego palec.

–Poznaję – roześmiał się. – Cytat z Tono-Bungay Wellsa. Też to czytałem!

Fletcher ukrył twarz w dłoniach.

–Cholera, albo jestem pijany, albo rzeczywiście wszystkie moje myśli są czyjeś – szepnął.

– Wszystkie słowa powiedział już ktoś inny...

–O Boże! – krzyknął. – Chcę się od tego uwolnić!

Stojąc na chwiejnych nogach, poczuł nagle absolutną pustkę w głowie. Zdziwiony, podniósł wzrok na szarzące niebo.

–Bez przesady – mruknął. – Boże, przecież wiesz, że tylko żartowałem.

–Nie wygłupiaj się – Tłuścioch wstał również. – Zaraz będzie całkiem widno. Trzeba spakować graty.

Fletcher zrobił kilka kroków w stronę rzeki.

–Jak myślisz, co spowodowało ten huk?

–Nie wiem. Może rzeczywiście był to jakiś nieprawdopodobnie długi grzmot...

–Nie mówisz poważnie?

–Nie.

Fletcher, zataczając się lekko, dotarł do samej wody. Stał, przyglądając się jej ciemnej powierzchni. Potem rzucił przed siebie zepsuta zapalniczkę.

–Chodź i pomóż mi pakować – powiedział Tłuścioch. – Tylko nie utop się po drodze w jakiejś kałuży.

–Nie jestem pijany... Nie jestem... Hej! – krzyknął nagle Fletcher. – Widzę łódź!

–A nie białe myszki?

–Nie, do cholery – Fletcher skoczył w tył. Płaczącymi się rękami odpiął z plecaka pistolet maszynowy i biegiem wrócił na brzeg. Chwiejąc się na szeroko rozstawionych nogach, wprowadził pierwszy nabój do komory.

–Hej, wy tam! – Fletcher niechcący przycisnął spust. Seria pocisków uderzyła w wodę, rykoszetując na powierzchni. – Przybijać do brzegu!

Richards przerażony chwycił za swój karabin. Długa, wąska łódź z sześcioma wiosłarzami i sternikiem posłusznie skręciła w kierunku brzegu.

–Przestań! – krzyknął Tłuścioch. – Co robisz, do cholery?

–Zostaw.

Kiedy dziób łodzi zarył w piasek, Fletcher wskoczył do środka. Potknął się jednak o pierwszą z poprzecznych ławek i wypuścił z rąk pistolet, który upadł wprost pod nogi sternika. Starając się odzyskać równowagę, wyjął zza cholewy nóż.

–Stój! – krzyknął, mimo że przestraszony sternik nie zrobił żadnego ruchu. – Jak cię strzele w mordę, to zapomnisz numeru swoich butów!

–Przestań – powiedział Tłuścioch łamiącym się głosem.

–Cicho! Przynieście bagaże. Nie będę się włókl jak żółw, skoro mogę popłynąć.

Richards czując, że blednie, posłusznie wrzucił plecaki do wnętrza łodzi, zajął jedną z ławek i spojrzał na niosącego resztę rzeczy staruszka. Ten jednak był spokojny. Uznał, że tak właśnie powinno być, i wydawał się zadowolony.

–Dobra. Ruszać wiosłami! – Fletcher zrobił ruch, jakby chciał podciąć sobie gardło. – A ty – popchnął sternika – podaj mi to żelastwo.

–Prymitywne kultury rolnicze – powiedział Tłuścioch. – To są prymitywne kultury rolnicze...

–Každy może się mylić – Fletcher podniósł do oczu lornetkę.

Widoczne ze szczytu wzgórza miasto – było to raczej małe miasto niż wieś – lśniło w promieniach bladego, chylącego się ku zachodowi słońca. Zespół budowli, łączący w sobie surowość gotyku z miękką, ruchliwą wybujałością baroku, przywołał na myśl połączenie architektury Gaudiego z formami Antonia Sant’Elli. Śmiałe, pokrętne krzywizny ścian kontrastowały ostro z gnącymi się i odchylającymi od pionu kolumnami. Dziwna, jakby przypadkowa perforacja ścian, nonszalanckie, zdawałoby się, niepotrzebne w wielu miejscach mury o rozmieszczonych dowolnie oknach, ograniczonych krzywymi pilastrami i wijącymi się parapetami, sprawiały wrażenie świadomie sprowokowanego nieładu. Miasto nie było otoczone murem. Wygięte w ryzykowny sposób ściany kilkunastu głównych budowli rozdrabniały się na szeregi coraz mniejszych, które prawie łączyły się z drewnianymi chałupami i domkami otaczającymi kamienne gmachy. Jakiś świadomy, lub nie, parodysta dzieł Seddinga i Caroe’a traktował bryłę rzeźbiarsko, kształtując światłocieniowe elewacje i spływający jak wodospad dach za pomocą niezliczonych sterczyn, postrzępionych skalopodobnych wież i połączonych pod niezwykle kątami dekoracyjnych krenelaży. Wszystkie te dowolnie biegnące krzywizny, ostre, czasem poszarpane łuki, niesamowite, pnące się na wyższych piętrach promenady z surowych, nieobrobionych kamieni tworzyły razem zdumiewający wielopoziomowy labirynt. Nie był to jednak ani eklektyzm, ani żadna forma neogotyku, choć do tego zmierzały pierwsze skojarzenia. Stare, podmurszale budynki bardziej niż architekturę kościelną przypominały teatralność sztucznych ruin.

–I co o tym myślisz? – mruknął Fletcher po dłuższej chwili.

–Po prostu ktoś wskrzesił Gaudiego, dał mu wolną rękę i pozwolił ustawić koło siebie i na różnych poziomach dziesięć klasztorów z Cluny.

–A poważnie?

–Twórca tego cuda nie przeczytał chyba żadnej książki o budownictwie poza katalogiem detali z różnych epok... A nadto miał zęza.

Fletcher westchnął i schował lornetkę.

–Zastanawiam się, czy tak prymitywna kultura, jaką nam przedstawiano, potrafiłaby zrobić coś takiego.

–Te budynki są chyba bardzo stare. Może to pozostałość po dawnych lepszych czasach?

–Myślisz, że ta kultura wymiera?

–Może... Nie widać zbyt wielu ludzi.

Fletcher odgarnął opadające na czoło włosy.

–Wykończy mnie to niskie ciśnienie. Zaraz zasnę – spojrzał na zegarek. – Schodzimy?

–A co, masz wątpliwości, jak nas potraktują po tym numerze z łódką?

–Mogłeś mnie powstrzymać!

–Staralem się. Ale w pewnych sytuacjach trudno z tobą normalnie rozmawiać.

Fletcher przestąpił z nogi na nogę.

–Nie przejmuj się – dodał Tłuścioch. – Oni byli z innej osady.

Podnieśli ciężkie plecaki i ruszyli w dół łagodnego zbocza. Tuż przed skleconymi byle jak z drewnianych bali chałupami na krańcach zamieszkanego terenu spotkała ich jednak

niespodzianka. Monroe, zamiast wkroczyć wprost na wypełnioną błotem ulicę, skręcił w bok i zatrzymał się przed solidnie wyglądającą, zbudowaną z równo ociosanych kamieni wiatą. Siedzący w środku człowiek musiał obserwować ich od dość dawna. Palce jego lewej ręki przesuwały się leniwie po grubym, konopnym sznurze, przywiązanym wprost do serca dzwonu w malej sygnaturce.

–To jakaś straż pożarna? Tłuścioch wykorzystywał każdą chwilę postoju, żeby postawić plecak na ziemi.

–Gorzej – Fletcher obserwował spod zmrużonych powiek, jak Monroe wyjmując spod płaszcza zmięty i poplamiony kawał papieru czy pergaminu i kładzie go na nierównym stole pod wiatą. – To kontrola dokumentów.

–Tego nie przewidzieliśmy – Richards zerknął na smukłą wieżyczkę. – A dzwon na dachu to coś w rodzaju syreny alarmowej?

–Na to wygląda.

Człowiek za stołem niedbale sięgnął po papier, przyglądał mu się chwilę znudzony, potem przystawił wielką drewnianą pieczęć.

–A wy? – powiedział cicho, zwięźając oczy, tak że trudno było dostrzec błysk źrenic. Sądząc z ledwie dostrzegalnych ruchów głowy, jego wzrok prześlizgiwał się po szczegółach ich stroju i wyposażenia.

–Ile masz amunicji, Fletcher? – szepnął Tłuścioch.

–Nie ludź się. W tej osadzie może być kilka tysięcy mieszkańców. Nawet gdybym trafił za każdym strzałem, nie starczy na jedną ósmą.

–Może wszyscy się na nas nie rzucają?

–Może.

–A jeśli uciekną po pierwszej serii?

–Chcesz spróbować?

Richards wyjął chusteczkę i dokładnie osuszył czoło.

–Co robimy?

Fletcher rozsypał sznurki plecaka. Chwilę przewracał ściśnięte wewnątrz rzeczy, potem wyjął i rzucił na stół niebieską książeczkę.

–Może to wystarczy. Pamiętasz, jak przed startem rozdano nam dla kawału paszporty?

–Cholera, musiałem gdzieś swój zgubić...

Mężczyzna za stołem błyskawicznie wstał na równe nogi. Jednocześnie z jego twarzy zniknął wyraz nudy i lekceważenia. Prawie z nabożeństwem przyglądał się złotemu godłu na okładce, badając pod światło znaki wodne i delikatny, prawie niewidoczny wzór pokrywający każdą stronę. Trójwymiarowe zdjęcie nappełniło go przerażeniem.

–Bardzo panów przepraszam. Ja zaraz... – jękał się. – Przepraszam, gdzie mam przystawić pieczęć? A może w ogóle nie trzeba?

–Niech pan stawia. Gdziekolwiek.

Nieforemny odcisk zajął niemal całą stronę przeznaczoną na wizy.

–Proszę. Proszę bardzo – paszport w jego brudnych rękach drżał. – Czy odprowadzić gdzieś panów? Poniosę bagaże...

Fletcher odruchowo zaprzeczył, ale zaraz uśmiechnął się i dodał.

–Nie trzeba. Mój służący się tym zajmie. – Podsunął swój plecak Tłuściochowi. – Idziemy.

Brodząc po kostki w błocie, przeszli całą długość krzywej uliczki wśród butwiejących domów. Dopiero dalej, w murowanej części miasta, pod każdą ze ścian biegł wąski, drewniany chodnik, ułożony z nie heblowanych desek.

–Zaliczono mnie do arystokracji – mruknął Fletcher, rozglądając się po pustych zaułkach. – Ciekawe, czy będą z tego jakieś profity.

–Ja też chcę być zaliczony do arystokracji – Tłuścioch rzucił plecak pod nogi Fletchera. – Znajdźmy lepiej jakiś hotel, bo wyzionę ducha.

–Hotel? Odpowiada ci Hilton?

Richards, ignorując Fletchera, zwrócił się do staruszka.

–Czy można wynająć tu jakieś pokoje?

–Tam jest gospoda – Monroe wyciągnął rękę w stronę majaczącej na tle ciemniejszego nieba, poszarpanej ściany budynku. – Idźcie prosto tą ulicą, musicie trafić.

–Idźcie? Ty zostajesz?

–Moja droga prowadzi dalej. Nie mogę zostać zbyt długo.

–W takim razie dziękujemy za pomoc – Richards wyciągnął dłoń, ale staruszek nie zrozumiał tego gestu. Podniósł rękę do góry i bez słowa ruszył w przeciwnym kierunku.

–Dziwne...

–Słyszales? – przerwał mi Fletcher. – On powiedział gospoda. Zupełne średniowiecze.

–Słuchaj, dlaczego tu jest tak mało ludzi?

–Może wcześniej kładą się spać. Chodź, poddamy się miejscowemu zwyczajowi.

Z trudem balansując na wąskim i chybotliwym chodniku, mijali coraz większe i bardziej skomplikowane budowle. Ciągące się na wyższych piętrach mroczne galeryjki, nierówne, jakby przypadkowo rozplanowane krużganki, wykusze i załamania ścian, w szczególny sposób kontrastowały z błotem na ulicy.

Fletcher stanął przed drzwiami, zza których sączył się nikły strumień światła.

–Wchodzimy?

Tłuścioch pchnął ciężkie skrzydło. Wewnątrz, na drewnianych ławach siedziało kilka osób smętnie skupionych nad kamionkowymi kuflami. Podeszli do karczmarza czy gospodarza stojącego za szeroką ladą.

–Można wynająć pokoje?

Tamten spoglądał na nich podejrzliwie.

–No jest coś czy nie?

Żadnej reakcji. Richards rzucił na ladę złotego dolara.

–Przyjmujesz takie pieniądze?

Twarz gospodarza drgnęła. Szybkim ruchem podniósł monetę i sprawdził w zębach.

–Proszę – jego ukłon był tak głęboki, że włosy prawie zamiotły brudny blat. – Proszę na górę. Zaraz zajmę się bagażami.

Ze zręcznością, o którą trudno byłoby go podejrzewać, przeskoczył ladę.

–Proszę tędy.

Bez mrugnięcia okiem podniósł plecaki i radiostację. W ostatniej chwili Fletcher zerwał przytroczony do jednego z nich pistolet maszynowy.

–To poniosę sam – uśmiechnął się przepraszająco.

Ze szczytu wąskich schodów Tłuścioch spojrział na pustawą salę.

–Cholera, zupełnie średniowiecze – mruknął, kręcąc głową.

Gospodarz otworzył prawie niewidoczne w pokrytej zaciekami ścianie drzwi.

–To jeden pokój – przeszedł kilka kroków – a tu drugi. Czy przynieść kolację na górę?

Fletcher zaprzeczył ruchem głowy.

–Jestem zbyt zmęczony na cokolwiek przed snem. Gdzie są klucze od pokoi?

–Klucze?

–Jak się je zamyka?

–Na zasuwę. O tutaj – gospodarz jeszcze raz zgiął się w ukłonie. – Gdyby panowie czegoś

potrzebowali, wystarczy zawołać. Ja wszystko słyszę...

Z przylepionym do twarzy uśmiechem wycofał się na dół.

–I jak ci się tu podoba?

Tłuścioch ziewnął, osłaniając usta ręką.

–Chyba powinniśmy na zmianę trzymać wartę.

–Nie przejmuj się, w raporcie napiszemy, że trzymaliśmy. Aha, jeszcze jedno... W razie czego nie strzelaj na oślep, tu są bardzo cienkie ściany.

Prawie całą powierzchnię małej klitki zajmował krzywy stół i wielkie łóżko. Pod ścianą, na niewielkiej półce stała olejowa lampa. Żeby zyskać trochę miejsca, Fletcher rzucił bagaże na stół. Nie zdążył się rozpakować, kiedy ktoś zapukał we framugę. Błyskawicznie sięgnął po pistolet i skoczył pod ścianę. Drzwi bezszelestnie otworzyły się i zamknęły, przepuszczając drobną postać. Fletcher włożył broń do rozbebeszonego plecaka, ale nie dlatego, że stała przed nim młoda dziewczyna. A przynajmniej nie tylko dlatego. Przyglądził tłustawe włosy, ściągnął sweter i rzucił się na łóżko. Przez chwilę walczył z butami, potem odwrócił się na wznak i omiół wzrokiem jej sylwetkę. Dziewczyna była naga.

–Kim jesteś? – spytał.

Położyła się obok, zarzucając mu ręce na szyję.

–Córka gospodarza.

Jej język szybko odnalazł drogę do jego ust. Fletcher mocował się z ubraniem.

–Macie miłe zwyczaje – szepnął.

–No chodź – ponagliła.

Objął ją z całej siły. Jego oddech stawał się coraz szybszy i coraz bardziej urywany.

–Co, już? – wyrwało się dziewczynie po chwili.

Fletcher, wściekły, odwrócił się na drugi bok.

–Do cholery, nie robiłem tego od dobrych paruset lat.

–Co?

–A poza tym miało być średniowiecze, a ty zachowujesz się jak...

–Jak kto?

Machnął ręką.

–Nie martw się, trochę odpoczne i pokażę ci coś lepszego.

Dziewczyna głaskała go po plecach.

–Już odpocząłeś?

–Sekundę...

Jej palce błędziły między włosami.

–Już?

Tłumiąc złość, odwrócił się do niej z powrotem.

–No dobra, sama chciałaś. Pokażę ci mój najlepszy numer.

Dziewczyna spojrzała zdziwiona.

–Wiesz, co to jest czolg? – spytał.

–Nie.

–No to trzymaj się mocno łóżka. Zaraz zobaczysz.

–Tylko mi nie mów, że to kwestia szczęścia – Tłuścioch podniósł do ust drewnianą łyżkę z jajecznicą. – Widziałem, jak do niego mrugałeś.

Fletcher wytarł usta i oparł się o ścianę.

–Nie przesadzaj. Do nikogo nie mrugałem i to nie moja wina, że gospodarz ma tylko jedną córkę. Jeśli do ciebie nikt nie przyszedł...

–Zaraz, czy ja mówiłem, że nikt do mnie nie przyszedł?

–A jednak! Więc są dwie córki.

Richards zaprzeczył powolnym ruchem głowy. Fletcher nachylił się do przodu.

–W takim razie kto?

Richards z niechęcią odsunął pusty talerz.

–Spałem z jego żoną – powiedział sucho. – Chodźmy. Trzeba wreszcie zwiedzić tę dziurę.

Fletcher wstał zerkając na drzemiącego za ladą gospodarza. Z nieprzeniknioną twarzą zapiał dokładnie kurtkę i wyszedł na ganek. Padający od rana ulewny deszcz ograniczył widzialność do kilkunastu metrów, ale mimo to dużo więcej niż wczoraj przechodniów przemierzało wąskie uliczki. Wszyscy ubrani w długie, szare płaszcze, z nasuniętymi głęboko na oczy kapturami, przypominali drepczących w cieniu krużganków średniowiecznych mnichów. Fletcher i Richards wymienili niechętnie spojrzenia.

–Gdzie idziemy?

–Tam jest chyba główna budowla. Może to siedziba władzy?

Starając się omijać największe kałuże, ruszyli w stronę górującego nad otoczeniem poszarpanego muru. Deszcz sprawiał, że kolorowe szyby w oknach stawały się szare, tak jak tłum zbity wokół parujących kotłów z jedzeniem ustawionych pod dachem. Zapleśniałe szmaty, liszaje i kopeć na ścianach zaimprovizowanej kuchni zmusiły ich do przyspieszenia kroku i wyrwania się z kręgu duszących woni. Richards otworzył jakieś drzwi i weszli do wnętrza mrocznej budowli. W pierwszej chwili z powodu pnącej się po ścianach roślinności nie zorientowali się, że są w świątyni. Jednak układ prawie ginących w czarnym zalewie liści ławek, podwyższenie na czymś, co mogło być nawą poprzeczną, i kamienny stół czy ołtarz jednoznacznie określały charakter ogromnego pomieszczenia. Wypełniał je dym jakichś kadzidel, tak że cała sala była jakby zamglona, a wszystkie dające się dostrzec kontury wydawały się zamazane, nieostre. Ciemne wnętrze sprawiało wrażenie lasu, na który opadła gęsta mgła. Blade światło padające przez wysoko umieszczone okna bazyliki rzeźbiło istne uliczki, które jak reflektory w nocy rozjaśniały nieśmiało wyższe partie świątyni. Niestety, efekt ten powodował gęstnienie mroku na dole. Fletcher zapalił papierosa. W martwej ciszy słyhać było stuk padającej zapalki.

–Spodziewałeś się czegoś takiego? – spytał cicho.

Tłuścioch wzruszył ramionami.

–Prymityw – mruknął. – Armia Redfielda zajmie to wszystko w kilka minut.

–Obawiasz się, że do tego dojdzie?

–Landau się obawia. Jak myślisz, po co kazał nam zbadać sprawę zorganizowanej opozycji?

Fletcher zaciągnął się głęboko.

–Ciekawy punkt widzenia. Cóż, wyjmij notes i pisz. Brak murów obronnych, wąskie ulice, łatwe do zablokowania, barykady najprawdopodobniej drewniano-ziemne, brak snajperów, miotacze ognia powinny spowodować panikę. Uwaga, w ostatniej chwili wprowadzono do uzbrojenia nowy model kuszy...

–Nie wyglupiaj się. Chodźmy dalej.

Richards ruszył przodem, zajmując sobą prawie całą przestrzeń wąskiego korytarzyka. Błądząc w plątaninie krętych przejść, tuneli i galeryjek, dotarli do pierwszego jako tako zapelnionego ludźmi pomieszczenia.

–Biblioteka? – Tłuścioch wskazał na półki z książkami.

–Raczej czytelnia. Widzisz te stoły?

Nie zatrzymywani przez nikogo przeszli do następnej, dużo obszerniejszej sali. Tu również na wielopiętrowych półkach spoczywały oprawione w surowe płótno tomy. Wilgoć, pleśń i zbutwiałe drewno szaf nie przywodziły jednak na myśl biblioteki. Wszystko to wyglądało raczej na stary, opuszczony magazyn nikomu niepotrzebnych rupieci. Mimo to kilku ludzi w podobnych do siebie długich płaszczach przeglądało brudne księgi.

–Ciekawe, o czym tu piszą – Fletcher sięgnął na najbliższą półkę.

–I co? Poezja czy porno?

–Coś o naturze wody. Zbyt niejasne jak dla mnie – rzekł i odstawił książkę.

–Druk.

–Tak, ale prymitywny. Najprawdopodobniej drewniana czcionka.

Tłuścioch podszedł do młodego człowieka przeglądającego coś na drewnianej galeryjce.

–Przepraszam, gdzie jest dział powieści sensacyjnych?

Tamten odwrócił głowę. Przez chwilę przyglądał im się uważnie, potem zręcznie zeskoczył na dół.

–Przybywacie z bardzo daleka, prawda?

–Jasne – Fletcher wznosił oczy ku sklepieniu. – Umarłbyś ze starości chcąc przejść drobną część naszej drogi. Słuchaj, czy mógłbyś nam wyjaśnić, co się stało z cywilizacją, która tu była przed wami?

Chłopak wytrzeszczył oczy.

–No, dlaczego tu jest tak mało ludzi?

–Tu jest dużo ludzi.

–Powiedz – wtrącił się Tłuścioch. – Była wielka wojna, tak? Pewnego dnia zrobiło się bum i wyrosły grzyby?

–Wojna? Grzyby? Ach, żartujecie...

Fletcher załamał rękę.

–Dobra. Ale nie powiesz mi, że to normalne, jeśli ludzie nie dążą do opanowania całego świata.

–Dlaczego mieliby dążyć – uśmiechnął się chłopak – przecież człowiek jest przejściową formą ewolucji prowadzącą do czegoś lepszego. Dążenie do czegośkolwiek nie ma sensu.

Tłuścioch spojrzal na niego podejrzliwie.

–Ewolucja? Skąd ci to przyszło do głowy? Skąd w ogóle znasz to słowo?

–Zaraz – powstrzymał go Fletcher. – A te budowle? To miasto? Przecież nie wyrosło samo.

–Budowanie nie jest dążeniem. Gdzieś trzeba czekać na przemianę. Pozbawienie siebie życia nie jest słuszne, przecież to również swego rodzaju dążenie.

–Jak to? Nigdy nie czujesz potrzeby wybrania się gdzieś dalej? Nie chcesz wiedzieć, co jest za morzem?

–Człowiekowi dana jest możliwość niewiedzy, życie obok tego, co się dzieje w naturze. Możemy świadomie nic nie rozumieć i nie starać się zrozumieć. Dlaczego mamy z tej możliwości nie skorzystać?

Fletcher zdeptał niedopalek.

–Skoro jednak myślisz i analizujesz fakty, to musisz wiedzieć, że dążenie do stworzenia sobie jak najlepszych warunków jest naturalne. Dlaczego człowiek ma tego nie robić?

–Żeby nie zajmować miejsca wyższej formie, która nastąpi po nim. Człowiek przez jakiś błąd czy przeinaczenie oddalił się od natury, ale jako istota świadoma może zrezygnować ze swojego rozumu. Powinien przybliżyć się do świata, który podlega ewolucji.

Stojący trochę z tyłu Tłuścioch pokręcił głową, krzywiąc twarz w uśmiechu.

–Mam zapisać w notesie, że morale wrogich sił jest zerowe? – spytał.

Fletcher machnął ręką.

–Oszaaleli. Wszyscy oszaaleli. Ale nie uwierzę w to, że cywilizacja upadła tylko dlatego, że pewnego pięknego dnia nagle wszyscy zaczęli zbliżać się do natury.

–Co to jest cywilizacja? – spytał chłopak.

–Taka parszywa organizacja, która jednak stworzyła kilka przyjemnych rzeczy – Fletcher uniósł rękę z rozcapierzonymi palcami, jakby chciał zacząć wyliczać.

–Tylko bez świństw – przerwał mu Richards.

–Trudno. Powiedz w takim razie, kto tu rządzi?

–Rządzi? – powtórzył jak echo chłopak.

–Ktoś chyba koordynuje wszystkie działania?

–Nie wiem.

Fletcher włożył ręce do kieszeni.

–Słuchaj, kto drukuje te książki? Kto zajmuje się administracją?

–Odpowiedni urzędnicy.

–Doskonale, a kto stoi nad nimi?

–Jak to stoi?

–Kto każe im robić właśnie to, a nie na przykład malować ściany?

–Sami chcą to robić...

Fletcher był teraz posągami cierpliwości.

–Kto każe przestępców?

–Gniew Boży!

–Dobrze, a kto pomaga temu gniewowi?

–Demony.

–Bardzo sprytne. Czy tu odbywają się jakieś ceremonie? – Fletcher wskazał kierunek pierwszego budynku, do którego weszli.

–Tak.

–Kto im przewodniczy?

–Odpowiedni ludzie.

–Ale jest ktoś najważniejszy?

–T...Tak... Pan Drummond.

–I o to nam właśnie chodziło – Fletcher uśmiechnął się zimno. – A teraz powiedz, jak się z nim spotkać? Tylko mi nie mów, że on nie istnieje, że nie ma ciała, bo za bardzo się zbliżył z naturą, albo że chronią go demony.

–Nie. Urzędnicy nie dopuszczają do niego nikogo.

–Jesteśmy w domu – mruknął Tłuścioch.

Fletcher spojrział na niego, potem przemknął wzrokiem po chłopaku. Wyciągnął następnego papierosa.

–To prawdziwy labirynt – Tłuścioch wychylił się przez kamienną barierkę i spojrział w dół.

– Ciekawe, skąd wzięli tyle budulca?

Fletcher wzruszył ramionami.

–To chyba jakiś teatr.

Stali na szerokiej galerii, otaczającej położony kilkanaście metrów niżej równoboczny dziedziniec. Był tak rozległy, że nie mogli rozpoznać żadnych szczegółów kilku sylwetek stojących po przeciwnej stronie. Na środku wolnej przestrzeni wznosiła się dziwna, prostopadłościenna budowla, której płaski dach znajdował się trochę poniżej poziomu galerii. Była pozbawiona okien, drzwi i wszelkich otworów, tak że Fletcher zastanawiał się, czy nie jest to przypadkiem pełna bryła wykuta w kamieniu, coś w rodzaju monstrualnego postumentu.

–Widzisz ten słup na szczycie? – spytał. – Może to rodzaj piorunochronu?

–Niższego od otaczających dachów? Gdyby nie ten pał, mielibyśmy świetne lądowisko dla helikopterów. – Tłuścioch wskazał na widoczną w przesmyku między budynkami, otoczoną wysokim murem wieżę. – Zauważyłeś, że wieża i otwór w murze tworzą z tym cokołem idealnie prostą linię. Jak muszka i szczerbinka. Nawet podczas wichury pilot schodziłby jak po sznurku.

–Dla śmigłowca to raczej bez znaczenia. Tylko samolot mógłby wykorzystać takie znaki.

–Przecież samolot tu nie wylądaje...

–Właśnie.

Richards oderwał się od barierki.

–Chodźmy. Do wieczora nie znajdziemy tego biura.

–Sądziś, że to będzie biuro?

Ruszyli wzdłuż krzywej i nieregularnej elewacji. Po chwili zanurzyli się w ciąg zimnych, wilgotnych wnętrz. Większość pomieszczeń była pusta, tak że odgłos ich kroków odbijał się od zmurszałych, pokrytych śladami zamierchłego bielenia ścian. W którymś z podobnych do siebie korytarzy Fletcher zatrzymał się nagle.

–Słyszysz? – spytał, szarpiąc dłoń Richardsa.

Tamten przystanął niechętnie.

–Co?

–Ktoś za nami idzie.

Tłuścioch spojrział w mroczną czeluść.

–Jesteś pewien?

–Idziemy – szepnął Fletcher. – Cicho.

Tuż za rozwidleniem zatrzymał się, dając znak, żeby Richards szedł dalej. Dłuższą chwilę stał nieruchomy, ukryty za filarem. Gdzieś z tyłu dobiegł go cichy odgłos pospiesznych kroków. Wysunął się do przodu w momencie, kiedy wysoki, zakapturzony mężczyzna mijał jego kryjówkę. Tamten drgnął odruchowo, ale zaraz opanował się i nie tracąc rytmu minął go, patrząc obojętnie przed siebie. Fletcher ruszył za nim. Przy następnym rozwidleniu nieznajomy zatrzymał się, nasunął kaptur głębiej na czoło i powoli, jakby nie wiedząc, jaki wybrać kierunek, skręcił w prawo. Na widok czekającego tam Tłuściocha zawrócił jednak, błyskawicznie wyminął Fletchera i prawie biegiem ruszył z powrotem.

–I co o tym myślisz?

–Myślę, że przesadzasz – Richards cicho ziewnął. – Przestraszyliśmy jakiegoś gościa i tyle.

–A jeśli nas śledzi?

–Obojętne. I tak na to nic nie poradzimy... Chodź, zdaje się, że odnaleźliśmy właściwe miejsce.

Pchnął półotwarte drzwi. Pomieszczenie, do którego weszli, w porównaniu z pustymi salami labiryntu wydawało się wypełnione tłumem wrzeszczących i gestykujących osób. Dłuższy moment trwało, zanim uświadomili sobie, że w niewielkiej salce jest zaledwie kilkunastu ludzi.

Fletcher klasnął w dłonie.

–Chciałbym się widzieć z panem Drummondem – powiedział głośno. – Czy ktoś z panów mógłby mi to ułatwić?

Kilka głów zwróciło się w ich stronę.

–Nie wyglupiaj się – syknął Tłuścioch.

Nie zdążył jednak nic dodać. Zza szerokiego stołu prawie wyskoczył wysoki, lekko posiwiasty mężczyzna w długim płaszczu.

–Jestem Blake Cohn – przedstawił się. – O co wam chodzi?

–Chcemy porozmawiać z Drummondem.

–Z kim?

–Czy mówię niewyraźnie?

Cohn skrzywił wargi.

–Dlaczego właśnie z nim?

–A dlaczego nie?

–Zaraz – wtrącił się Richards. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy.

Uśmiechnął się prawie szczerze.

–Przybywamy z bardzo daleka. Musimy porozmawiać z kimś z kierownictwa.

–Kierownictwa? – Cohn zdawał się nie rozumieć znaczenia tego słowa.

–Chyba ktoś tu wydaje rozkazy. Ktoś musi zajmować się choćby administracją, koordynować plany...

Tamten zaprzeczył ruchem głowy.

–Dobrze – powiedział Fletcher. – Chcemy zobaczyć waszego duchowego przywódcę, jeśli tak to można określić.

–Ale pan Drummond jest zajęty.

–Przez całą dobę?

Kilku innych mężczyzn otoczyło ich luźnym kręgiem. Widać było, że są poruszeni przebiegiem rozmowy.

Cohn nerwowo strząsnął opadające na czoło włosy.

–Pan Drummond myśli o ludziach, o ich istnieniu i pysze... Człowiek nie jest ostatnią formą...

–To już wiemy – przerwał mu Fletcher. – Czy możesz nas do niego zaprowadzić? Albo chociaż zapowiedzieć naszą wizytę?

–Nie.

–A przekazać prezent od nas?

–Chyba... chyba tak.

Fletcher wyjął z bocznej kieszeni kolorowy kartonik. Owinął go w papierową chusteczkę i podał Cohnowi.

–Doręcz do rąk własnych.

–Dobrze, ale i tak was nie przyjmie.

–Nas przyjmie.

Fletcher kiwnął na Tłuściocha i starając się nie potrącić żadnej z otaczających ich osób, wyszedł na zewnątrz.

–Wracamy? Chyba wystarczy na dzisiaj? – spytał, ruszając w stronę głównego wyjścia.

Tłuścioch skinął głową.

–Co mu dałeś?

–Trójwymiarowe zdjęcie gołej panienki.

–Tego się właśnie bałem.

–Bez paniki. – Fletcher z całej siły pchnął ciężkie, okute metalem drzwi. Przytrzymał je, a kiedy Richards znalazł się na mrocznej ulicy, kopnął z wściekłością. – Landau wyznaczył na dzisiaj pierwszy seans łączności. Może nasi wyciągnęli już broń z tych magazynów.

–Słaba pociecha.

Klucząc wśród małych zaułków, dotarli do gospody w chwili, kiedy noc zapadła na dobre. O tej porze roku była to jeszcze wczesna godzina, a mimo to główna sala świeciła pustką.

Gospodarz za kontuarem musiał drzemać. Nie poruszył się ani kiedy przechodzili obok niego, ani kiedy waląc buciorami w stopnie, wspięli się po wąskich schodach.

–Jak skończysz, wpadnij do mnie – Tłuścioch zatrzymał się w drzwiach. – Chciałbym wiedzieć, co nowego wymyślili chłopcy w miękkich fotelach.

W pokoju Fletchera panował bałagan. Widocznie mimo świadczenia niekonwencjonalnych usług dobre zwyczaje starych hoteli nie były tu znane.

Fletcher postawił radiostację na rozkopanym łóżku. Rozłożył anteny, włączył zasilenie, ale nagle zamarł z palcem na przycisku sygnałowym. Po chwili schylił się i podniósł z podłogi notes z częstotliwościami nadawania. Przysięgnąłby, że rano zostawił go w kieszeni plecaka.

Zaniepokojony, sięgnął po pistolet maszynowy. Skończył go rozkładać, kiedy wszedł Tłuścioch.

–U ciebie też?

–Co u mnie?

–Nie udawaj. Ktoś gruntownie przejrzał wszystkie moje rzeczy.

Fletcher na powrót umocował zamek w obsadzie.

–Iglica, podajnik – wszystko w porządku. Sprężyna oporowa lekko wsunęła się na lufę. – Nie grzebali w broni. Interesowało ich co innego.

–Więc jednak.

Fletcher uniósł głowę.

–Ciekawe, czego szukali.

–Może to miejscowy zwyczaj. – Tłuścioch przysiadł na skraju łóżka. Jedną ręką pomógł zamocować chwyt i osłonę lufy. Drugą przytrzymał radiostację. – Powinniśmy o tym zameldować.

–Po co? Chcesz, żeby zwalili nam na kark kilkunastu ludzi?

–Wolę to od średniowiecznego lochu.

–Może są tu stare lochy wypełnione jęczącymi więźniami, ale metody mają trochę nowsze. Richards wzruszył ramionami.

–Rób, jak chcesz – odrzucił gotowy pistolet do plecaka. – W końcu to jednak partacze.

–Właśnie – uśmiechnął się Fletcher. Włączył sygnał wywoławczy, a kiedy zapaliła się zielona lampka, podniósł mikrofon do ust.

–Tu pierwsza grupa. Dajcie tego starego ramola.

–Jestem przy mikrofonie – głośnik zniekształcał barwę, tak że trudno było rozpoznać mówiącego.

–To... to pan, szefie?

–Tak – teraz dopiero rozpoznali głos Landaua.

Tłuścioch skrzywił się boleśnie.

–Właściwie nie mamy nic nowego – Fletcher miał trudności ze złapaniem oddechu. –

Aklimatyzujemy się.

–Za to ja mam coś dla was. Przeprowadziliśmy dokładne badania satelitarne powierzchni Ziemi.

–Tak?

–Można teraz z całą pewnością stwierdzić, że cywilizacja nie zginęła z powodu wojny atomowej. Nie ma żadnych nienaturalnych zniszczeń.

–Więc co się stało? Wszyscy naraz zatruli się coca-colą?

Dłuższy czas głośnik przekazywał tylko trzaski.

–Nasi ludzie odnaleźli magazyny – podjął znowu Landau. – Sprzęt jest w dostatecznie dobrym stanie, ale z powodu trudnego dostępu do komór założenie głównej bazy trochę się przeciągnie.

–To chyba pierwsza dobra wiadomość...

–Mam też drugą.

–Tak.

–Dwóch ludzi odłączyło się od głównej grupy. Idą do drugiej osady, bardziej na południu.

–Dezserterzy?

–Nie. Wysłał ich Redfield.

–W takiej samej misji jak nasza? – domyślił się Fletcher.

–Każdy chce dysponować jak najlepszymi informacjami. Niestety, dla was oznacza to przyspieszenie pracy. Organizacja, struktura władzy, opozycja – muszę to mieć jak najszybciej.

–Oczywiście. Robimy, co w naszej mocy.

–Cieszę się – głos Landaua nagle jakby złagodniał. – Może macie jakieś życzenia?

–Nie. Raczej nie.

Richards postukał się w czoło.

–W takim razie kończę. Następną rozmowa w umówionym terminie.

Fletcher w westchnieniu ulgi wyłączył zasilanie.

* * *

–Przyspieszyć! – Tłuścioch zdmuchnął kurz z opasłego tomiska. – Łatwo mu mówić siedząc w miękkim fotelu.

Fletcher po raz kolejny przesunął wzrokiem po wznoszących się do sklepienia półkach biblioteki. Uderzył dłonią w rozłożony na stole, pokryty żółtymi zaciekami wolumin.

–Przecież gdzieś tutaj musi być choćby wzmianka o losie cywilizacji.

–Być może. Ale przez kilka lat nie zdołamy przejrzeć tego wszystkiego.

Fletcher usiadł pod zmurszałą ścianą i opatulił się puchową kurtką. Wydawało się, że odgłos bijącego o dachówki deszczu potęguje działanie chłodnego i wilgotnego powietrza.

–Przecież nie można naprodukować takiej masy bzdur, nie wspominając ani słowem o historii.

–Myślisz?

Fletcher zapalił papierosa. Senna atmosfera rozległego poddasza działała na niego przygnębiająco.

–Może przeglądamy nie te książki, co trzeba – strzepnął popiół na kartki rozłożonego między nogami tomu. – Zastanawiam się, czy nie ma tu jakiejś tajnej części biblioteki.

Richards spojrział w kierunku kilku ludzi leniwie przewracających kartki przy innych stołach.

–Zostawiłbym to wszystko w diabły – powiedział cicho. – Powinniśmy wziąć się za ich organizację.

–Jak? Poprosimy Gohna o ksero materiałów przedstawiających strukturę organizacyjną?

–A co nam da siedzenie w bibliotece?

Fletcher zaciągnął się głęboko.

–Gdzieś tu na pewno tkwi odpowiedź na wszystkie pytania. Być może, ujęta nie wprost, kwestia tylko, jak ją znaleźć.

–Właśnie. To lata pracy dla sztabu specjalistów.

–Co w takim razie proponujesz? Wypytywać ludzi w barze?

Tłuścioch przetarł załzawione oczy.

–Ciekawe, jak by zareagowali.

–Jak dotychczas zastanawia mnie co innego. Zwróciłeś uwagę, że czegoś tu brak?

–Jasne. Gorącej wody, prasy, telefonów, miejskiej komunikacji i paru innych rzeczy.

–Chodzi mi o coś, co powinno być.

–Czego ci brakuje? Ruchu wyzwolenia kobiet?

–Dzieci.

–Co?

–Odkąd tu jesteśmy, nie zauważyłem ani jednego dziecka.

Tłuścioch odruchowo rozejrzał się wokół.

–Zaraz, przecież nasz gospodarz ma córkę.

Fletcher rozłożył ręce.

–Nigdy mu tego nie zapomnisz... Chodzi mi o prawdziwe małe dzieci, a nie o powiązania rodzinne. Jego córka jest dorosłą kobietą.

–Teraz już jest – roześmiał się Richards. – W porządku – powstrzymał go ruchem ręki. – Wiem, o co ci chodzi. Ale co z tego? Może trzymają je w jakichś zamkniętych szkołach.

–Przez cały czas?

–No dobrze, spytajmy kogoś.

Podnieśli się powoli.

–Tego?

Podeszli do starszego człowieka schyłego nad poszarzałymi papierami.

–Przepraszam – zaczął Richards. – Chcielibyśmy się dowiedzieć, gdzie są wszystkie dzieci.

–Dzieci? – mężczyzna spojrział na nich zdziwiony.

–O Boże, znowu... – Fletcher wznosił oczy ku górze. – Czy nikt z nich nigdy nie odpowie normalnie na zupełnie proste pytanie?

Tłuścioch postawił nogę na ławie.

–Chyba gdzieś je trzymacie? – spytał łagodnie.

–Kogo?

Fletcher i Richards wymienili spojrzenia.

–Skąd się biorą ludzie?

Mężczyzna spuścił wzrok.

–Pochodzenie człowieka jest grzeszne...

–He, he, to wiemy – wtrącił Fletcher, ale Richards powstrzymał go ruchem ręki.

–...wszystko, co żyje, składa się z wody. Kiedyś jednak nastąpi oczyszczenie. Nieczyści ludzie znikną, a to, co nastanie po nich...

–Będzie wielkie i szlachetne. W porządku. Ale na razie wszystko jest po staremu, tak jak nakazuje natura, więc gdzie są dzieci?

–Nie wiem, o co wam chodzi.

–Nie możesz mówić?

–Nie wiem...

–Dobrze, a kto wie?

Wyraźnie przestraszony mężczyzna ponownie schylił się nad papierami. Widać było, że z trudem panuje nad drżeniem rąk.

Tłuścioch westchnął cicho.

–Chodźmy – mruknął, a kiedy usiedli na swoich miejscach, dodał szeptem. – Kłamię?

–Albo rzeczywiście nic nie wie.

–Przecież Drummond nie może trzymać całej chmary smarkaczy w swoim gabinecie.

Muszą wychodzić na zewnątrz.

–A jeśli trzymają je gdzieś poza obrębem zabudowań?

–W lesie?

–Powiedzmy.

Richards odgarnął opadające na czoło włosy.

–Tylko po co? Zresztą mniejsza z tym – machnął ręką. – Sądzisz, że naprawdę mają tu

jakaś tajną bibliotekę?

Fletcher zmrużył oczy.

–Może źle się wyraziłem. Nie tyle tajną, co zamkniętą... specjalistyczną.

–Pozostaje kwestia, jak ją znaleźć.

–Może Cohn nam pomoże. Jeśli nie, trzeba będzie zacząć działać znacznie ostrzej.

Tłuścioch pokręcił głową.

–Złapać kogoś i przypalić mu pięty?

–Czemu nie? Słyszałeś przecież, że magazyny są już właściwie w naszym zasięgu.

Gdybyśmy przypadkiem za bardzo nabroili, sądzę, że możemy liczyć na skuteczną pomoc w ciągu dwudziestu czterech godzin.

–Powiedzmy, czterdziestu ośmiu. Myślisz, że nie zabiją nas w tym czasie?

–Bez przesady. Nie planujemy zamachu stanu. Gdyby sytuacja zmusiła nas do użycia drastycznych metod i gdyby się to wydało, grozi nam najwyżej wrzucenie do lochu. Zresztą w każdej chwili możemy przeciągać ewentualne przesłuchanie. Choćby poprzez pokazanie im naszego sprzętu. Nawet inkwizycji dałoby to do myślenia.

Tłuścioch zagryzł wargi.

–Naprawdę chcesz zacząć działać brutalnie?

–Bez przesady. W razie potrzeby jednak nie powinniśmy się ograniczać.

Fletcher podniósł się z ławy.

–Chodźmy stąd – ruszył w kierunku wyjścia. – Poszukamy czegoś lepszego.

–Zaczekaj – Tłuścioch dogonił go w drzwiach. – Przeczytam ci fragment.

Otworzył trzymany w rękach tom i dłuższą chwilę szukał właściwego miejsca.

–Coś ważnego?

–Czekaj, widziałem to wcześniej, a teraz nie mogę znaleźć – ręka Richardsa błyskawicznie przerzucała kartki. – O, słuchaj: „Wszelkie wzmianki i krążące gdzieniegdzie pogłoski o sile mającej jakoby emanować z ziemi, która zetrze brud wodnego pochodzenia z istnienia ludzi, należy z gruntu uznać za fałszywe. Ci, którzy dają im wiarę, a także ci, którzy w głupocie swojej je rozpowszechniają, powinni głęboko zastanowić się nad sobą i wrócić na łono prawdziwej nauki.”

–To wszystko? – spytał Fletcher, opierając dłoń na wpół otwartych drzwiach.

–Tak – Richards zamknął księgę, i na chybił trafił wstawił ją między luźne tomy na najbliższej półce.

Gdzieś z góry dochodził, stłumiony przez sklepienie, odgłos walki jakichś ptaków.

–Myślisz o tym samym co ja? – głos Fletchera zabrzmiał nienaturalnie głośno.

–Z tego wynika, że nie wszystkim się tutaj podoba. Wbrew temu, co widać na pierwszy rzut oka.

–Może za ostro powiedziane, w każdym razie jednak nie wszyscy tu zwariowali.

–Ale ta siła...

–Nie daj się zwieść pozorom. Może to symbol albo przerośnięcie...

Fletcher pchnął drzwi, zatrzasnął je za Tłuściochem. Ukryty za nimi mężczyzna odwrócił się błyskawicznie i prawie biegiem ruszył w głąb korytarza. Richards sięgnął do kieszeni.

–Zostaw – Fletcher patrzył na rozwiane połacie płaszcza migającej między filarami sylwetki.

–Stał tutaj cały czas.

–Trudno. Nie dogonimy go w tym mroku.

–Ale gdybym wyciągnął...

–Skąd wiesz, że on w ogóle wie, co to jest broń?

–Mogłeś za nim pobiec.

–Ty też.

Tłuścioch uderzył pięścią w ścianę.

–Nie zamierzasz nic robić?

–Nie tutaj.

Fletcher wsłuchiwał się w zamierający w oddali odgłos kroków. Kiedy zamilkły, powoli zapiał kurtkę i zwrócił się w przeciwnym kierunku.

Duże i ciężkie płaty śniegu opadały powoli, pokrywając helmy wież i dachy mokrym całunem. Ostre światło księżyca w pełni wraz z towarzyszącymi mu odblaskami sprawiało, że mimo późnej pory było stosunkowo jasno. Wiejący gdzieś z północy, nieprawdopodobnie ciepły wiatr topił leżący na ulicach śnieg, wypełniając je zimnym, białawym z wierzchu błotem.

Fletcher odrzucił kolejnego papierosa. Nasunął na uszy wełnianą czapkę i wcisnął się jeszcze głębiej w wąską szczelinę między dwoma kamienicami.

–Długo będziemy tak stali? – Tłuścioch rozcierał zgrabiałe dłonie. Nie mógł się zmieścić w żadnej z licznych wnęk w bogato rzeźbionej ścianie, więc kuczał teraz, daremnie starając się ukryć za ażurową barierką, ograniczającą zbity z koślawych desek chodnik.

–Ciszej.

–Nie wytrzymam dłużej w tej pozycji.

–Siedź cicho.

Fletcher przecierając co chwilę mokre brwi, obserwował tonące w mroku przejście między posępnymi murami. Tkwiąca tam od dłuższego czasu sylwetka poruszyła się lekko, a potem powoli, jakby z wahaniem posunęła się kilka kroków do przodu. Fletcher odskoczył w tył.

–Wycofujemy się – szepnął.

Starając się nie robić hałasu, przemknęli do najbliższego zakrętu. Fletcher podbiegł do zmierzającego w przeciwnym kierunku człowieka...

–Potrzebuję twojego płaszcza powiedział ściszone głosem. Natychmiast!

W oczach chłopaka błysnęło zdziwienie.

–Szybciej! – wcisnął mu w rękę złotą monetę.

–Ale... Ale to...

–Nie mam absolutnie czasu na rozmowy.

Dwie następne monety sprawiły, że chłopak pobił swój życiowy rekord w szybkości rozbierania. Trzymając przed sobą kurczowo zaciśniętą dłoń, wycofywał się tyłem, a potem jakby bojąc się zmiany zdania nabywcy, rzucił się biegiem w stronę najbliższego zaułka. Fletcher zarzucił płaszcz na ramiona, nie wciągając nawet rękawów.

–Idź powoli do przodu – zasłonił głowę kapturem. – Trzymaj się lewej ściany i uważaj na każdy hałas.

Tłuścioch skinął głową.

Fletcher skulił się w najciemniejszym miejscu pod jakimś wykuszem. Wstrzymując oddech, napiął mięśnie nóg. Poruszane wiatrem płaty śniegu osiadały na jego kolanach. Gdzieś w górze

trzasnęła okiennica.

Śledzący ich mężczyzna pojawił się po kilkunastu sekundach. Szedł pewnie samym skrajem wąskiego chodnika, tam, gdzie wzmocnione dłużycami deski najmniej skrzypiały. Najprawdopodobniej nic nie podejrzewał, bo odwrócił głowę dopiero, kiedy wszedł pod wykusz.

–Stój! – krzyknął Fletcher.

Błyskawicznie odrzucił płaszcz i skoczył na majaczącą w ciemności sylwetkę. Tamten cofnął się jednak, tak że wyprowadzony lewą ręką cios trafił w próżnię. Wykorzystując bezwładność, Fletcher odwrócił się i wbił łokieć w jego brzuch. Mężczyzna jęknął głucho, ale utrzymał się na nogach. Jego ręka zrobiła szeroki zamach, Fletcher schylił się szybko i kantem dłoni uderzył go w odsłonięty bok. Zaraz wyprostował się jednak, nie chcąc narażać głowy na ciosy, i przyjął postawę obronną. Stali teraz naprzeciwko siebie, nawzajem starając się ocenić swoje siły. Śnieg padał prosto na twarz Fletchera, co pogarszało jego sytuację. Z trudem przesuwał nogi w gęstym błocie, zrobił dwa kroki w bok. Przeciwnik odgadł jego zamiar i jednym skokiem znowu ustawił się w korzystnym położeniu. Fletcher nie czekał, aż zajmie odpowiednią pozycję. Markując cios ręką, ruszył do przodu, by w odpowiednim momencie unieść prawą nogę do decydującego kopnięcia. Tamten musiał to przewidzieć. Zrobił ledwie dostrzegalny zwrot, przydepnął lewą nogę Fletchera i lekko pchnął go w bok.

Łądując w błocie, Fletcher zdołał przewrócić się na plecy. Obcy jednak nie atakował. Na dźwięk kroków nadbiegającego Richardsa odskoczył z powrotem na chodnik i teraz jego oddalająca się szybko postać pojawiała się i znikwała na tle ciemnych zabudowań.

Fletcher, klnąc bezgłośnie, zerwał się i zaczął biec.

Nie ruszył od razu pełną szybkością. Chociaż oszczędzał siły, już po chwili minął Tłuściocha, jakby ten stał w miejscu. Wciągając powietrze nosem, a wypuszczając ustami, wyregulował oddech i dostroił go do wybijanego butami rytmu. Uciekający najwyraźniej zmierzał do odległej o kilkaset metrów uchylonej bramy jakiegoś budynku, przez którą sączyło się blade światło. Dystans między nimi zmniejszył się, ale stało się też jasne, że w tym tempie łopocząca faldami płaszczka postać dotrze do wejścia pierwsza. Fletcher systematycznie przyspieszał, czując, jak pot gromadzi mu się nad brwiami. Błyskawicznym ruchem starł go, przekrzywiając czapkę. Brak ćwiczeń i papierosy były przyczyną, że coraz większą trudność sprawiało mu utrzymanie regularnego oddechu. Mimo chłodu pot zalewał mu oczy i spływał po całej twarzy. Kilka razy potknął się, stopy grzęzły w śliskim błocie. Tępy, pulsujący ból paraliżował klatkę piersiową, wyschnięte gardło paliło ogniem. Przez zmrużone powieki dostrzegł, jak tamten jednym kopnięciem otwiera bramę i zataczając się biegnie dalej. Przelamując bezwład zdrętwiałych mięśni, Fletcher zdołał jeszcze przyspieszyć. Prawie zamoczony zmęczeniem wbiegł do środka, przeskoczył stos drewnianych skrzynek i przez wąski korytarz dotarł do wielkiej, ledwie oświetlonej kilkoma pochodniami sali. Zdyszany mężczyzna, słysząc tuż za sobą odgłos kroków, zatrzymał się.

–Nie zbliżaj się! – krzyknął.

–Stój!

Tamten rozejrzał się rozpaczliwie i nagle skoczył do przodu, wyprowadzając cios lewą ręką. Fletcher odbił ją i podstawił mu nogę. Nachylił się nad leżącym. Tamten musiał to wyczuć, bo nie podnosząc głowy, zaczął uciekać na czworakach, aż natrafił na ścianę. W desperackim wysiłku chwycił oburącz drewnianą ławę i pchnął ją do tyłu, przewracając Fletchera.

Wykorzystując moment przewagi, podniósł się i wybiegł przez małe drzwi w ścianie, zatrzasnąwszy je za sobą.

Fletcher wstał powoli, prostując obolałe mięśnie. Podeszedł do ubożego portalu i, podejrzewając podstęp, zaczął nasłuchiwać. Własny, niemożliwy do powstrzymania oddech utrudniał jednak usłyszenie czegokolwiek. W przeblysku naglej decyzji napał ciałem i wpadł do środka. Rozejrzał się, mrużąc oczy przed światłem kilku pochodni. Potem usiadł na podłodze, zmiętą czapkę wytarł nagromadzony na czole pot. Prawie widział, jak paruje w zimnym powietrzu.

Chwilę później przybiegł Richards. Był tak zmęczony, że nie mógł wydobyć ani słowa. Zatonął pod ścianą i po niej osunął na ziemię. Ciężko dysząc, siedział dobrą minutę.

–Gdzie on jest? – wychrypiał wreszcie.

–Wbiegł tutaj.

–Tutaj? – Tłuścioch ogarnął wzrokiem małe pomieszczenie pozbawione jakichkolwiek otworów poza drzwiami, którymi weszli. – I co?

–Nic. Znikł, wsiąkł, rozplynął się.

–To niemożliwe – Richards chwiejąc się stanął na nogi. – Tu musi być jakieś ukryte przejście.

–Musi! – Fletcher zerwał się i jednym ruchem ręki przewrócił półki z jakimiś narzędziami.

– Musi! – silnym kopnięciem rozbił stojaki z łańcuchami. – Tylko gdzie, do cholery?

Wyjął latarkę i w jej świetle zaczął oglądać ściany.

–Tego tynku nikt nie ruszał od lat – dziabnął szczytykiem w miejsce, gdzie schodziły się ściany. – Podłoga też jest tym wymurowana. Więc którądy?

Jedna z pochodni zaskwierczała, wypełniając małe pomieszczenie gryzącym dymem.

–Może wyciągnęli go przez sufit? Co?

Tłuścioch spojrzął na spowite pajęczynami sklepienie.

–Byłem tu kilka sekund po nim. Żadne dobrze ukryte przejście nie może działać tak szybko!

–Więc co się stało?

Fletcher wzruszył ramionami.

–Nie znam się na czarach.

Tłuścioch z rezygnacją machnął ręką.

–Wiesz, co tam jest? – wskazał za siebie kciukiem. – Przyjrzałeś się dobrze?

–Nie.

–Sala tortur – odwrócił się i stanął w drzwiach. – Dalej chcesz działać brutalnie?

* * *

Fletcher, wściekły, rzucił grubą książkę na stół, aż gęsty, ale wyjątkowo lotny kurz wzbił się we wszystkie strony. Okładka zgięła się, wypuszczając na zewnątrz stos źle spiętych kartek.

–Mam dość tego siedzenia w bibliotece – mruknął.

Tłuścioch podniósł oczy znad rozłożonego na kolanach tomu.

–W tym pomieszczeniu są dużo ciekawsze materiały.

–Szpargały...

–Ale masz rację. Mnie też się to nie podoba.

Fletcher ożywił się.

–Co konkretnie?

–Na przykład to, że nikt się nami nie interesuje.

–Faktycznie – przesunął ręką po twarzy. – Pierwszej nocy okazały nam kompletny brak zainteresowania dwie panie, a później jacyś ludzie chodzą za nami tylko po to, żeby nam udowodnić, że nie interesujemy ich zupełnie.

–Nie o tym myślałem.

–Ach, chodzi ci o to, że jeśli ktoś się nami zajmie, to zaraz znika, tak?

Tłuścioch machnął ręką.

–Twój gorzkniejący humor może wykończyć każdego.

Chciał jeszcze coś dodać, ale przeszkodziło mu wejście wysokiego mężczyzny. Przybyły odrzucił ogromny, osłaniający twarz kaptur. Poznali Blake'a Cohna.

–Jest coś nowego? – spytał od razu Fletcher.

Tamten uśmiechnął się smutno.

–Niestety, przynoszę raczej złe nowiny.

–Tak?

–Po dzisiejszej rozmowie z wami próbowałem wszelkich możliwych sposobów, żeby dotrzeć jak najwyżej...

–Ale nic z tego?

–Niestety, pan Drummond nie może was przyjąć.

Tłuścioch skrzywił się i mimo że nie było to grzeczne, powrócił do przerwanej lektury.

–To znaczy, że nie przyjmie nas już nigdy? – Fletcher zmienił pozycję, opierając się plecami o blat stołu.

–Prawdę powiedziawszy, nie liczyłbym na to – oczy Cohna błędziły leniwie po niewielkim pomieszczeniu. – Oczywiście, nie można tracić nadziei...

–Co takiego robi pan Drummond, że nie może znaleźć chwili wolnego czasu?

–O... – Cohn zmieszał się. – Trudno mi powiedzieć – podniósł rękę, żeby powstrzymać pytanie Fletchera. – Wzywają mnie ważne sprawy. Gdybyście jednak mieli jakieś wątpliwości, będę w pokoju obok. Przepraszam, że nie mogłem wam pomóc...

Kiedy wyszedł, Fletcher zamknął za nim drzwi.

–Ważne sprawy – powtórzył. – Kto zajmuje się administracją? Nikt. Do kogo należą jakiegokolwiek obowiązki? Do nikogo, ale „przepraszam, wzywają mnie ważne sprawy...”. Jakie, do cholery? Jakie?

Tłuścioch położył grubą księgę na stole. Zaznaczył ołówkiem jakiś akapit i podniósł głowę.

–Ktoś musi koordynować pracę tajnych służb – powiedział cicho.

–Sądzisz, że oni mają tajne służby?

–W końcu jednak ktoś nas śledzi.

–Tak, jacyś partacze – roześmiał się Fletcher.

–Partacze nie rozplywają się w powietrzu. Ale mam jeszcze coś – palec Richardsa dotknął zaznaczonego w tekście miejsca. – Słuchaj... Zresztą, nie będę ci dokładnie czytał. Znalazłem tu wzmianki o starych procesach ludzi sprzeciwiających się ustalonemu porządkowi rzeczy...

–Więc jednak.

–Sąd uznał, niewymieniane zresztą w tekście, idee tych ludzie za całkowicie niesłuszne, fałszywe czy wręcz zbrodnicze, a ich samych za winnych... eee... nie jest napisane czego.

Fletcher nachylił się nad stołem.

–Czy to byli pojedynczy ludzie?

Tłuścioch uśmiechnął się lekko.

–„Sąd uznaje rozpatrywane przypadki za odosobnione, a plotki o istnieniu jakiejś organizacji walczącej z doktryną za przesadzone” – zacytował. – Mamy więc organizację.

–Ciekawe, czy istnieje do dzisiaj?

–Czemu nie? Słuchaj dalej: „Oskarżeni zbierali się wokół głównej wieży w każdy pierwszy dzień tygodnia, żeby obserwować, czy w jej oknie nie pojawi się znak, który według tego, co głosili, zwiastował spełnienie ich obrazoburczych marzeń. Od tej chwili sąd uznaje podobne praktyki za zakazane.”

–Ostro.

–Tak, ale to jeszcze nie wszystko: „Zakazuje się też przynależności do stowarzyszenia, popierania go, a nawet słuchania tego, co głoszą członkowie!” – Richards zamknął książkę. – Zwróciłeś uwagę? Nie ma żadnej organizacji, a zarazem nie wolno do niej wstępować.

Fletcher pokręcił głową.

–Nieźle.

–Co najmniej nieźle. Mamy pierwszy ślad.

–Tak. I jeszcze coś. Z twojego fragmentu wynika, że są tu sądy, a co za tym idzie, musi być coś w rodzaju policji.

–Właśnie.

–Ktoś musi się więc zajmować kierowaniem tym aparatem. Muszą być lepiej zorganizowani, niż skłonni są przyznać.

–Na to wskazują wszystkie fakty.

–Zaraz, a może jeśli organizacja przestała istnieć, to sądy się rozwiązały, a policja...

Richards prawie zakrztusił się ze śmiechu.

–Słyszałeś o sędzie, który by sam się rozwiązał? Nie wspomnę już o policji... Założę się, że mają całkiem sprawny aparat administracyjny. Bardziej niż sprawny, skoro potrafili ukryć jego istnienie przed zwykłymi ludźmi.

–Mm – Fletchera dręczyły wątpliwości. – A nie sądzisz, że oni wszyscy udają?

–Przed kim? Przed nami?

–A sprawa dzieci? Tu naprawdę nikt o nich nic nie wie.

Tłuścioch zapalił papierosa i rzucił paczkę przez stół.

–Coś tu śmierdzi. Od razu wiedziałem...

–Ty? – przerwał mu Fletcher. – To ja od razu wiedziałem...

–Co?

–Mniejsza z tym – potarł zapalną o blat ławy. – Powinniśmy chyba porozmawiać z Cohnem.

–Jasne, tylko ostrożnie.

Fletcher skinął głową, podniósł się powoli i wyszedł na korytarz. Pierwsze pokoje, na które się natknęli, były puste. Cohna znaleźli dopiero w malej, mrocznej salce, pochylonego nad jakimiś papierami. Na ich widok podniósł głowę.

–Co wiesz na temat walczącej przeciwko wam organizacji? – wypalił Fletcher.

Tłuścioch skrzywił się z niesmakiem.

–Miało być ostrożnie – mruknął.

Cohn, zszokowany widokiem papierosów, zdawał się nie słyszeć pytania. Jakby wbrew sobie odwrócił wreszcie wzrok od ich twarzy i patrząc w ziemię, powiedział cicho:

–Organizacja?

–Może nie istnieje? – podsunął Fletcher.

–Nie wiem. Chyba nie było żadnej organizacji. Kiedyś mieliśmy kłopoty z kilkoma wicherzycielami, ale...

–Ale spaliliście ich na stosie i spokój.

–My?

–Nie, ja i Tłuścioch.

Cohn znowu podniósł wzrok.

–My nigdy nikogo nie karzemy. Zresztą, kto miałby to robić?

–A dawne procesy?

–A sala tortur? – dodał Richards.

–Byliście tam? – na twarzy zawitał cień uśmiechu. – Jest od dawna nie używana. To przeżytek epoki sądów i głośnych procesów.

–Chcesz powiedzieć, że sądów już nie ma?!

–Są, są, ale wierzcie mi, to już nie jest dawne, karzące ramię sprawiedliwości. Jesteśmy spokojną społecznością i jeśli kogoś trzeba ukarać, poddajemy go próbie.

–Jakiej?

Cohn zmieszal się.

–Nigdy nie biorę udziału w sądach, nie interesują mnie tego rodzaju sprawy.

–Interesuje cię wywijanie się od odpowiedzi?

–O co wam chodzi? Przecież mówię, że żadna organizacja nie istnieje.

Fletcher przysiadł na blacie stołu. Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym w stronę małego okna.

–Gdzie jest główna wieża? – spytał.

–W centrum. Musieliście ją widzieć.

–Podobno wicherzyciele zbierali się wokół niej.

–Podobno.

–Można tam teraz pójść?

Cohn zaprzeczył ruchem głowy.

–Wieża otoczona jest wysokim murem. Wejście do środka zamurowano dawno temu.

–Dlaczego? – spytał Richards.

–Dobrze, wyciągnęliście to ode mnie – Cohn zrobił gest, jakby odżegnywał się od wszystkiego. – Zamknęli je dlatego, żeby wichrzyciele nie mieli się gdzie gromadzić. Jesteście zadowoleni? – położył ręce na stole. – Ale teraz nie ma to już żadnego znaczenia.

–A okno? – Fletcher rzucił niedopalek na podłogę i zduł go obcasem. – Podobno jest tam jakieś okno, a my niczego nie widzieliśmy.

–Jest, ale znajduje się trochę poniżej otaczającego wieżę muru. Z zewnątrz trudno je zauważyć.

–Dobrze – powiedział Richards. – Odpowiesz nam szczerze na jedno pytanie?

–W miarę moich możliwości...

–Czy istnieje tajna część biblioteki?

Tym razem Cohn roześmiał się głośno.

–Tajna? W jakim sensie tajna? Zresztą, mniejsza z tym – splótł dłonie. – Spróbujcie poszukać czegoś w magazynie, na najwyższym piętrze. Ale... nie spodziewajcie się żadnych strażników czy zamkniętych drzwi. Trzymamy tam stare materiały wycofane z normalnego obiegu z powodu unikalności. Nie chcemy, żeby się szybko zużyły.

–Można tam wejść?

–Prawdę mówiąc, nie wiem. Ale czemu nie? Nikt nie grzebał w tych śmieciach od wielu lat.

–W takim razie dziękujemy za informacje... – Tłuścioch otworzył drzwi.

Fletcher podniósł się również. W progu odwrócił się jednak.

–To dla ciebie – rzucił na stół wymiętą paczkę papierosów i zapalki. – Tylko nie podpal tego całego interesu – ręka Fletchera zatoczyła szerokie koło.

–I to ma być magazyn? – Fletcher obrzucił wzrokiem niewielkie pomieszczenie. – Przecież tu jest zaledwie kilkadziesiąt książek.

–Może kilkadziesiąt właściwych – Tłuścioch zdjął z chybotliwej półki pokryty zielonkawymi naciekami tom. – Przepisy biblioteczne chyba nie są teraz tak ostre jak dawniej.

Fletcher zwałił się na stojącą w kącie ławę.

–Interesuje mnie jeden problem – mruknął, przyglądając się zagłębionemu w lekturze Richardsowi. – Można powiedzieć, klasyczny – dodał, kiedy tamten podniósł głowę.

–Tak?

–Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób skontaktujemy się z tą organizacją.

Tłuścioch wzruszył ramionami.

–W większości filmów, jakie widziałem, szło się po prostu do baru i po paru kolejkach bywalcy wskazywali kontakt.

–Tu nie ma barów.

–No to spróbujemy w gospodzie.

Fletcher pokręcił głową.

–Tak. Trafimy na prowokatora i wezmą nas na tortury.

–Jeśli rozegrać to delikatnie...

–Mówisz poważnie? Przecież miejscowa policja musi w to grać od lat, i to bynajmniej nie delikatnie. W taki sposób nie znajdziemy nic, do czego oni nie dotarliby wcześniej.

–No to spróbujemy włamać się do archiwum policji.

Fletcher z niesmakiem spojrział na pochylonego nad tekstem kolegę.

–Wolałbym rozwiązanie niewymagające użycia ludzi w sile zmotoryzowanej brygady.

–No to je wymyśl.

Tłuścioch odrzucił przejrzaną książkę. Przez chwilę przebierał na półkach, by wyjąć poźółkły, rozlatujący się tom.

–Prawdę powiedziawszy – dodał, siadając obok Fletchera – nie wyobrażam sobie żadnego rozwiązania, na które nie wpadłaby przedtem policja.

–Ja też. Ale trzeba je znaleźć.

–Rozlepmy ogłoszenia.

Fletcher uderzył pięścią o kolano.

–A poważnie?

Richards znowu zmienił książki.

–Może zapłacimy naszemu gospodarzowi, żeby kogoś znalazł?

–Coś ty się tak uczepił knajp?

–Więc zapłaćmy Cohnowi. Albo dostaniemy kontakt, albo dożywocie w tutejszym więzieniu.

–Nie uśmiecha mi się to drugie. Nie masz nic lepszego? Przecież górujemy technicznie nad tym średniowieczem.

–Faktycznie, załóżmy podsłuch telefoniczny.

Fletcher ukrył twarz w dłoniach.

–Zabiję cię – powiedział cicho.

Tłuścioch spojrział na niego znad otwartej książki. Bezwiednie przestał ją kartkować i sięgnął po następną.

–Z tym podsłuchem jednak może coś uda się zrobić. Gdyby założyć minimikrofony na przykład przy kominkach w paru domach... Co tam w paru! Załóżmy we wszystkich.

–Skąd weźmiesz sprzęt?

–Każemy go zrzucić z góry. Na statkach musi być coś w tym rodzaju.

–A skąd weźmiesz ludzi do słuchania tysięcy rozmów?

–Można losowo zmieniać kanały w odbiorniku.

–Tak, a po miesiącu takiego magla sami zgłosimy się w sali tortur w ostatnim stadium schizofrenii.

Richards wrócił do wertowania kartek.

–Przestało cię to interesować? – zdenerwował się Fletcher.

–Nie, ale co mam zrobić, skoro nie podoba ci się żaden z moich pomysłów?

–Wymyśl lepsze.

–Sam wymyśl. Ja nie lubię nierozwiązywalnych problemów – odłożył trzymaną w rękach książkę. – Słuchaj, porozmawiajmy poważnie. Tutaj – wskazał na półki – są same bzdury.

–Co?

–Stara piosenka. Nie jesteśmy ostatnim szczeblem ewolucji, mamy prawo nic nie wiedzieć, o niczym nie decydować...

–Nic konkretnego?

Tłuścioch rozparł się na ławie, podkładając ręce pod głowę.

–Co robimy? – spytał.

Fletcher łakomym wzrokiem spojrział na mocne, zbite z dębowych desek drzwi w ściętym rogu pomieszczenia.

–Może tam?

–Są zamknięte.

–Skąd wiesz?

–Przypuszczam – Richards podniósł się ciężko i nacisnął żeliwną klamkę.

Usiadł z powrotem na ławie.

–Chyba tego tak nie zostawimy.

–Jak chcesz – Fletcher wyjął z kieszeni scyzoryk. Pochylił się nad zamkiem. – Nie wygląda na skomplikowany – włożył najmniejsze ostrze do wielkiej niczym otwór lunety dziurki. – W środku jest jednak zapadka.

–Nie możesz poruszyć sprężyny?

–Sprężyna? Tu w ogóle nie ma czegoś takiego – Fletcher złożył małe ostrze i wyciągnął duże. Wepchnął je w szparę między okuciem a framugą.

–Jest zasuwą – szepnął. – Luźno zamocowana, chyba krótka.

–Spróbuj ją przesunąć.

Fletcher potrzęsnał głową.

–Gładka jak szkło.

Tłuścioch wskazał na metalową ramę spinającą półki.

Wielkie, nieforemne gwoździe bez trudu wyszły ze spróchniałego drewna. Udało się wepchnąć zagięty koniec ramy między próg i drzwi. Nacisnęli powstałą dźwignię. Koślawe deski zaskrzypiały złowieszczo, ale zawiasy zeskoczyły niespodziewanie łatwo, ukazując mroczne wnętrze zawalonej papierami komórki. Fletcher, starając się stąpać jak najciszej, wymknął się na zewnątrz. Korytarz był pusty, ale skądś z oddali dobiegł go odgłos kroków. W napięciu obserwował oba najbliższe zakręty. Odruchowo spojrzął na zegarek.

–Szybciej – szepnął w pozostawioną szparę.

Tłuścioch jednak nie zamierzał przyspieszać. Powoli grzebał w stosie papierów, wydając i przeglądając co ciekawsze pozycje.

Fletcher odwrócił głowę dokładnie w momencie, kiedy zza najbliższego zakrętu wyłoniło się kilkanaście postaci w charakterystycznych płaszczach. Udając spokój, wszedł do środka magazynu. Tam dopiero doskoczył do pustej framugi.

–Zamykamy interes.

–Co się stało?

–Defilada. Pół miasta maszeruje korytarzem.

Z trudem wstawili na powrót wyważone drzwi.

–Masz coś? – Fletcher wyciągnął z palca drzazgę.

Tłuścioch wsłuchiwał się w odgłos kroków. Dopiero po dłuższej chwili odwrócił oczy.

–Przeszli obok – powiedział z dezaprobatą. – Dlaczego się tak spieszyłeś?

–Ciekawe, jak mogłem przewidzieć... Znalazłeś coś, do cholery?

Fletcher dopiero teraz zauważył leżący na podłodze ogromny tom.

–Tu jest coś ciekawego – Tłuścioch kopnął go nogą. – Trzeba będzie dokładnie wszystko przejrzeć.

–Chcesz to wynieść? Jak?

–Pod kurtką.

–Być może ludzie z kanciastymi garbami są tutaj na porządku dziennym, ale ponieważ

ciebie widziano już z normalnymi plecami, nic z tego nie będzie.

Tłuścioch zrobił obrażoną minę.

–Ale ty wszystko komplikujesz. Trzeba wziąć książkę pod pachę.

–Podejmujesz się?

–Znowu ja?

–Tak czy nie?

–Pewnie – Tłuścioch schylił się i włożył ciężar pod ramię. – Jakież wątpliwości?

Fletcher usłużnie otworzył drzwi.

Nie zatrzymywani przez nikogo zeszli na niższe piętro. Richards z pewną miną szedł przodem, nie okazując żadnych emocji. Załamał się dopiero na szerokiej antresoli, nad wypełnioną sporą liczbą ludzi salą.

–Słuchaj, a jak nas ktoś zatrzyma?

–Powiesz, że masz abonament na korzystanie z wypożyczalni.

–Myślisz, że oni mają wypożyczalnię?

–Przekonamy się.

Zeszli jeszcze dwa piętra.

–A jeśli nas nie wypuszczą?

–Skąd?

–Z tego budynku.

Fletcher uśmiechnął się szeroko.

–Widzisz tych ludzi przy wyjściu? – Tłuścioch zwolnił.

–Tych dwóch przy bramie?

–Tak. Może to strażnicy?

–Może.

–Zamienimy się?

–Hej, już się zmęczyleś?

–Mógłbyś chociaż nie kpić! Odwałam najgorszą robotę...

–W porządku – przerwał mu Fletcher. – Zaraz znajdziemy jakieś wyjście.

Sprawdził kilka kolejnych drzwi w bocznej ścianie korytarza. Dopiero szóste pomieszczenie przypadło mu do gustu.

–Chodź.

Weszli do malej, pozbawionej jakichkolwiek okien i otworów, a przez to suchej, pracowni introligatorskiej. Fletcher rozejrzał się w świetle kieszonkowej latarki.

–Zostaw to tutaj.

–Jak to? Na noc? A jak ktoś przyjdzie?

–Widzisz te zwały kurzu? Albo mają słabą sprzątaczkę, albo naprawdę nikt tu nie zagląda.

Tłuścioch zerwał okładkę z jakiegoś porzuconego tomu, okrył nią swoją książkę i położył na stole.

–Tak na wierzchu?

–Jasne – Fletcher przyłożył ucho do drzwi. – Wymkniemy się, jak nikogo nie będzie na korytarzu.

Richards stał niezdecydowany.

–Zaraz, ale co nam to da?

–Wrócimy jutro z aparatem fotograficznym i zrobimy zdjęcia interesujących fragmentów. Nie trzeba będzie nic wynosić przy tych ludziach obok wejścia.

–Dobra, chodźmy stąd.

–Sekundę... Już! – błyskawicznym ruchem Fletcher otworzył drzwi.

Cicho, żeby nie zwrócić uwagi ewentualnych strażników, wymknęli się na zewnątrz.

Korytarz jednak był pusty.

Mróz, który chwycił w nocy, rano znacznie zelżał. We wnętrzu ogromnej budowli było wręcz gorąco. Woda, która skądś przeciekła, parowała na korytarzach, tworząc białawy, wznoszący się gdzieś na wysokość pasa opar. Ruch powietrza wzbudzony krokami idących sprawiał, że dziwna mgła wirowała i rozwiewała się w fantazyjnych gejzerach, tworząc długie, ruchome welony za każdym człowiekiem. Parne powietrze zmusiło Tłuściocha do zdjęcia pikowanej kurtki, ale nawet to nie sprawiło mu ulgi, pot zbierający się na skroniach i przyspieszony oddech świadczyły, że wkłada dużo wysiłku, żeby dotrzymać kroku Fletcherowi.

–O rany, nie mógłbyś trochę zwolnić? – wysapał wreszcie.

–Już niedaleko.

–Ale czemu idziemy okrężną drogą? Od głównej bramy mielibyśmy tylko kilka kroków.

Fletcher zerknął w bok.

–Wolałbym, żeby nikt nie wiedział, dokąd idziemy.

–Znowu moim kosztem...

–Już dochodzimy – Fletcher zwolnił, obrzucając otoczenie uważnym spojrzeniem. Chwycił za klamkę i przez wpół otwarte drzwi wśliznęli się do środka.

–Jest?

W mdłym świetle latarki wydawało się, że wszystkie przedmioty tkwią na swoich miejscach, tak jak je zostawili poprzedniego dnia. Tłuścioch pochylił się nad stołem. Małe pomieszczenie było pozbawione jakichkolwiek otworów i wilgoć nie miała tu aż takiego dostępu. Ciepło jednak sprawiało, że w powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach kleju i jakichś odczynników.

–Możesz robić zdjęcia?

Richards otworzył książkę.

–Stań przed drzwiami – powiedział.

–W razie czego pukać?

–Nie, do cholery. Zajmij intruzów rozmową.

Fletcher wysunął się na korytarz. Nie zdążył jednak nawet sięgnąć do kieszeni, kiedy wyszedł również Tłuścioch.

–Co się stało?

–Zacięła się kasetka. Masz śrubokręt?

–Skąd mam mieć?

–To daj scyzoryk.

Richards zapalił papierosa. Delikatnie starał się podważyć obudowę mechanizmu przesuwowego, ale ostrze ślizgało się po gładkim tworzywie.

–Dlaczego nie robisz tego w środku? – Fletcher odruchowo ściszył głos.

–W świetle latarki? Chcesz, żebym uciał sobie palce?

–Zaraz uciał... Trzymaj to chociaż niżej, jeśli ktoś podejdzie z boku...

–To i tak nie będzie miał pojęcia, co widzi.

Nóż wskoczył wreszcie na właściwe wgłębienie. Dwa zatrzaśki zwolniły pokrywę, która uniosła się, ukazując wplątany między gumowe walce zwój taśmy.

–Pośpiesz się.

–Spokojnie – Tłuścioch ostrożnie przesunął główną rolkę. Podważył palcem głowicę i nawinał taśmę z powrotem na mały trzon przed mechanizmem przesuwowym. – W porządku.

–Namagnetyzowałeś film palcami.

–Ale przed głowicą, nie szkodzi – Richards odrzucił wypalonego do połowy papierosa i starając się nie wywoływać hałasu, zniknął za drzwiami małej pracowni.

Fletcher nie zdążył przydepnąć niedopałka, kiedy pojawił się znowu.

–Chodź – szepnął.

–Już skończyłeś?

–Nie, chodź szybko.

Wiedziony złym przeczuciem Fletcher zrobił kilka kroków i zapalił latarkę. Stół, na którym leżała książka, był pusty.

–Spadła gdzieś? – wyjąkał po dłuższej chwili, za wszelką cenę starając się znaleźć racjonalne rozwiązanie.

–Tak, wyfrunęła przez szparę pod drzwiami.

Nagle, jak na komendę, obaj zaczęli przeszukiwać pokój. Przestało im zależeć na zachowaniu ciszy i na tym, że ktoś może ich znaleźć. Niestety, po kilkunastu minutach, kiedy wywrócili już wszystko, co było do wywrócenia, po zbadaniu każdego centymetra podłogi i odrapaniu tynku z kluczowych miejsc pomieszczenia, rozwiązanie zagadki wydawało się – równie odległe.

–Mam tego dość – pierwszy zniechęcił się Richards. Zgasił swoją latarkę i usiadł pod ścianą.

–Przecież, do cholery, nikt nie mógł tutaj wejść!

–Więc założmy, że książka wyszła sama.

Fletcher usiadł na nodze przewróconego na bok stołu.

–Mówiąc delikatnie, dzieje się tu coś dziwnego – powiedział cicho.

–Naprawdę! A ja myślałem...

–Przestań. Zastanówmy się, kto mógłby działać tak głupio.

–O co ci chodzi?

–Jeśli ktoś chciał, żeby materiały nie wpadły w nasze ręce, dlaczego nie zabrał książki w nocy? Dlaczego stało się to w najmniej dogodnym momencie, kiedy w każdej chwili ktoś z nas mógł wejść do środka?

–Czary nie działają według reguł rozsądku.

–Czyżby ktoś chciał nas ostrzec? – kontynuował swój monolog Fletcher. – Coś w rodzaju utarcia nosa... Ale dlaczego w ten sposób?

–Ponieważ to już drugi raz, przyjmijmy, że takie rzeczy są tutaj prawidłowością, i wszystko będzie w porządku.

–Nie trafia ciebie szlag?

–Trafia, ale co z tego?

Fletcher skrzywił się lekko.

–Wyjdźmy na zewnątrz – mruknął.

Białawy opar na korytarzu zgęstniał jeszcze, tak że wewnątrz budowli przypominało turecką łaźnię. Pochyłym krążankiem zeszli na kryty wewnętrzny dziedziniec. Fletcher usiadł pod ledwie widocznym w mroku i w ciężkiej zawieszynie, karłowatym drzewkiem.

–Ktoś gra z nami ostro – mruknął. – Chyba powinniśmy równie twardo odpowiedzieć.

–Jak? – Tłuścioch zdjął sweter i usiadł obok na zwiniętej kurtce. – Zamierzasz wysadzić kilka budynków?

–Chcę się skontaktować z podziemną organizacją.

Jedyną reakcją było niedbale machnięcie dłonią.

–Myślałem, że masz jakiś pomysł.

Tłuścioch podniósł głowę.

–A ja myślałem, że już sobie wszystko wyjaśniliśmy. Chociażby to, że nie wymyślimy niczego, na co wcześniej nie wpadłaby policja.

Fletcher popatrzył na czerniejące nad mglistym dywanem wierzchołki jakichś krzewów.

–A gdyby tak wykorzystać to, czym policja nie dysponuje?

–Jasne, zawsze możemy puścić im jakiś film porno, ale... Zaraz, a ty coś wymyśliłeś?

–Trudno powiedzieć. Myślałem o wieży, pod którą zbierali się członkowie organizacji.

–Sądysz, że obserwują to okno nadal?

–Tak.

–Przecież podnóże wieży jest otoczone murem i zamknięte.

–W porządku. Słyszałeś jednak, jak Cohn mówił, że okno położone jest tylko trochę pod poziomem muru. W otaczających ten kompleks budynkach, dalszych i bliższych, musi być cała masa miejsc, skąd można wszystko obserwować.

–Coś w tym jest – ożywił się Richards. – Ale zwiedzić dokładnie wszystkie te zakamarki... Na to trzeba miesięcy.

–Organizacja prowadzi obserwacje w pierwszym dniu tygodnia.

–No właśnie, żeby złapać kogoś od nich, trzeba by jednego dnia odwiedzić wszystkie miejsca. To niemożliwe.

–A gdyby przedtem sprawdzić, skąd dobrze widać to okno? Liczba ewentualnych kryjówek spadłaby do kilkunastu.

–Ale jak to zrobić, do cholery? Naprawdę chcesz obejść tu wszystkie kąty?

Fletcher oparł się o wygięty pień, spoglądając na majaczące w górze sklepienie.

–Nie – powiedział twardo. – Połączymy się z szefem i każemy mu zrobić satelitarne zdjęcia całego terenu.

–To będzie cholernie niedokładne.

–Przeciwnie. Wystarczy kilka zdjęć pod różnymi kątami. Potem fachowcy sporządzą wykres, określając miejsca, skąd widać odpowiedni punkt na wieży, z dokładności do kilku centymetrów.

–A jak nam go przekażą?

–Podadzą współrzędne przez radio, a ty naniesiesz je na mapę.

–Chciałeś powiedzieć „my naniesiemy”...

–Wcale się nie przejęzyczyłem.

–Ale...

–A co robileś, kiedy ja ciężko myślałem?

Tłuścioch potrząsnął głową.

–Zawsze mnie wykołujesz – powiedział.

Fletcher rozłożył ręce.

–Niemniej została jeszcze jedna kwestia.

–Tak?

–Zastanawiam się, jak zareaguje Landau na wiadomość, że czeka go masa roboty.

Richards spojrział podejrzliwie.

–I to ja mam z nim rozmawiać?

–Wiesz, jest dużo okoliczności łagodzących. Powiesz mu, że jego ludzie z góry mogą odrzucić miejsca publiczne...

Tłuścioch wstał, rozprostowując kurtkę.

–Powinieneś zachodzić do wszystkich pomieszczeń, jakie napotykamy na drodze.

–Dlaczego?

–Może i ty wreszcie znikniesz.

Tłuścioch strzepał kurz z rękawów.

–Zdaje się, że większość za nami – powiedział. – Ile jeszcze zostało?

Skwaszony Fletcher pochylił się nad mapą.

–Tylko jedno miejsce. Jakiś strych.

Wyszli na ulicę.

–Mam dość tych dachów, mansard i suszarni – Richards przesunął palcami po włosach, żeby wytrześć resztki tynku. – Może zmienili dzień obserwacji. W końcu od procesów upłynęło masę lat.

–To raczej ty pomyliłeś się przepisując dane.

–No tak, harowałem przez całą dobę, ślezczałem przy radiostacji, a ty jeszcze masz pretensje...

–Musiałeś coś pokręcić – Fletcher ruszył wzdłuż poszarpanego muru. – Teraz niepotrzebnie tracimy czas.

–Jasne, że niepotrzebnie, ale przez ciebie. Cały ten pomysł to jedna wielka bzdura.

–Doprawdy? Przedwczoraj byleś innego zdania.

–Przedwczoraj nie musiałem wysłuchiwać utyskiwań Landaua. Do cholery, ten facet nie przebiera w słowach.

–Nie wiedziałem, że wyrosła z ciebie taka delikatna panienka.

–Ta twoja radiostacja pracuje w przestarzałym systemie. Jeśli ktoś po drugiej stronie dostanie słowotoku, nie można mu przerwać.

Fletcher podniósł szeleszczący arkusz.

–To chyba tutaj?

Rozsypujący się dom o lekko pochyłych ścianach nie sprawiał dobrego wrażenia. Nawet jak na miejsce tajnych zebrań.

Richards pchnął wiszące na jednym zawiasie drzwi. Trzymając się ściany, weszli na górę po trzeszczących schodach. Na początku zachowywali jeszcze jaką taką ostrożność, teraz jednak zmęczenie brało górę nad rozsądkiem. Fletcher dotknął pokrytej kopciem ściany.

–Znowu nic – wskazał na jedyne, zabite deskami okno. – Ten strych nie był odwiedzany od

lat.

–To wszystko, co mamy na liście?

Fletcher usiadł pod pokrytym pleśnią słupem, wybierając stosunkowo najczystsze miejsce. Ciemne i zimne wnętrze nie wpływało na niego kojąco. Zapalił papierosa.

–Może organizacja naprawdę już nie istnieje? – zmiał i odrzucił pustą paczkę.

Richards patrzył na żarzący się w mroku ogieniek.

–A jeśli zmienili sposób obserwacji? Albo w ogóle jej zaprzestali?

–Może, może, może... To był nasz jedyny punkt zaczepienia.

–Myślę, że powinniśmy spróbować w innym dniu.

–Chcesz jeszcze raz obejść wszystkie kąty?

–Tak.

–Nie, stanowczo nie. Jestem zbyt zmęczony.

Gdzieś na dole skrzypnęły poruszone wiatrem drzwi.

–W naszym rozumowaniu musiał tkwić jakiś błąd – ciągnął Fletcher. – Założę się, że nie uwzględniliśmy jakiegoś ważnego czynnika.

–Jakiego?

Ręka Fletchera przesunęła się wzdłuż pasma dymu.

–Policja!

–Co?

–Zapomnieliśmy o jednym. Tutejsza policja nie dysponuje może satelitami, ale na pewno ma wystarczającą ilość ludzi...

–Żeby obstawić wszystkie wyżej położone punkty? – wpadł mu w słowo Tłuścioch. – Na pewno nie!

–Po co od razu wszystkie? Oni też mają listę miejsc, z których widać okno na wieży.

–Skąd?

–Przecież dysponują samą wieżą! Wystarczy na nią wejść, spojrzeć przez okno i dostrzec wszystkie miejsca, skąd można prowadzić obserwację.

–To zbyt proste, żebym na to wpadł. Wobec tego chodziliśmy na próżno?

Fletcher zaciągnął się głęboko i ukrył twarz w dłoniach.

–W jaki sposób można samemu oglądać wieżę i nie być stamtąd widzianym?

–Udawać wariata – Tłuścioch przysiadł na zwałonej poręczy. – Myślisz, że organizacja zabezpieczyła się w jakiś sposób?

–Tak.

–Jest wiele metod. Specjalne firanki, folia odbłaskowa, półprzepuszczalne szyby... Ale tutaj nie ma niczego takiego!

–Nawet gdyby mieli wszystko, policja przecież sprawdziłaby każde podejrzanе miejsce...

– Zaraz, szyba! Pamiętasz okno ze zwykłą szybą? Musiałeś je zapamiętać.

–Tak. Występuje tak rzadko, że zwróciłem na nie uwagę. Ale byliśmy przecież w tamtym pomieszczeniu w środku. Pokój był pusty.

–Ktoś jednak uchylił okno.

–Myślisz, że byli tam przed nami i że ich spłoszyliśmy?

–Nie – Fletcher podniósł się z ziemi. – Jeśli jest odpowiednie światło, dobrze ustawiona szyba odbije obraz okna na wieży jak lustro i przekaże gdzie indziej. W miejsce, którego nie

można dostrzec bezpośrednio z wieży.

Richards podniósł się również.

–Idziemy?

–Tylko ostrożnie. Tym razem musimy ich mieć.

Szybko przebyli chwiejne schody i prawie przebiegli kilka uliczek. Nieliczni przechodnie przemykali bokiem z nasuniętymi głęboko na głowy kapturami, jakby bali się sunących powoli po niebie skłębionych chmur. Jedyne przy garkuchni, na małym placu, mimo przenikliwego zimna zebrał się spory tłum.

Fletcher przystanął przed rogiem niewielkiego zaułka. Ostrożnie wysunął głowę za krawędź budynku.

–I co? – Richards spokojnie wyszedł na środek ulicy.

–Okno dalej jest uchylone. Ciekawe, w którym kierunku odbija obraz?

–Gdzieś tam – Tłuścioch podniósł rękę.

–A dokładnie?

–Musimy wejść na górę i sprawdzić.

Fletcher podał mu mapę i długopis.

–Wykaż się znajomością geometrii.

Dłuższą chwilę Richards bezmyślnie patrzył na rozwinięty arkusz. Potem podniósł głowę.

–Chyba...

–Chcę wiedzieć na pewno.

–Tam – niezdecydowanie wskazał ręką wysoką elewację budynku.

Wśród gąszczy sterczyn, fantazyjnych rynien i dziwacznie powyginanych kalenic ziało czernią otwarte okno.

–Spokojnie, nie gestykuluj tak – Fletcher ruszył w tamtym kierunku, starając się trzymać ściany. Uchylił ciężkie wrota i puszczając Richardsa przodem, wszedł do środka.

Niespodziewanie wąski korytarz zaprowadził ich do ciemnej klatki schodowej. Po omacku, uważając na każdy krok, wspinali się do góry. W połowie drogi między drugim a trzecim piętrem Tłuścioch zatrzymał się nagle.

–Tam ktoś jest – szepnął.

Przez szpary w deskach stanowiących podłogę nadbudówki sączyło się nikle światło. Wyraźnie też słychać było czyjeś kroki.

–Tam, widzisz?

Fletcher stanął na palcach. Tuż ponad poziomem podłogi trzeciego piętra, w szczelinie niedomkniętych drzwi dostrzegł profil siedzącego w głębi pokoju młodego mężczyzny. Jego jasnożółte włosy lśniły w padającym z boku świetle.

–Zajdziesz go z tamtej strony – powiedział cicho. – Ja się cofnę i będę czekał na dole, żeby w razie czego odciąć mu drogę.

Tłuścioch kiwnął głową. Stąpając tuż przy ścianie, żeby uniknąć skrzypienia, ruszył do góry. Fletcher, zanim zszedł na dół, zauważył w jego ręce pistolet. Ukrył się w maleńkiej niszy przy bramie i sprawdził swoją broń. Wahał się przez chwilę, potem wprowadził nabój do lufy. Bezpiecznik jednak pozostał w przednim położeniu, a sam pistolet powędrował z powrotem do kieszeni.

Na górze rozległ się głośny trzask. Fletcher zastanawiał się właśnie nad jego źródłem,

kiedy tuż przed nim, zupełnie bezszelestnie, przemknęła jakaś postać. Mężczyzna musiał znać rozkład wytłumionych miejsc na podłodze, umiał też otworzyć bramę bez najmniejszego zgrzytu. Dopiero po dłuższej chwili Fletcher uświadomił sobie, co oznacza kosmyk jasnych włosów nad ocienioną kapturą twarzy. Ocknął się z odrętwienia i wyskoczył na zewnątrz. Przygarbiony blondyn zniknął właśnie za rogiem. Gdzieś z tyłu trzasnęła okiennica.

–Za nim! – syknął Tłuścioch. Zrobił ruch, jakby chciał skoczyć z drugiego piętra. – Goń go! Tam było drugie wyjście!

Fletcher ruszył biegiem. Tuż za zakrętem zauważył znajomą postać przemierzającą wąską uliczkę. Zwolnił i zbliżył się do ściany. Tamten szedł szybko, ale spokojnie. Nie oglądał się ani nie kluczył. Po kilku minutach marszu skręcił nagle i znikł za szerokimi drzwiami. Fletcher rozpoznał znajomy gmach biblioteki. Przyspieszył trochę, tak że w środku dzieliło go od uciekiniera tylko kilkanaście kroków. Tamten jednym ruchem głowy odrzucił kaptur i wszedł do rozległej sali czytelników, którą zwiedzili na początku. Kiedy ustawił się w kolejce przy szerokim stole, gdzie wypożyczano książki, Fletcher odczekał, aż ktoś stanie za nim, potem sam włączył się do kolejki. Niewielki rząd osób posuwał się szybko do przodu. Jasnowłosy mężczyzna wybrał jakąś książkę i zajął miejsce za jednym ze stolików w głębi sali. Fletcher myślał, gdzie powinien usiąść. Wolne miejsce było zaraz z tyłu, ale w ten sposób mógłby za bardzo zwracać na siebie uwagę. Z kolei dalej, pod samą ścianą, aż kilkunastu innych czytelników utrudniałoby obserwację.

–Słucham?

–Co? – ocknął się Fletcher.

Kilka osób popatrzyło w jego stronę.

–Co chcesz pożyczyć? – spytał bibliotekarz.

–Cokolwiek – wyrwało się Fletcherowi. – Na przykład to – wskazał na otwartą książkę leżącą na stole.

–Ależ to książka wpisowa czytelników. Tę się nie pożyczają.

Dalsze kilkanaście par oczu podniosło się ze zdziwieniem.

–Dobrze, daj mi cokolwiek – nie wiedział, jak wybrnąć z sytuacji. – Wezmę to – na chybił trafił wziął z półki jakąś książkę i uśmiechnął się do osłupiałego bibliotekarza.

Wściekły na siebie, odprowadzany wzrokiem prawie połowy sali, powłókł się na miejsce pod ścianą. Nie zdążył dobrze usiąść, kiedy jasnowłosy mężczyzna wstał i z książką pod pachą wszedł między rzędy stolików. Fletcher natychmiast ruszył za nim, ale tamten podszedł tylko do półki, zamienił książki i wrócił na miejsce. Klnąc w duchu, Fletcher zaczął przeglądać nierówno ustawione tomy. Nie trwało to długo. Bibliotekarz nie zdążył nawet obsłużyć dwóch ludzi, kiedy tamten wstał znowu. Powoli, jakby rozwiązując jakąś ważną kwestię, podszedł do drzwi. W progu stanął na chwilę, szukając czegoś w kieszeniach, potem wyszedł na zewnątrz. Fletcher równie powoli, starając się zachować pozory, ruszył za nim. Kiwnął ręką bibliotekarzowi i powoli wyszedł na korytarz.

Jasnowłosy mężczyzna biegł o kilkadziesiąt metrów dalej.

–Psiakrew! – Fletcher wystartował od razu pełnym pędem, ale było jasne, że trudno mu będzie zneutralizować dzielący ich dystans. Biegł nie oszczędzając sił, prawie na bezdechu, słysząc współgrający z przyspieszonym tempem, wybijany obcasami rytm. Wiedział, że nie wytrzyma długo takiego tempa, ale odległość między nimi zaczęła się zmniejszać. Tamten

musiał to wyczuć, bo skręcił nagle, niknąc w labiryncie wąskich i krętych korytarzy, gdzie nie można było biec szybko, ale gdzie człowiek dobrze znający teren zyskiwał natychmiastową przewagę. Fletcher zwolnił. Poruszał się teraz prawie wyłącznie na słuch. Mijał jakieś schody, zakręty, wąskie przejścia. Wszystko to zlewało się w jeden ciemny, rozmazany ciąg. W pewnej chwili tuż przed sobą usłyszał przyspieszone kroki. Wyszarpnął z kieszeni pistolet. Gdzieś z przodu trzasnęły drzwi. Fletcher wybiegł nagle na rozległą antresolę, położoną nad poziomem ogromnej sali wypełnionej tłumem ludzi. Ogluszył go chóralny śpiew. Rozświetlona wieloma pochodniami przestrzeń zdawała się drżeć od natężenia dźwięku. Zwiłokrotniona akustyką sali wielosetustna pieśń dosłownie rozsadała bębunki. Z trudem powstrzymywał się od zasłonięcia uszu dłońmi. Odciągnął bezpiecznik i odruchowo mrużąc oczy rozejrzał się wokół. Poszarpana, nieprzyjemna melodia mąciła myśli. W niskim przejściu z boku mignęła jasna plama. Fletcher podniósł pistolet i ściągnął spust. Huk wystrzału targnął powietrzem, później w zapadłej nagle absolutnej ciszy zabrzmiał odgłos toczącej się po podłodze łuski. Nie zważając na rodzące się na dole szepty, Fletcher wbiegł do pustego już korytarzyka, przesadził jakąś poręcz i wpadł na kogoś przewracając się na kamienne płyty. Kątem oka dostrzegł jasną czuprynę. Tamten wstawał już, ale Fletcher był szybszy.

–Stój! – krzyknął i z całej siły wepchnął mu lufę pistoletu w miękkie miejsce na szyi. Długi czas dyszeli obaj, wreszcie tamten podniósł oczy. Pistolet uwierał go w gardło.

–Długo będziesz go tak trzymał? – wychrypiał z trudem.

–Aż mi ręka ścierpnie.

–A potem?

–Potem przelożę do drugiej.

Cisza wokół powodowała dzwonienie w uszach.

–Jak się nazywasz? – spytał Fletcher po to tylko, żeby ją przerwać.

–Irving Wallace.

–Słuchaj, Irving, skąd to znasz? – podsunął mu pistolet pod brodę.

–Przecież używacie tego.

–My?

–Strażnicy.

–Nie jestem strażnikiem.

–A gonisz mnie tylko dlatego, że podobał ci się mój płaszcz?

–Chcę się skontaktować z twoją organizacją.

Wallace poruszył się niespokojnie.

–Daruj sobie całe to kręcenie – uprzedził go Fletcher. – Gdybym był strażnikiem, wziąłbym cię na tortury i wiedziałbym wszystko.

–Chcesz znać naszego szefa? A może nazwiska ludzi?

–Nie. Nie uważam cię za aż tak głupiego. – Fletcher zabezpieczył pistolet i zważył go w rękę. Potem niedbałym ruchem wrzucił go do kieszeni. – Chciałbym spotkać się z waszym przedstawicielem i trochę porozmawiać.

–Po co?

–Mam parę propozycji. Może chcemy wam pomóc.

Wallace podniósł się z podłogi.

–Kim jesteście?

–Ludźmi, którzy wiele mogą.

–Skąd macie broń?

–A skąd mają ją strażnicy?

–Podobno z dawnych czasów. Zachowała się, a oni mówią... ale...

–Tu nie jest zbyt bezpiecznie – przerwał mu Fletcher. – Umówmy się na rozmowę gdzie indziej.

–Więc mogę... mogę iść, gdzie chcę?

–Tak. Będę czekał codziennie w południe przy tej kuchni na powietrzu.

Wallace podrapał się w głowę.

–Nie mogę nic obiecać – powiedział niepewnie.

–Wiem.

–Skąd?

–Trochę znam się na konspiracji.

–Ach, jesteście z innego miasta! Zawsze marzyliśmy... – urwał, mierzając wzrokiem ubranie Fletchera.

–Miejsce, skąd przychodzimy, jest jeszcze bardziej odległe. Przynajmniej w pewnym sensie.

Wallace przelknął ślinę.

–Pójdę – powiedział.

Fletcher skinął głową.

–Postaram się przyjść... przyjdę – drobna postać cofała się tyłem. – Pamiętam, w południe. Kiedy ucichł odgłos jego kroków, Fletcher usiadł pod ścianą. W zamyśleniu zapalił papierosa.

Trzaski i zakłócenia nagle ucichły.

–Tu Vega. Misja Centaur-Vega, słucham.

Fletcher podniósł mikrofon.

–Hasło na dzisiaj, Dakar. Pierwsza sekcja, Landau.

Głośnik zadziwiająco dobrze przeniósł ziewnięcie radiooperatora na statku.

–Proszę czekać.

–Kiedy będę mógł...

–Proszę czekać.

Cichy brzęczyk zasygnalizował przejścia na procedurę automatyczną. Tłuścioch nachylił się nad stołem.

–Jak dorwę tych, którzy mają dzisiaj dyżur...

Fletcher powstrzymał go ruchem ręki.

–Daj spokój, bo nas wyłączą.

Nie czekali jednak długo. Już po chwili rozległ się suchy i ostry

–Landau, słucham.

–Tu Fletcher...

–Ach, to wy. Czego znowu chcecie?

–W zasadzie nic...

–Domyślam się. Na pewno leżycie całymi dniami albo uganiacie się za dziewczynami. Tylko ludzie Redfielda dobrze pracują.

–Odkryli coś? – włączył się Richards.

–Wyobraź sobie, że tak! Nie wszyscy potrafią się tylko dekować.

W głośniku zapadła kilkusekundowa cisza, tak idealna, że pomyśleli o awarii.

–W wodzie pitnej w ich osadzie rozpuszczono pewien środek chemiczny.

–O jakim działaniu?

–Powoduje czasową bezpłodność... Powiedziałem, czasową. Przestańcie wzdychać.

–To w jakimś sensie tłumaczyłoby brak dzieci. Ale przecież jakoś muszą się rozwijać.

Tłuścioch przysunął mikrofon bliżej swoich ust.

–Co z jego budową? Czy jest bardzo skomplikowana?

–O co ci chodzi?

–O stopień zaawansowania tutejszego przemysłu chemicznego.

–O ile można stwierdzić w polowych warunkach, związek jest raczej prosty...

–Ale produkcja w takich ilościach?

–W jakich? Nie wiem nic pewnego na ten temat. Być może, synteza jest bardzo prosta, a recepturę mają z przeszłości.

Fletcher zabrał mikrofon Richardsowi.

–My też mamy pewne sukcesy.

–Mam nadzieję. Trud, który włożyłem w wykonanie tych zdjęć...

–Nawiązaliśmy kontakt z podziemną organizacją.

–Poważną?

–Być może. Dzisiaj się przekonamy.

Fletcher dał znak Tłuściochowi stukającemu w zegarek.

–Zaraz mamy się spotkać – dodał. – Powinniśmy kończyć.

–Dobrze. Jutro będę trudno uchwytny. Przenoszę się do bazy na powierzchni Ziemi.

–Już jest baza?

–Nawet dwie. W razie czego spróbujcie połączyć się wieczorem. Zachowam starą częstotliwość.

Krótki trzask oznajmił zakończenie rozmowy. Fletcher złożył antenę.

–Idziemy?

–Chyba nie chcesz się spóźnić – Tłuścioch otworzył drzwi. – Do cholery, nie byłem szkolony w konspiracji.

Zeszli na dół, w pośpiechu zapinając kurtki. Richards przeczącym ruchem głowy odpowiedział gospodarzowi zapraszającemu ich do stołu.

Cuchnąca wyziewami zepsutej żywności kuchnia położona była kilka przecznic dalej, tak że nie zdążyli nawet poczuć chłodu. Mimo niesprzyjających warunków tłum zgromadzony wokół parujących kotłów zdawał się być tak samo liczny jak zwykle. Fletcher podniósł rękę.

–Albo mój zegarek fatalnie się spóźnia, albo oprócz nas ktoś jeszcze nie ma zielonego pojęcia o konspiracji – mruknął.

Na środku wolnej przestrzeni między kadziami z jakimś ciemnym płynem a skutą lodem poręczą chodnika stał Wallace i rozglądał się wokół.

–Prowokacja? – szepnął Tłuścioch.

–Po co? Tak czy tak mogą nas mieć w każdej chwili – spokojnie podszedł do zziębniętego człowieka. – Gdzie idziemy? – spytał.

–Skąd wiesz, że idziemy? – tamten spytał podejrzliwie.

–Chyba nie będziemy rozmawiać tutaj.

Wallace zerknął na Richardsa.

–Tu zaraz – wskazał pobliską bramę. – Wokół zawsze jest dużo ludzi.

Weszli do ciemnej sieni, ale zamiast spodziewanych schodów ujrzeli zbitą z nierównych desek drabinę.

–To jakaś szopa?

–Ja tu mieszkam – dochodzący z góry głos wydawał się należeć do starca, ale kiedy wspięli się do malej, równie mrocznej jak sień izby, zobaczyli młodego człowieka.

–Jestem Larkin – przedstawił się ochryple. – Siadajcie.

Zajęli miejsca za niewielkim stołem.

–Fletcher. A to jest Tłuścioch.

–Powiedzmy, Richards.

Wallace zamknął klapę nad wejściem.

–Zanim nabierzemy do siebie zaufania – zaczął Fletcher – i porozmawiamy poważnie, chciałbym, żebyśmy wyjaśnili sobie kilka spraw.

Larkin z powagą kiwnął głową.

–Interesuje nas sprawa broni strażników. Ilość, systemy, struktura użycia, taktyka...

Możecie nam pomóc?

Wallace i Larkin spojrzeli po sobie.

–Chyba wiecie, jak wygląda broń strażników?

–T...Tak.

–Jakiego kalibru używają i w jakim systemie?

Tłuścioch westchnął, widząc ich zdziwienie. Wyjął z kieszeni notes i położył na stole.

–Moglibyście ją narysować?

Larkin niepewnie ujął długopis.

–To wszystko? – spytał Fletcher po chwili.

Wallace pochylił się do przodu i dodał parę kresek.

Richards spojrział na koślawe linie.

–To chyba jakiś samopał.

–Albo armata. W jakiej skali rysowaliście... to znaczy, czy ich broń jest większa od tego?
– wyjął swój pistolet.

–Tak.

–Dużo?

–Dwa, trzy razy.

–O Boże – jęknął Tłuścioch. – Chyba nie miotają tym ładunków nuklearnych.

–Jakie rany powoduje? – spytał Fletcher.

–Małe – Larkin podniósł dłoń. – Mniejsze niż średnica palca, ale z tyłu...

–Aha, kula wylatując wrywa kawał ciała?

–Tak. Z tym, że to dzieje się rzadko.

–Mała energia – mruknął Tłuścioch. – Albo miękkie kule. Ołów?

–Mniejsza z tym. Przejdźmy do władzy.

–Chyba niewiele możemy wam powiedzieć na ten temat – odezwał się Wallace. – To, że

Drummond stoi na szczycie, zapewne wiecie, a reszta... Nie możemy umieścić swojego człowieka na żadnym wyższym stanowisku.

–Dlaczego?

–Nie wiemy, jak się do tego zabrać.

–Aparat administracyjny jest tajny?

–Tak. W dużym stopniu.

Fletcher potarł brodę.

–Jak to możliwe? – spytał. – Jeśli znacie niższych urzędników, wystarczy ich śledzić...

–Tutaj nie ma żadnych urzędników – powiedział Larkin. – Nie mamy pojęcia, jak zorganizowane jest kierownictwo ani... ani czy w ogóle jest.

Richards potrząsnął głową.

–Przecież to niemożliwe. Znacie Blake'a Cohna? On jest urzędnikiem.

–Nie jest.

–Spieramy się o nazwę. Ma jakieś obowiązki, więc...

–On jest strażnikiem – wtrącił się Wallace.

–Ciekawe. No dobrze, a kim są strażnicy?

–Pilnują porządku. Nic nie wskazuje na to, by byli w jakikolwiek sposób zorganizowani. A jednak są.

–Paranoja – Tłuścioch zaczął zapisywać coś w swoim notatniku.

Larkin poruszył się niespokojnie.

–Jeśli coś was jeszcze interesuje, pytajcie szybko. Nie możemy, rozmawiać tu zbyt długo.

–A was nic nie interesuje? – spytał Fletcher.

Wallace uśmiechnął się lekko.

–Chcielibyśmy lepiej zorganizować spotkanie. Jutro zobaczycie się z naszym przywódcą, my sami nie możemy o niczym decydować.

–Dziękujemy za zaufanie.

Tym razem uśmiechnął się również Larkin.

–W miejscu, gdzie go spotkacie, będzie zupełnie bezpieczny.

Richards schował notes.

–W takim razie wykorzystajmy pozostały czas. Co wiecie o przyczynach upadku cywilizacji?

–Upadku?

–Chyba słyszeliście, że kiedyś ludzkość była, delikatnie mówiąc, potężniejsza?

Larkin i Wallace spojrzeli po sobie.

–Tak. Takie przynajmniej krążą legendy. Sądziliśmy, że wszyscy poddali się pogładowi, że nie ma do czego dążyć i że człowiek powinien zrobić miejsce dla swego następcy...

–A wy się z tym nie zgadzacie?

–Nie. Przecież kiedyś potężna siła zmiecie zło, oczyści wywodzącego się z wody człowieka.

Fletcher dyskretnie spuścił wzrok.

–Co spodziewacie się dostrzec w oknie wieży? – spytał po chwili.

Głos Larkina przybrał na sile.

–Znak. Znak, że rodzi się siła Ziemi!

Richards skrzywił się lekko.

–Czy wasza organizacja ma charakter mistyczny? – chciał dodać coś jeszcze, ale Fletcher kopnął go pod stołem.

Larkin chyba nie zrozumiał pytania. Wallace natomiast wstał i uchylił ciężką okiennicę. Przez powstałą szparę ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

–Nie wolno przeciągać rozmowy – powiedział szeptem.

–Widzisz jakichś strażników?

–Nie, ale na pewno was obserwują.

Fletcher potwierdził ruchem głowy.

–Powinieneś zmienić adres – zwrócił się do Larkina.

Tamten wzruszył ramionami.

–Nic mi nie robią. Od dawna uważają mnie za wariata. Czasami dobrze mieć taką opinię.

–Chodźmy – przynaglił Wallace.

–Gdzie się jutro spotkamy?

–Tam, gdzie dzisiaj. Przyjdę po was po zmroku.

–Szybciej!

Wstali, a Wallace otworzył prowadzącą do drabiny klapę.

* * *

Fletcher żuł właśnie mdłe placki, kiedy na górze trzasnęły drzwi i na schodach ukazał się Richards. Rozejrzał się po pustawej, jak zwykle, głównej sali gospody, jakby kogoś szukał, potem podszedł do chybotliwego stolika.

–Sam zjadłeś to wszystko? – wskazał piętrzący się na wąskim blacie stos brudnych naczyń.

–Mhm.

–Ciekawe, dlaczego to właśnie mnie nazywają Tłusciochem...

–Kwestia odpowiedniego spalania. Połączyłeś się?

–Tak. Landau był wściekły jak diabli.

–Jak zwykle. Powiedział coś ciekawego?

–Większość kosmonautów jest już na Ziemi. Na statkach zostały tylko załogi szkieletowe, praca z rozkonserwowaniem sprzętu z magazynu idzie pełną parą. W razie czego możemy już dostać wsparcie.

–Wsparcie? Tak się wyraził?

–Tak. Nie mam pojęcia, dlaczego nie wybrał kariery w armii.

Fletcher odsunął pusty talerz.

–Zjesz coś?

–Wykluczone. Niczego tak nie lubię, jak biegania z pełnym brzuchem.

–Biegania? Spodziewasz się...

–Nie spodziewam się. Czuję.

Richards położył na stole plastikową torbę.

–Weź to – powiedział z kwaśnym uśmiechem.

Fletcher zajrzał do środka.

–Gdzie twój karabin?

–Mam go pod kurtką. Odłączyłem kolbę.

Fletcher, nie przejmując się ludźmi na sali, zarzucił na szyję pasek pistoletu maszynowego.

Wciągnął brzuch i zapiął błyskawiczny zamek kurtki.

–I jak?

–Wyglądasz trochę kanciasto, ale ujdzie.

–Lufa gniecie mnie w żebra – Fletcher przytroczył do pasa futerał z zapasowymi magazynkami. Do jednej kieszeni wsunął latarkę, a do drugiej magnezjowe granaty. – Napilibym się czegoś.

Tłuścioch spojrział na zegarek.

–Musimy już iść.

Zmierzch zapadł tak szybko, że zaczęli obawiać się, czy zastaną jeszcze łącznika. Larkin czekał jednak w umówionym miejscu wraz z dwoma zakapturzonymi ludźmi. Przywitał ich ruchem głowy i przedstawił swoich towarzyszy.

–Parsons i Liddy.

Nie zdążyli się im przyjrzeć, Larkin od razu narzucił szybkie tempo. W pewnej chwili powiał silniejszy wiatr. W mroku, potęgowanym prószącym lekko śniegiem, nie zorientowali się, że ostatnie zabudowania zostały za nimi. Teren sfalldował się nagle, by po chwili przejść w niezbyt strome urwisko. Brnąc po kolana w kopnym śniegu, Fletcher naciągnął na uszy wełnianą czapkę. Mróz nie był nawet tak dokuczliwy, ale ukryta pod kurtką broń sprawiła, że kurtka nie była już szczelna. Zawiązał mocniej szalik, lecz główny prąd zimnego powietrza dostawał się dołem.

–Daleko jeszcze? – spytał szeptem.

Larkin nie usłyszał jednak i musiał powtórzyć pytanie głośniejszym głosem.

–Już dochodzimy.

Ślizgając się na kamieniach i przewracając przez niewidoczne teraz nierówności terenu, weszli do płytkiego wąwozu. W pewnej chwili Fletcher poczuł pod nogami twardą, idealnie równą powierzchnię. Mimo białej pokrywy każdy krok odzywał się głuchym dudnieniem.

–Co to jest?

–Stal. Jesteśmy na szczycie ogromnego zbiornika.

Larkin zatrzymał się nagle. Jego ludzie zaczęli nogami odgarniać śnieg. Po chwili nachylili się i podnieśli jakąś klapę. Richards podszedł do czarnego otworu.

–Mamy tu zejść?

Larkin potwierdził ruchem głowy. Usiadł na brzegu, spuszczać nogi w dół. Chwycił się ledwie widocznych szczebli drabinki i zaczął schodzić. Po chwili Parsons i Liddy poszli w jego ślady.

–Co to może być? – Fletcher sprawdził, czy rękawiczki są odpowiednio obcisłe. – Fabryka? Stara kopalnia?

Tłuścioch postawił nogę na pierwszym szczeblu.

–Pozostałość z lepszych czasów. Mam nadzieję, że dawniej nikt nie skąpił na nierdzewną stal. Tu wszystko się rusza.

Metalowa drabinka rzeczywiście drgała. Fletcher z całej siły zaciskał dłonie na poręczach, a mimo to wydawało mu się, że każdy krok powoduje obsuwanie się całej konstrukcji. Wokół panowała ciemność. Tylko w górze szarzał coraz mniejszy otwór, przez który prószył śnieg. Fletcher zaklął przez zęby. Zwielokrotnione akustyką rozległej przestrzeni odgłosy wiejącego na górze wiatru nie wpływały na niego kojąco. Odetchnął z ulgą, kiedy znaleźli się w końcu na

wąskim podeście, bynajmniej nie na dnie zbiornika.

–Chodźcie za mną – szept Larkina nabrał nadnaturalnej mocy.

–Po ciemku?

–Jeszcze chwilę.

Wąski, sądząc po dudnieniu, również metalowy, korytarz zaprowadził ich do jakiegoś pomieszczenia. Dopiero tutaj Liddy zapalił pochodnię.

–Gdzie jesteśmy?

Fletcher oparł się o betonową ścianę.

–To bardzo stara budowla – powiedział Parsons. – Nie słyszałem, żeby ktokolwiek jej używał.

–Poza nami – dodał Larkin. – Tędy.

Szeroka pochylnia ze zmurszałego, jakby wyżartego przez kwas żelbetu wiodła ich na jeszcze niższy poziom. Tłuscioch kilka razy potknął się o wystające zbrojenie.

–Uważajcie teraz – Liddy uniósł pochodnię. W jej chwiejnym, zmieniającym co chwilę natężenie światło ujrzeli wzmocnioną kratownicę drzwi.

–To sala Martwych Rzeczy. Przechodźcie bardzo ostrożnie.

Parsons pchnął umieszczone na teflonowych zawiasach skrzydło. Trudno było zorientować się w rozmiarach pomieszczenia. Ruchome cienie idących raz nikły gdzieś w mrocznych głębiach, to znowu pojawiały się drżące na jakichś powierzchniach tuż obok.

–Miałem rację – szepnął Fletcher. – To chyba fabryka.

Spojrzał na zmatowiałe maszyny, popękane, pokryte kopciem ekrany komputerów. Dotknął okładki jakiejś książki leżącej na pochylonym blacie stołu, lecz zaraz cofnął rękę, bo książka rozpadła się w pył, jakby była już tylko popiołem, zachowującym jakimś cudem kształt spalonego oryginału. Wzdrygnął się. Pojął, że wszystkie przedmioty w tej sali są już tylko atrapami, pustymi obudowami, jakby dekoracją do jakiegoś widowiska. Poczul ulgę, kiedy krętymi schodami zeszli do szerokiego korytarza.

–Co jest za tymi drzwiami? – spytał, wskazując niknący w oddali rząd połyskujących powierzchni.

–Różnie – Larkin przyspieszył kroku. – Czasami pokoje, czasami wyrwy na kilka pięter...

–Co tu się stało?

–Zawsze tak było.

Fletcher uśmiechnął się do siebie. Jego własny czas i czas Larkina nie miały ze sobą nic wspólnego.

–Gdzie spotkamy waszego przywódcę? – mruknął Tłuscioch.

–Niedaleko. Zaraz dotrzemy do kanałów, ale... być może, będziemy musieli na niego poczekać.

–Długo?

Larkin wzruszył ramionami.

Parsons i Liddy otworzyli kolejną klapę w podłodze. Tłuscioch jęknął na widok metalowej drabinki. Ta jednak okazała się krótka. Po jakichś piętnastu, dwudziestu metrach schodzenia po raz pierwszy od momentu wejścia do podziemnej budowli poczuli powiew zimnego wiatru. Larkin zeskoczył na kamienne dno kolektora.

–Jesteśmy na zewnątrz? – Fletcher rozcierał nadwyrężone po skoku kolano.

–Nie. To powietrze krąży w ogromnych rurach. Chodźmy, być może, już na nas czekają.

Brodząc po kostki w wodzie, ruszyli w głąb kanału.

–Ile tu może być stopni? – Tłuścioch zniżył głos.

–Nie wiem, na pewno poniżej zera – Fletcher schylił się, zanurzając dłoń w wodzie. –

Dziwisz się, że nie ma tu lodu?

–Właśnie, wszystko powinno być zamrożone.

–Coś musi ją ogrzewać...

Larkin przerwał im ruchem dłoni. Wyrwał pochodnię z rąk Liddy'ego i zbliżył ją do ściany.

Dłuższy czas studiował jakieś znaki.

–Wracamy – powiedział wreszcie. – Grozi nam niebezpieczeństwo.

–Jak to? A wasz przywódca?

–Nie będzie go. Nie możemy tu dłużej zostać.

Parsons zaczął się cofać.

–Szybciej! Niebezpieczeństwo!

Nie zdążyli zawrócić, kiedy z tyłu rozległy się liczne kroki.

–Strażnicy! Szli za nami.

Fletcher błyskawicznie rozpiął kurtkę, kątem oka zauważył, jak Richards mocuje kolbę w swoim karabinku.

–Zgaś pochodnię! – powiedział. – A my w przeciwną stronę!

–Nie. Na pewno tam są również. – Larkin przebiegł kilka kroków. – Tutaj!

Ukryta w małej wnęce przerdzewiała żaluzja puściła pod naporem kilku rąk.

–Zgaś to!

Pochodnia z sykiem zanurzyła się w wodzie. Potykając się i objając o ściany, przebiegli kilkadziesiąt metrów w ciemnościach. Szum jakichś płynów krążących w na pół rozbebeszonych instalacjach zagłuszał ich kroki, tak że biegnący na oślep Fletcher nie był pewny, czy nie został sam. Wyciągnął przed siebie rękę, żeby na wypadek ewentualnej przeszkody osłonić twarz.

–W lewo – z przodu dobiegł go jakiś głos. – Tu jest przejście.

W wąskim korytarzu zrobił się ścisk. Po chwili jednak wypadli na wolną przestrzeń.

Fletcher sięgnął do kieszeni po latarkę, nagle spadło na niego coś z góry. Podniósł rękę, która natrafiła na zwój splątanych sznurów.

–Sieć! – rozpoznał głos Tłuściocha. – To pułapka!

Jakiś ciężar runął mu na plecy. Fletcher, oplatany ciężką siecią, zderzył się z kimś i runął na ziemię. Ktoś lub coś utrudniało mu walkę ze sznurami. Uniósł się na kolana czując, że traci siły. Odgłosy szamotaniny wokół zdawały się zamierać. Za to zewsząd dobiegały go odgłosy kroków nowych strażników. Wykorzystując zamieszanie upadł na bok, zrzucając ciężar z barków. W nagłym przeblasku decyzji zarepetował broń. Zrobił sobie miejsce lewym ramieniem, uniósł skośnie lufę pistoletu maszynowego w górę i przycisnął spust. Krótka seria oddana w niewielkim pomieszczeniu sprawiła, że wokół od razu zrobiło się luźniej. Mobilizując wszystkie siły wstał.

–Na ziemię! – krzyknął na wszelki wypadek pod adresem Tłuściocha.

Wystawił lufę przez oko sieci i posłał serię z półobrotu. W akompaniamencie wściekłych krzyków ktoś znowu skoczył mu na plecy. Fletcher wolną ręką wyszarpnął z kieszeni granat i rzucił go za siebie. Upierne, magnezjowe światło zalało całą salę oślepiając walczących.

Mężczyzna, krzyząc z bólu, puścił Fletchera, znikając gdzieś w przerażającej jasności. Śwąd płonącego ubrania drażnił płuca.

–W tył! Wszyscy do tyłu! – głos Larkina wybijał się ponad ogólny zamęt.

Ktoś pomógł Fletcherowi wyplątać się z sieci. Z tyłu rozległy się pojedyncze strzały.

Richards wymierzył w tamtym kierunku, ale Fletcher chwycił go za kołnierz.

–Jazda stąd! Jesteśmy cholernie dobrze oświetleni!

Mrużąc załzawione oczy, zmienił magazynek i kilkoma seriami rozpędził zagradzających przejście strażników. Ogluszeni wyciem i warczeniem rozrywających się kul, skuleni, przebiegli wąski korytarz. Wpadli z powrotem do pustego już kanału.

–Wracamy tą samą drogą? – Fletcher usiłował dostrzec cokolwiek w ciemności.

–Nie, chodźcie.

Larkin poprowadził ich w przeciwną stronę. Strażnicy również odnaleźli tę drogę, bo gdzieś w górze zagwizdał rykoszet. Fletcher w biegu wyjął pusty magazynek i parząc dłoń o rozgrzaną lufę, założył następny. Brodząc w coraz głębszej wodzie, dotarli do rozwidlenia. Kilka kul obsypało ich odłamkami betonu, ale huk był coraz dalszy. Larkin skręcił w bok i klucząc w zawiłym systemie rur i kanałów, wyprowadził ich do przestronnego, sądząc po echu, kolektora. Stąd, ciągle biegiem, dotarli do owalnego kanału prowadzącego w dół poprzez kilka połączonych ze sobą studzienek opadowych. Zatrzymali się dopiero, kiedy woda pod nogami zamieniła się w lód. Richards zapalił latarkę, osłaniając ją ręką.

–Kogoś brakuje! – z trudem powstrzymał atak kaszlu.

–Parsons – powiedział Liddy. – Musiał tam zostać.

–Zabity?

Gęsta para przyspieszonych oddechów rozplywała się w mglistej atmosferze podziemi.

–Nie – Larkin potrząsnął głową. – Słyszałem go.

–Chyba... – Tłuścioch niepewnie podniósł karabin. – Chyba powinniśmy go odbić.

–Jasne – Fletcher przesunął dłonią po puchnących ustach. Musiał przegryźć sobie wargę. –

Rzucimy do ataku dwie kompanie spadochroniarzy, sekcja saperów zabezpieczy tyły, a pluton wsparcia z flanki...

–Przestań.

–Nic nie pomożemy – powiedział Liddy. – Powinniśmy...

–Jesteś ranny? – wpadł mu w słowo Fletcher, widząc krew spływającą po ręce.

–Nie – Liddy zdziwiony oglądał rękaw płaszcza. – Nie wiem.

–Szok – mruknął Tłuścioch. – Masz jakieś opatrunki?

Larkin obejrzał się niespokojnie.

–Musimy już iść. Mamy szansę tylko w nocy.

–A on?

–Zrobię, co będę mógł. Ale potem.

Fletcher spojrział na zegarek.

–Wiecie, co teraz począć?

–Poradzimy sobie. Rozstaniemy się przy wyjściu. Potem, jeśli nic się nie zmieni, nawiążemy kontakt.

–Myślisz, że strażnicy rozpoczną pogoń?

–Pogoń? Na powierzchni będą kryć swoje zamiary.

Mimo chłodu Larkin otarł pot z czoła.

–Na pewno rozpoczną poszukiwania – wtrącił się Liddy.

–Rzecz w tym, ile powie im Parsons.

–I kiedy – dodał Tłuścioch.

Larkin skinął głową.

–Może nie będą go przesłuchiwać.

–Dlaczego?

–Jeśli będzie miał proces... Chodźmy, mamy coraz mniej czasu.

Tłuścioch zgasił latarkę. Larkin, mimo ciemności, prowadził ich szybko, tak że już po kilkunastu minutach dostrzegli majaczącą u wylotu kanału zamrzniętą tafłę rzeki.

Jasny promień słońca prześliznął się po dachach budynków, wzbudzając błyski w załomach rynien, skąd zwisały długie sople lodu. Zaraz jednak okno w chmurach zamknęło się i znowu mglista szarość zgasła wszystkie barwy świtu.

Tłuścioch westchnął cicho, zeskoczył z ośnieżonej gałęzi i zszedł do niewielkiego wykrotu na skraju lasu.

–Nie widać ani specjalnego ruchu, ani żadnego zamieszania.

Uderzył nogą w nogawkę spodni, żeby otrzepać śnieg, ale ta – przedtem zamoczona, teraz zamrznięta – pękła z cichym trzaskiem.

–Nie wytrzymam tu dłużej – powiedział schrypniętym głosem. – Jeszcze godzina na tym mrozie, a dostanę zapalenia płuc.

–Co według ciebie powinniśmy zrobić? – ręka Fletchera przecierająca zamek automatu zamarła.

–Nie wiem, ale nie możemy zostać w tym lesie.

–Co proponujesz?

–Chodźmy do gospody.

Fletcher położył broń na kolanach i zaczął rozgrzewać skostniałe dłonie.

–Jeśli uważasz, że wszyscy strażnicy to durnie...

–Nie, do cholery – Richards podniósł kołnierz kurtki. – Ale skąd mamy pewność, że na nas czekają?

–Musieliby zgłupieć, żeby nie obstawić gospody.

–Skąd wiedzą, że jesteśmy w to wszystko zamieszani?

Fletcher wznosił oczy ku niebu.

–Słuchaj, czy ty naprawdę uważasz, że całe to śledzenie nas na każdym kroku, pułapka w podziemiach są dziełem przypadku?

–No więc dobrze. W takim razie uciekajmy wprost do bazy.

Fletcher potrząsnął głową.

–Sam mówileś o mrozie. Już zapomniałeś?

–W drodze nie musi być zimno. Podczas ruchu...

–Potrafisz iść przez kilka dni bez odpoczynku?

–W nocy rozpalimy ognisko.

–A jedzenie? Zdechniemy z głodu.

–Może coś upolujemy.

–Może... a jeśli nie? Zresztą, z czego? Słyszałeś o polowaniu z pistoletem maszynowym?

–Mam karabin.

Fletcher machnął lekceważąco ręką.

–Mniejsza z tym. Ciekawi mnie jednak, jak chcesz trafić do bazy?

–Co?

–Przecież nie mamy przy sobie mapy. Nie mamy przewodnika. Zapamiętałeś chociaż drogę, jaką przyszliśmy?

–Trochę...

–Tymczasem jednak spadł śnieg i dużo się zmieniło. Część drogi przebyliśmy łodzią, teraz będziemy musieli iść pieszo. Poza tym przy tych chmurach będziemy mieli trudności z określeniem stron świata.

Tłuścioch potarł brodę. Jego nieogolone policzki zapadły gdzieś w głąb.

–Powinniśmy jednak spróbować – powiedział niepewnie.

–Zapomniałeś o czymś.

–Tak?

–Pogoń. Nie ma podstaw, by przypuszczać, że puszcza nas tak sobie. – Fletcher oparł się o oszroniony pień. – A oni doskonale znają teren. Zresztą założę się, że strażnicy mają psy.

–Podobno zwierzęta tracą węch w zimie.

–Nie wiem. Ale na pewno na śniegu zostają wyraźne ślady. Nie uciekniemy daleko.

Tłuścioch, osłaniając zapalną złożeńymi dłońmi, zapalił papierosa.

–Może Landau wpadnie na to, żeby nas szukać. Jeśli nie zgłosimy się przez radio w określonym terminie...

Fletcher przerwał mu ruchem ręki.

–Na pewno zacznie. Tylko kiedy? Dokładne terminy łączności mieliśmy określone na pierwsze kilka dni. Teraz możemy porozumiewać się z dwu-, trzydobową tolerancją. Ostatni raz robiliśmy to wczoraj.

–Zostały więc maksimum trzy dni.

–Zbyt optymistycznie. Landau zajęty jest przeprowadzką i organizacją bazy. Powiedzmy, że zaczną szukać za cztery, pięć dni. Wystarczy, żeby szlag nas trafił.

–Co w takiej sytuacji robić?

–Nie wiem.

Tłuścioch zaciągnął się głęboko.

–W takim razie chodźmy do gospody. Spróbujemy nadać komunikat.

–A jeśli jednak jest obstawiona?

–Przebijemy się i pod ogniem nadamy wezwanie o pomoc. Potem się poddamy. Nie zdążą nam nic zrobić do przyścia odsieczki.

–Taaak... – Fletcher uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. – Skąd masz pewność, że radiostacja jest jeszcze w moim pokoju?

Richards uderzył pięścią w kolano.

–Potrafisz tylko zbijać moje propozycje? A twoje własne?

–Właśnie nad nimi myślę.

–I co?

Fletcher wzruszył ramionami.

–Możemy zaszyć się gdzieś, a w nocy ułożyć napis MAYDAY z płonącej magnezji. Satelity

powinny to zauważyć. Nie mamy jednak pewności, czy tym zapitym leniom na pokładzie chce się cokolwiek obserwować.

–To wszystko?

–Nie. Możemy podpalić ten interes wskazal kciukiem najbliższą budowlę.

–Ten budynek?

–Nie, wszystkie. Po pierwsze, taki pożar zwróci uwagę naszych, a po drugie, w powstałym zamieszaniu nikt nie będzie nas łapał.

–Jest jednak jeden minus. Nie wiadomo, czy w tym śniegu wszystko się zajmie...

–Chyba nie mówisz poważnie.

Fletcher odchylił głowę i przez chwilę masował kark.

–Nie mogę myśleć przy takim mrozie – podniósł pistolet maszynowy, zarzucając jego pasek na szyję. – Chodźmy.

–Gdzie?

–Do gospody. To najgłupsze rozwiązanie, ale może do tutejszych zwyczajów należy napojenie skazańców czymś gorącym przed rozpoczęciem tortur.

Podnieśli się i ruszyli w stronę pobliskich zabudowań, najpierw szybko, potem w miarę wnikania w labirynt wąskich uliczek coraz wolniej. Brak przechodniów i panująca wokół cisza sprawiały nieprzyjemne wrażenie. Fletcher, mimo zimna, rozpiął kurtkę.

–Cholera, brakuje tylko szeryfa, który wyjdzie nam naprzeciw.

–Szeryfa? Widzę, że z góry stawiasz się po stronie bezprawia.

–Gdzieś trzeba. Teraz uważaj – Fletcher, obrzucając wzrokiem wyludnioną okolicę, podszedł do drzwi gospody. – Ja wejdę pierwszy. Jeśli usłyszysz strzały, rzuć granat. Jeśli nie, idź kilka metrów za mną.

Gdzieś obok wiatr zrzucił z dachu połać śniegu. Z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk. Fletcher pchnął drzwi i skulony przekroczył próg. Ciemna sala była pusta. Nawet miejsce za szerokim kontuarem, zajmowane zwykle przez drzemiącego gospodarza, było opuszczone. Fletcher, sunąc tuż przy ścianie, podszedł do schodów. Przez chwilę nasłuchiwał, potem ostrożnie postawił nogę na pierwszym stopniu. Drgnął całym ciałem, kiedy skrzypnęła deska. Szybkim ruchem zdjął czapkę i odrzucił z czoła mokre od potu włosy. Zrobił dalszych kilka kroków i wyjrzał ponad poziom podłogi. Wąski korytarz był pusty. Dał znak Tłusciochowi i zdjął z szyi pasek automatu. Starając się nie hałasować, podbiegł do swoich drzwi. Zaczekał, aż Tłuscioch dobieje do niego, potem wskazał framugę.

–Widzisz, szpara – szepnął. – Zostawiłem drzwi zamknięte.

–Co robimy?

Fletcher nasłuchiwał w niezmałconej ciszy. Wydawało mu się, że słyszy czyjś oddech. Nagle kopnął drzwi z całej siły i trzymając broń w wyciągniętych przed siebie rękach, wskoczył do środka.

Rozparty na łóżku Blake Cohn popatrzył na niego obojętnie.

–Miło mi, że was widzę – powiedział.

Oprócz niego nie było w pokoju nikogo.

–Przyszedłem, żeby wam powiedzieć, że pan Drummond przyjmie was dzisiaj po południu.

–T...Tak? Dlaczego akurat dzisiaj?

–A dlaczego nie?

Zapadło wyczekujące milczenie.

–Długo na was czekałem – przerwał ją wreszcie Cohn.

–Byliśmy na wycieczce – Fletcher nie bardzo wiedział, co zrobić z ciągle wycelowanym w postać na łóżku automatem. Opuścił go, a potem niezgrabnie schował pod połę kurtki.

–Macie tu wokół ładne okolice...

Cohn podniósł się powoli.

–Przyjdźcie po południu... Do głównego budynku przy wieży.

Minał stojącego z głupią miną Tłuściocha i zniknął w korytarzu. Po chwili na dole trzasnęły drzwi.

–Co o tym myślisz? – Richards otrząsnął się dopiero teraz.

–Nie wiem.

–Zabierajmy sprzęt i chodu. Dopóki można.

–Po co? Skoro nie zamknęli nas teraz, nie zrobią tego i później. Przynajmniej dzisiaj.

–Chyba nie chcesz iść do Drummonda?

–Owszem, chcę.

–Wariat – Tłuścioch rzucił się do radiostacji. Postawił ją na ziemi i drżącymi rękami rozłożył antenę.

–Mogli nas złapać w każdej chwili – Fletcher usiadł na zwolnionym łóżku. – Przecież nie zapraszaliby nas tylko po to, żeby wyciąć jakiś numer.

–A po co?

–Może czegoś od nas chcą.

–Tak, potrzebują dwóch frajerów do sali tortur. Chcesz im zrobić widowisko za darmo, psiakrew.

–Uspokój się.

Fletcher założył nogę na nogę i rozparł się dokładnie w takiej samej pozycji, jaką przedtem przyjął Cohn.

–Chyba nie pójdziemy na audiencję z bronią?

–Jest już nieźle, skoro dopuszczasz możliwość pójścia. Weźmiemy broń.

–Tak, i powiemy: „Przepraszamy, panie Drummond, za wysypujące się z kieszeni naboje, ale takie są u nas zwyczaje”.

–Przecież i tak nie mamy garniturów. Pod kurtką można dużo ukryć.

–Miejmy nadzieję, że nie będzie gorąco.

–Weźmiemy też aparat fotograficzny, może uda się sfotografować jakieś akta.

Tłuścioch postukał palcem w czoło.

–Poza tym – kontynuował Fletcher – wezwiemy pomoc. Podobno lepiej się rozmawia z pozycji siły.

–Nareszcie coś rozsądnego.

Fletcher podniósł do ust mikrofon i włączył zasilanie radiostacji.

–Hasło na dzisiejszy dzień... – zaczął. – Zapomniałem hasła, tu mówi...

–Tu Landau – przerwał mu twardy głos. – Daruj sobie biurokrację.

–Łatwo cię złapać. Cały dzień spędzasz na nasłuchu?

–Masz szczęście. Zaraz – Landau zreflektował się jednak. – Jesteś pewny, że nikt nie trzyma lufy na twojej skroni?

–Tłuścioch wymachuje karabinem. Chyba chce mnie porwać. Słuchaj, trochę narozrabialiśmy.

–Bardzo? Mam zwiewać na drugą półkulę?

–Trochę – powtórzył Fletcher. – Potrzebujemy wsparcia.

–Co się stało?

–Mieliśmy małą strzelaninę. Po południu idziemy na oficjalne spotkanie i nie wiemy, jak nas przyjmą.

Głośnik milczał dłuższy czas.

–Dobrze – powiedział wreszcie Landau. – Zaraz zmontuję odpowiednią grupę. Dotrą do was wieczorem albo w nocy.

–Tak szybko?

–Nie doceniasz mnie, chłopcze. Masz coś jeszcze?

–Nie, to wszystko.

–W takim razie wyłączam się. Wyciągnijcie z tego spotkania, ile się da...

Nagły szum w głośniku zasignalizował przerwanie kontaktu. Fletcher odrzucił mikrofon. Zapalili papierosy.

–Widziałeś, jak szybko się zgodził?

Tłuścioch przytaknął ruchem głowy, rozciągając usta w ironicznym uśmiechu.

–A to znaczy...

–...że ludzie Redfielda nie marnują czasu – dokończył Fletcher. – Konflikt w dowództwie narasta, a my tak czy tak korzystamy. Nie będziemy harować sami.

Tłuścioch wydmuchnął dym w kilka kólek.

–Coś się zaczyna – mruknął.

W podłużnej sali, gdzie czekali już kilka godzin, było jeszcze parę osób. Ubrani w obowiązujące tutaj chyba długie płaszcze z kapturami, siedzieli nieruchomo, z całkowitą obojętnością patrząc gdzieś przed siebie. Tłuścioch wiercił się, zapinał i rozpinął kurtkę, ani przez chwilę nie mogąc powstrzymać się od kąśliwych uwag pod adresem wszystkich i wszystkiego wokół.

–Chcą nas wziąć na wytrzymałość – powiedział, wskazując piętrzący się przed nim stos niedopalków. – Liczą na to, że z wyczerpania sami im wszystko powiemy.

–Co?

–Wszystko, co chcą wiedzieć. Zdechnę z głodu, zanim pan Drummond zechce nas przyjąć. Założę się, że on sam jest już po obiedzie.

–Może ma dużo obowiązków...

–Tak. Jednym z nich jest robienie petentów w konia.

–Bez przesady. Na pewno chce tylko pokazać, jaki jest ważny.

–Byle nie moim kosztem.

Fletcher przerwał mu ruchem ręki.

–Słyszysz?

Richards uniósł głowę. Spoza niedomkniętych drzwi prowadzących na korytarz i wąskich, przypominających strzelnice okien dobiegł delikatny, stłumiony odległością szum.

–Co to jest?

–Nie wiem – Fletcher podszedł do najbliższego okna i wspiał się na palce. Dolny róg

parapetu był jednak zbyt wysoko.

–Podsadzić cię?

–Nie róbmy przedstawienia.

Tłuścioch obrzucił siedzących ludzi niechętnym spojrzeniem.

–Ciekawe, co to może być...

–Przypominają mi się dawne czasy, jakieś przedstawienie w parku, zamknięta dla ruchu ulica...

–Sądzisz, że to odgłosy tłumu?

–Tak, złożonego z wielu, wielu osób.

–Powinniśmy słyszeć jakieś krzyki.

–A jeśli na coś czekają?

–Byle nie na nas – Richards bezwiednie wsunął rękę pod kurtkę. Nie zdążył jednak nic wyjąć, kiedy otworzyły się położone po przeciwnej stronie poczekalni drzwi. Mimo że nic nie zmieniło się w jego wyglądzie zewnętrznym, Cohn sprawiał wrażenie mistrza jakiejś podniosłej ceremonii.

Podeszedł do nich i powiedział ściszym głosem.

–Pan Drummond czeka.

Podnieśli się z ulgą. Cohn, ciągle poruszający się z namaszczeniem, przeprowadził ich przez ciemny korytarz, potem zatrzymał się, cofnął na bok i zrobił zapraszający gest. Z pewnym niepokojem weszli do wielkiej, równie mrocznej jak korytarz sali. Snujący się po ścianach dym jakiegoś kadzidła rozświetlało zaledwie kilka lampek. Chwiejne cienie opadających z sufitu ciężkich tkanin kładły się na drewnianych, szerniałych od starości przepierzeniach wokół położonego centralnie podestu. Na nim właśnie, wśród rozstawionych bezładnie, wyslizganych od częstego używania krzesel, taboretów i rzeźbionych ław, krzątało się kilka osób. Mimo że nikt nie dokonał prezentacji, od razu poznali Drummonda. Ubrany w taki sam, jak inni, płaszcz, siwy staruszek siedział w ogromnym skórzanym fotelu, zwrócony bokiem do wchodzących. Uwijający się wokół ludzie zdawali się nie wykonywać żadnej konkretnej pracy, ich ruch w zestawieniu ze spokojem starca sprawiał wrażenie jakiejś formy oddawania czci. Podeszli bliżej, tak żeby znaleźć się w polu widzenia siedzącego, ten jednak otwierał i zamykał oczy, jakby walcząc z bezwładnością powiek. Nie byli pewni, czy patrzy na nich.

–Pan Drummond zgodził się was wysłuchać – powiedział Cohn.

–Bardzo nam miło – Fletcher nagle zdał sobie sprawę, że nie bardzo wie, o czym chce mówić. Spojrzał na Tłuściocha, ale ten unikał jego wzroku. – Reprezentujemy liczną grupę osób – zaczął niepewnie. – Chcielibyśmy współpracować z wami. Tym bardziej, że mamy podstawy przypuszczać, że obecna sytuacja ulegnie zmianie.

Nie nastąpiła żadna reakcja.

–Myślę, że być może naprawdę nastaną trudne czasy i od zdolności przystosowania zależeć będzie...

Drummond nachylił się w stronę jednego ze swoich ludzi. Tamten skłonił głowę, a potem popatrzył na Fletchera.

–Pan Drummond mówi, że człowiek nie jest ostatnim ogniwem ewolucji.

–Powiedzmy. Jednak muszę was ostrzec, że w związku z naszym przybyciem...

Staruszek podniósł wzrok. Patrzył teraz gdzieś ponad głowami stojących przed podestem.

– Człowiek nie jest ostatnim ogniwem ewolucji – powiedział stłumionym, świszczącym głosem. – Dano nam możliwość niewiedzy, nieangażowania się i niedążenia do niczego.

Fletcher potrząsnął głową.

– Myślę jednak, że powinniśmy dojść do porozumienia.

Drummond nie sprawiał wrażenia, że wie, co się dzieje wokół niego. Patrzył teraz na swoje kolana.

– Chcielibyśmy – zaczął Richards, ale staruszek znowu podniósł głowę.

– Pamiętajcie – prawie wyszeptał. – Człowiek nie jest ostatnim ogniwem ewolucji.

Gdzieś z boku lekko szeleściły przewracane przez kogoś karty książki.

– To wszystko – Cohn również ściszył głos. – Chodźmy.

Poprowadził ich do wyjścia, potem zamknął drzwi, sam pozostając w środku. Fletcher ochłonął dopiero w korytarzu za poczekalnią.

– Coś takiego – powiedział. – Wszystko bym podejrzewał, ale nie...

– Przecież to kukła – przerwał mu Tłuścioch. – Coraz mniej podoba mi się ten cały interes.

Fletcher włożył do ust papierosa.

– Musieli mieć jednak jakiś cel w tym, żeby nas tutaj ściągnąć – powiedział.

Nie zdążył zapalić zapalki, kiedy ktoś otworzył boczne drzwi i znowu usłyszeli dziwny szmer czy szum.

– Zobaczymy, co tam się dzieje?

Richards skinął głową.

– Spróbujmy tędy – wszedł do wąskiego korytarzyka, który zaprowadził ich do małej sali przy wewnętrznym dziedzińcu.

Szum wzmógł się tak, że rozpoznawali już pojedyncze, ściszone głosy. Wyszli na zewnątrz. Ogromna galeria wokół położonego kilka pięter poniżej, rozległego placu była szczelnie wypełniona ludźmi. Wszyscy zebrani zdawali się na coś czekać. Fletcher z trudem przepchał się do zewnętrznej barierki. Prostopadłościenny budynek z palem na środku, który tak intrygował ich na początku, zmienił swój wygląd. O drobny szczegół. Do pala przywiązany był człowiek.

– Trafiliśmy na egzekucję – mruknął Richards.

– Masz lornetkę? Ten człowiek...

– Nie.

– Wyjmij aparat. Powinien dawać pewne powiększenie.

Tłuścioch wyjął z kieszeni aparat fotograficzny. Spojrzał przez wizjer, regulując jednocześnie ostrość.

– To Parsons – powiedział wreszcie.

– Tak myślałem – Fletcher zdenerwowany potarł brodę. – Przepraszam, co się tutaj dzieje? – spytał stojącego obok mężczyznę.

Ten spojrział na nich ze zgorzeniem.

– Próba.

– Jaka próba? Czy ktoś zginie?

– Jeśli jest złym człowiekiem...

– Jak to złym? Czy on jest winny?

–O tym zadecyduje demon.

–Słuchaj! – przerwał im Tłuścioch.

Gdzieś w dali narastał przeciągły warkot.

–Co to jest?

Gromowy pogłos potężniał z każdą chwilą.

–Uważaj, Richards, cokolwiek to jest...

–Jakiś traktor?

–Jasna cholera!

Warkot wzmógł się, zagłuszając wszelkie inne dźwięki, i nagle zza pobliskiego dachu wyskoczył zgrabny samolot. Zatoczył łagodny łuk powyżej poziomu galerii, potem wszedł w ciasny wiraż, oślepiając blaskiem odbitym od kręgu śmigła.

–Richards, aparat!

Niewidoczny za nieprzezroczystą z tej strony szybą kabiny pilot wyrównał nad dachem biblioteki i zwiększył obroty. Ryk silnika wprawił w drżenie całą galerię. Tłum zafalował.

–Rób zdjęcia! Szybko!

Samolot zanurkował lekko, potem podniósł nos i naprowadzany przez wieżę z charakterystyczną wyrwą w murze ruszył w kierunku prostopadłościennej budowli. Fletcher zauważył wypuszczone klapy.

–Psiakrew, to myśliwiec!

–Będzie lądował?

Nagły łoskot kilku czy nawet kilkunastu karabinów maszynowych rozwał wszelkie wątpliwości. Smugowe pociski rozorały dach budynku, wzbudzając prawdziwe gejzery śniegu. Przywiązana do słupa sylwetka drgnęła nagle, potem zawisła bezwładnie na sznurach. Myśliwiec przerwał ogień. Zrobił pół pętli i ciągle na plecach przemknął tuż nad galerią, tak że poczuli swąd spalin. Ludzie wokół wznosili jakieś okrzyki.

–Chodźmy stąd – powiedział Fletcher. Z trudem tłumił złość.

Tłuścioch wsłuchiwał się w słabnący warkot.

–Kto to był, do cholery?

–Nie domyślasz się? Specjalnie zorganizowali tę kretyńską audiencję, żebyśmy nie mogli zareagować.

Zaczęli przepychać się przez tłum. Kiedy dotarli do schodów, Fletcher przyspieszył kroku.

–To wszystko stało się tak szybko... – Richards nie mógł zebrać myśli. – Dlaczego nam to pokazali?

–Może chcieli z nas zakpić? Albo ostrzec.

–Słuchaj, co teraz będzie?

Fletcher skrzywił się ze złością.

–Nic. Landau pęknie ze szczęścia. Ma kolejny atut w rozgrywce z Redfieldem. Ma powód, który pozwoli mu kontrolować tę osadę.

–Po co?

–Najpierw tę, potem następne. Zobaczysz, to Landau, a nie Redfield będzie kiedyś rządził Ziemią.

Tłuścioch z trudem dotrzymywał kroku.

–Ale skąd oni mają samolot?

–Może też z magazynów, a może nie... Później dowiemy się, co jest grane – Fletcher również zaczął tracić oddech.

Prawie biegiem dotarli do gospody.

–Pakuj się i zjeżdżamy. Nie wiadomo, co jeszcze wymyślą strażnicy.

Fletcher wrzucał rzeczy do plecaka tak, jak podeszły mu pod rękę. Czuł, że zdenerwowanie wcale nie ustępuje. Nie sądził, że śmierć Parsonsa może go tak przejąć. Nacisnął kolanem i zawiązał górne sznurki. Nagle z tyłu trzasnęła jakaś deska. Porwał automat i odwrócił się błyskawicznie. W drzwiach stała córka gospodarza. Musiała wyjść z kąpieli. Miała mokre włosy, a jedynym jej strojem było owinięte wokół ciała prześcieradło.

–Czy... czy już odchodzicie? – spytała.

–Jak widzisz.

Fletcher przytroczył do stelaża radiostację, potem założył na barki pasy plecaka. Zawiesił na szyi pistolet maszynowy.

–Co się stanie? – powiedziała cicho.

Podziwiał jej intuicję.

–Nie wiem, co się stanie, ale świat nigdy już nie będzie taki jak dotąd. To jedno wiem na pewno.

–Jaki świat?

–Twój świat, dziewczyno. Przygotuj się na to.

Delikatnie odsunął ją z drogi. Potem, nie oglądając się, zszedł na dół.

Zwariowana pogoda pozwoliła sobie na kolejny kaprys i, mimo ciągle padającego śniegu, przyszło kolejne ocieplenie. Samochody konwoju grzęzły w błocie, wpadały na siebie i z trudem rozchodziły się na boki, wyjąc silnikami na niskich biegach. W zapadłym mroku kierowcy oślepiali się wzajemnie reflektorami, trąbili i krzyczeli wściekle. Fletcher zauważył, że większość wstecznych lusterek owinięto jakimiś szmatami, chustkami czy wręcz szalikami.

–Nieźle jatki – mruknął, patrząc na wgnieciony błotnik nieprawdopodobnie ubłoconego jeepa. – To cud, że nie powystrzelali się nawzajem.

–Nareszcie w domu – Tłuscioch potrząsnął głową na widok wykrzywionych złością ludzi. – Szybko przyjechaliście! – krzyknął do wyskakującego z ciężarówki Snydera.

–Niech cię szlag trafi!

–Mieście chyba przyjemną przejażdżkę – uśmiechnął się bezczelnie Fletcher.

Snyder zrobił ruch, jakby chciał wrócić do szoferki.

–Zamorduję cię – powiedział jednak. – I tak masz szczęście, że przejezdny jest duży odcinek autostrady. Inaczej chłopcy powiesiliby was na najbliższym drzewie.

–Co tu się stało? – skąd z boku podszedł Mc'Cooley. – Rozpętaliście wojnę?

–Nie sądziliśmy, że Landau potraktuje to tak poważnie.

–Lepiej nic nie mów na ten temat – Snyder podniósł rękę.

Fletcher czuł, że ma coraz lepszy humor. Ruszył powoli wzdłuż rzędu ustawionych burta w burtę samochodów terenowych, ciężarówek i transporterów na gąsienicach. Mijał zmęczonych kierowców, rozwijających w błocie i śniegu namioty, przenoszących kanistry, Kuchenki, sprzęt łączności, przepelnione pojemniki i walizy. Zatrzymał się dopiero przy jednym nieoświetlonym samochodzie.

–Reiss? – zawołał.

Nie pomylił się. Skrzypnęły drzwiczki i szybki gest zaprosił go do środka. Zajął puste miejsce za kierownicą, zakręcając opuszczoną szybę.

–Czego chcesz?

Fletcher wyjął papierosy.

–Zimno tu.

Reiss cmoknął, krzywiąc twarz.

–Ty zawsze tylko o jednym – podał mu butelkę piwa.

Fletcher pociągnął duży łyk.

–Skąd to masz?

–Ze starych zapasów na statku.

–Słyszałem, że w ładownikach jest miejsce tylko dla ludzi.

–W takim razie następna tura ma pecha. Polecą w większym tłoku.

Przez zaparowane okno widać było, jak kilkanaście osób stawia ściany baraku z falistej blachy.

–Co w bazie?

–Kłótnie.

–A poza tym?

–Cwaniak Landau torpeduje wszystkie próby nawiązania współpracy z mnichami. W jakiegokolwiek formie.

–Z mnichami?

–Tak nazwaliśmy tych tutaj. W płaszczach i kapturach.

–Jakie podaje powody?

–Landau? Że najpierw trzeba zorientować się w sytuacji. Przy czym oficjalny program badawczy nie istnieje. Za to obaj z Redfieldem robią to na własną rękę.

Fletcher pociągnął następny łyk.

–Jakie są prognozy? – spytał.

–Akcje szefa idą w górę. Może to i dobrze. Z dwojga złego wolę, żeby to on, a nie Redfield kierował tak zwanym tworzeniem cywilizacji... A co u was?

–Dowiesz się później. Tłuszcioch streszcza teraz swoje przygody Snyderowi.

Ktoś zapukał do drzwi.

–Hej tam! – poznali głos Mc'Cooleya. – Zamykać bar. Mamy zebranie w baraku.

–Przecież jeszcze go nie postavili.

–Właśnie kończą.

Fletcher dopił resztkę piwa.

Reiss nie był jednak skąpy, tak że weszli do baraku, kiedy zebranie było już w toku. Żadna ze skupionych wokół składanego stolika osób nie podniosła głowy. Szybko zajęli dwa ostatnie, brezentowe krzesła.

–Myślę, że nie ma sensu analizować wszystkich podanych przez Richardsa faktów – mówił Mc'Cooley. – sytuacja wydaje się jasna. Pewna grupa skupionych u władzy ludzi kieruje społeczeństwem za pomocą...

–To jeszcze pytanie – wtrącił Snyder.

Mc'Cooley rzucił mu niechętne spojrzenie.

–Tak czy tak – ciągnął – powinniśmy zastanowić się nad poziomem technicznym dostępnym

eliecie tego społeczeństwa. Proponuję, opierając się na zdjęciach samolotu, przedyskutować problem: czy samolot został wyprodukowany specjalnie w celu wykonywania spektakularnych egzekucji, jeśli tak, to gdzieś musi istnieć fabryka, a więc i przemysł. Jeśli nie, to skoro został odnaleziony i rozkonserwowany, to czy wykonano na nim przeróbki, przystosowując do tak specyficznego zadania; znaczyłoby to, że gdzieś istnieć muszą choćby warsztaty. I ostatnia możliwość, jeśli samolot został znaleziony w magazynie podobnym do naszego, to w jakim stopniu opanowano jego obsługę...

–Pilotaż był bezbłędny – powiedział Richards.

–Tak, ale to nie wszystko.

Siedzący trochę z tyłu Navarra sięgnął po zdjęcie.

–Myślę, że to konstrukcja z okresu drugiej wojny. To śmigło o niewielkiej, jak sądzę, liczbie łopat, wysunięty do przodu, wydłużony silnik...

–Pomyliłeś się o co najmniej kilkadziesiąt lat – powiedział Snyder. – Spójrz na osłony dysz wylotowych i brak ogromnej chłodnicy.

–Sądziś, że ma turbinowy silnik?

–Tak. Ale masz rację, że to myśliwiec. I to bynajmniej nie przerabiany.

–Dlaczego?

–Ma lusterko na wiatrochronie. Szczegół przydatny wyłącznie w maszynie bojowej. Podczas lotów, nazwijmy to, egzekucyjnych – bez zastosowania. Gdyby samolot gruntownie przerabiano, przede wszystkim usunięto by wszystko, co niepotrzebne.

–Mylisz się. Spójrz na to zdjęcie – Fletcher położył na stole kolorowy kartonik. – Jeśli przeliczyć dokładnie rozbłyski, wychodzi, że zamontowano czternaście karabinów maszynowych. Sześć w skrzydłach – te, być może, są fabryczne – i osiem podwieszonych w opływowych kasetach. Biorąc pod uwagę rodzaj silnika i fakt zabudowania kaemów w skrzydłach, trzeba stwierdzić, że taki samolot nie mógł istnieć. Obie rzeczy pochodzą z różnych okresów.

–Może złożono go ze znalezionych części – podsunął milczący dotąd Sneath.

–Nie przesadziłeś z liczbą karabinów? – spytał Mc'Cooley.

–Przelicz sam. Zresztą jeśli nie stosuje się broni wielolufowej, taka liczba ma uzasadnienie. W końcu chodzi o maksymalną liczbę trafień do małego celu jedną serią.

–Więc co w końcu mają? – wtrącił się Reiss. – Warsztat czy fabrykę?

–Fabrykę – powiedział Snyder. – Samolot jest specjalnie przystosowany do manewrowania na małych szybkościach i minimalnej wysokości. Ma cały system przesuwno-odchylnych klap i slotów.

–To nie on ma sloty, tylko ty halucynacje – Reiss zbliżył zdjęcie do gazowej lampy. – Skrzela przy karabinach w skrzydle – to nonsens. Ma tylko hamulce aerodynamiczne.

–A jednak!

–Nie przesadzajmy – mruknął Navarra. – Takie skrzydło mogło być kiedyś produkowane seryjnie. Dokonano tylko drobnych przeróbek.

–Skąd wiesz? – Sneath zabrał mu zdjęcie.

–Gdybym miał fabrykę i przemysł i mógł zaprojektować samolot specjalnie do tego celu, zrobiłbym to inaczej.

–Tak?

–Po pierwsze, pilot ma za małą widzialność z kabiny, ograniczoną dodatkowo przez zbyt starannie oprofilowaną osłonę silnika. Dlaczego nie umieszczono kabiny z przodu i nie zdecydowano się na śmigło pchające? Obecne rozwiązanie jest charakterystyczne dla przechwytyjącego myśliwca starego typu.

–A po drugie?

–Chowane podwozie. Niepotrzebna komplikacja już i tak bardzo zmechanizowanego skrzydła. Tym bardziej że użytkowy zakres prędkości jest bardzo mały, a główną cechą tej maszyny musi być ogromna manewrowość.

–A więc warsztat?

–Tak. Na pewno tak. Żaden przemysł nie wchodzi w grę.

Mc'Cooley odchylił się razem z krzesłem, które zatrzeszczało ostrzegawczo.

–W takim razie pozostaje problem, jak go znaleźć.

–Nie można użyć satelitów?

–A jeśli jest zamaskowany?

–Przecież zdjęcia można odpowiednio powiększyć.

Mc'Cooley spojrział na Novarre. Ten wzruszył ramionami.

–To nie jest kwestia techniczna – powiedział. – Chodzi tylko o realny czas wykonania zadania. Przecież nie przejrzymy powiększonych zdjęć całej powierzchni Ziemi centymetr po centymetrze.

–Morza się pominię – mruknął Tłuścioch.

–Spokojnie – Snyder odrzucił opadające na czoło włosy. – Przecież żaden samolot nie ma nieograniczonego zasięgu.

–Tylko jak go określić?

–Wszystko jest do zrobienia – uśmiechnął się Sneath. – Wyraźnie widać, że jego skrzydło ma stosunkowo cienki profil, co przy zabudowanych karabinach, klapach, hamulcach i chowanym podwoziu raczej wyklucza integralne zbiorniki paliwa w skrzydłach. Węzły podwieszenia są zajęte, więc nie ma mowy o jakiejś odrzucanej rezerwie. Pozostaje zbiornik w kadłubie za siedzeniem pilota... – Sneath zbliżył fotografię do oczu, analizując grubość kadłuba.

–O jakiej pojemności? – spytał Mc'Cooley.

–Jakieś sześćset pięćdziesiąt, osiemset litrów, nie więcej.

–Dużo nam to daje... – powiedział Snyder.

Sneath odłożył zdjęcie.

–Sądzę, że jego zasięg nie przekracza siedmiuset, dziewięciuset kilometrów. Trzeba założyć, że samolot nie działa na granicy zasięgu. Powinien mieć także dużą rezerwę na wypadek przeciwnego wiatru, złych warunków. Poza tym jest zbyt cenny, żeby go narażać na błądzenie, o co nietrudno przy braku radionawigacji.

–Konkretnie ile?

–Teoretycznie do czterystu kilometrów. Ale założę się, że znajdziemy lotnisko w promieniu jakichś dwustu, stu pięćdziesięciu kilometrów. A nawet mniej. W końcu przed kim mieliby się kryć?

–No cóż – Mc'Cooley złożył leżące przed nim notatki. – W takim razie zwrócę się do bazy o natychmiastowe wszczęcie poszukiwań. To chyba wszystko...

–Dobrze byłoby zmontować jakąś grupę pościgową – wtrącił Snyder.

–Myślisz o lotnictwie?

–Tak. W końcu wydobyliśmy z magazynu kilkanaście samolotów. Nie trzeba wszystkich rozbrajać.

Mc'Cooley potarł brodę.

–Dobrze, przekażę to również. Później omówimy sposoby łączności.

Fletcher z ulgą wyszedł przed barak. Po chwili dołączył do niego Tłuścioch.

–I co o tym myślisz?

–Wszyscy są jakby zbyt optymistyczni. Jak zareagowali, kiedy opowiedziałeś o zniknięciu faceta w zamkniętym pomieszczeniu...? I tej książki?

–Puścili to mimo uszu.

Fletcher zapalił papierosa. Od strony osady wracało dwóch ludzi wysłanych na rekonesans.

–Ale widziałem kobietę – zawołał jeden z nich. – Z takimi – zrobił charakterystyczny kolisty ruch na wysokości klatki piersiowej.

–Nie przesadzaj – mruknął Fletcher. – Gdyby miała aż takie, nie podniosłaby się z ziemi.

*** * ***

–Ciszej! Ciszej, do jasnej cholery! – Snyder wyskoczył z szoferki, dając rozpaczliwe znaki.

Zjeżdżający z góry jeep zahamował gwałtownie.

–Wyłącz silnik, idioto! Kilkaset metrów stąd są strażnicy.

Chłopak za kierownicą zgasił silnik, robiąc jednocześnie desperackie wysiłki, żeby powstrzymać osuwający się po pokrytym błotem zboczach samochód. Stojący z boku Mc'Cooley skrzywił się na widok masakrowanej zderzakiem karłowatej sosny.

–Teraz na pewno nas usłyszą – szepnął.

Fletcher potwierdził ruchem głowy.

–Ilu mają ludzi na tym lotnisku? – chwycił Snydera za rękaw.

–Nie wiem dokładnie. Reiss siedzi tam od godziny i twierdzi, że kilkunastu, Sneath, że kilkadziesiąt... Zresztą co można zobaczyć przez te cholerne lornetki...

–Kilkadziesiąt – Mc'Cooley spojrział na swoich ludzi zaczajonych z karabinami wzdłuż burt samochodów.

Fletcher popatrzył na nich również.

–No i jak ci się podobają moi chłopcy? – spytał go Mc'Cooley.

–Są dobrzy. Będą tu kręcić film?

–Jaki film?

–No... parodię czy komedię.

–Oni zajmą lotnisko.

–W takim razie szkoda, że nie wprowadziłeś do szkolenia nauki modlitw.

–Co?

–Modlitwy są najbardziej niezawodne w zapewnieniu sobie cudu.

Snyder i Tłuścioch zachichotali cicho, co wprawiło Mc'Cooleya w jeszcze większą złość.

–Zobaczmy za godzinę – warknął i ruszył w stronę zablokowanego na drzewie jeepa.

–Powinniśmy to wziąć we własne ręce – mruknął Snyder.

–Jesteś komandosem?

–Coś ty! Do kosmonautów przyszedłem z lotnictwa.

–No właśnie, ja również, a Tłuścioch z marynarki...

–Chyba nie chcesz, żeby Mc'Cooley powystrzelał nas wszystkich. Większość jego ludzi jest z zaopatrzenia.

–No tak – Richards wdeptał w ziemię niedopalek. – Jeszcze się nic nie zaczęło, a już mam ochotę wracać.

–I po co w ogóle szukamy tego lotniska?

Snyder zdjął cienkie skórzane rękawiczki i zaczął rozcierać zgrabiałe dłonie.

–Jeśli strażnicy są fachowcami, może być nieprzyjemnie.

–Widziałeś tamto miejsce? – spytał Fletcher.

Snyder skinął głową. Podniósł jakiś patyk i kucnął na kawałku suchszego terenu.

–Tu jest pas startowy – narysował krzywy prostokąt. – Tu baraki i hangar. A tu wał ziemny i krzaki, w których szczeka zębami Reiss.

–Wysoki?

–Co?

–Czy wał jest łagodny?

–Tak. Krzaki również są przejezdne, jeśli ci o to chodzi.

Fletcher pochylił się nad rysunkiem.

–Powinniśmy zaatakować jadąc samochodami. Wykorzystamy zaskoczenie.

Snyder spojrzął na rozklekotane samochody terenowe.

–Usłyszają nas, zanim ich zobaczymy...

–Niekoniecznie. Trzeba podprowadzić maszyny pod wał.

–Jak?

–Przepchniemy je ręcznie.

–Przez to błoto?

–Jeśli nie starczy ludzi, będziemy pchać kolejno.

–Coś w tym jest – Tłuścioch przetarł zaczerwienione oczy. – Ale sądzisz, że uda się zapalić wszystkie naraz i ruszyć?

–W takim razie zaczynamy jak najszybciej. Dopóki silniki są jeszcze względnie ciepłe.

Snyder zsunął czapkę na oczy. Pochylił głowę i zastygł w bezruchu.

–Dobra – powiedział nagle. – Weźcie broń, a ja przekonam Mc’Cooleya.

Kiedy odszedł, Tłuścioch westchnął ciężko.

–No i masz, wrobiłeś nas w strzelaninę.

–Bez przesady. Wzięliby nas tak czy tak.

Zaczęli iść wzdłuż kolumny samochodów. Siedzący pod brezentową plandeką ciężarówki Navarra uśmiechnął się na ich widok.

–Weźmiecie coś ciężkiego? – spytał szybko.

–Nie licz na to. Nie zrobisz z nas pułku artylerii.

Navarra wyjął ze skrzyni dwa karabinki.

–W takim razie zostają dla was tylko angielskie L64 kalibru 4,85 mm.

–Co to za starocie?

–Wcale nie są takie złe. Mają małą masę, umiarkowany odrzut i dobry układ optyczny.

–Jakieś dziwne – Tłuścioch podrzucił broń w rękę.

–Zbudowano je w systemie bull-pup, bez kolby właściwej. Nie jesteście przypadkiem mańkutami?

–Czemu?

–Magazynek umieszczono za chwytem i komora naboju jest tuż przy twarzy strzelca. Łuski wyrzucane są na prawo i leworęczni mogą dostać nimi po nosie.

Fletcher przytroczył do pasa futerał z magazynkami.

–Strzela tylko trzynabojowymi seriami czy można regulować?

–Możesz robić, co chcesz. Życzę przyjemnej zabawy.

–Żeby cię powykręcało!

–Szybciej – dobiegł ich stłumiony głos Mc’Cooleya. – Który wymyślił całe to pchanie?

Podeszli do najbliższego jeepa.

–Luz? Hamulec?

Kierowca skinął głową i zeskoczył na ziemię.

–Gasić papierosy, koniec rozmów.

Kilku ludzi napařło z całej siły i ciężka bryła metalu ruszyła do przodu.

–Wolniej. Zaraz uderzymy w poprzedni.

Fletcher zranił rękę o wystający zawór kanistra. Klął teraz bezgłośnie, starając się zmienić miejsce przy burcie. Ktoś pośliznął się i uderzył głową w błotnik.

–Co jest, do cholery? – Snyder odepchnął kierowcę. Wóz skręcił teraz w bok, na wąskie pasmo suchszego terenu. – Szybciej, już świta.

Trafili na łagodne zbocze i samochód potoczył się szybciej. Nie byli nawet zmęczeni, kiedy dotarli do osłoniętego krzakami ziemnego wału. Fletcher opadł na ziemię tuż obok owiniętego w maskujący koc Reissa. Nie czuł zimna i wprost marzył o papierosie. Drgnął, kiedy ktoś dotknął jego ręki.

–Atakujemy? – oddech Reissa był bardziej przyspieszony niż ludzi, którzy przed chwilą przyszli z obozu.

–Tak.

Maskujący koc upadł pod nogi.

–Hej, co to za zbroja?

–Field Jack – Reiss poprawił przeciwoślamiową kamizelkę. – Nie zamierzam dać się posiekać.

–Uwaga, chodźcie tutaj.

Wszyscy skupili się wokół Snydera.

–Na dany znak ruszamy wszyscy pełnym gazem. Uważać na dziury i nierówności, nie wpadać na siebie. Mc’Cooley zajmie hangar, reszta jedzie ze mną w stronę baraków. Nie wrywać się do przodu i nie zostawać w tyle. I do wszystkich diabłów – Snyder powiódł wzrokiem po otaczających go twarzach – nie strzelać, dopóki oni nie zaczną. Nie jesteśmy fachowcami i nie chciałbym mieć zbyt wielu strat. Są jakieś pytania?

Odpowiedziała mu cisza, przerywana ciężkimi oddechami.

–Wszyscy do samochodów.

Ludzie niechętnie zajmowali miejsca. Czyjś karabin uderzył o maskę.

–Uwaga... – Snyder podniósł rękę. – Już!

Wbrew oczekiwaniom wszystkie osiem silników zagrało równo.

–Do przodu!

Ruszyli ostro, wgniatając w ziemię pnącza krzaków. Fletcher zarepetował karabin. Jeden z jeepów zabuksował w błocie, ale zaraz wyprysnął do przodu, rozrywając i tak już nierówną tyralierę. Mimo wycia przeciążonych silników odcinające się ostro od jaśniejącego na wschodzie nieba budynki pozostawały ciemne.

–Odbij w lewo – powiedział Richards do zmieniającego biegi kierowcy.

Ten szarpnął tak ostro, że przez chwilę samochód jechał tylko na dwóch kołach. Jakiś człowiek w maszynie Mc’Cooleya uniósł się na kolana. Usłyszeli łoskot karabinowej serii.

–No tak, już się zaczyna...

Wokół baraków pojawiły się czarne sylwetki. Reiss podniósł karabin, ale wyboje uniemożliwiały celowanie.

–Zostaw... – Fletcher odwrócił głowę w momencie, kiedy dwa najbliższe samochody zderzyły się z potwornym hukiem. Ich własny kierowca skręcił gwałtownie, wymijając toczące się koło, ale za to z przodu pojawiła się czarna ściana.

–Hamuj!

Zablokowane nagle koła sunęły gładko po śliskiej mazi.

–Skaczcie!

Fletcher odbił się i cudem tylko przesadził podwyższoną burtę, lądując twardo na plecach. Nie zdążył wstać, kiedy stalowa szyna na zderzaku jeepa uderzyła w ścianę baraku, przebiła ją i cały samochód wtoczył się do środka. Chyląc głowę przed odłamkami desek, zauważył jeszcze wbiegającego za nim Tłuściocha. Ktoś z boku wypróżniał magazynkę za magazynkiem. Fletcher wstał, sprawdzając własną broń.

–Tam są! – Reiss wyrwał zębami zawleczkę i rzucił granat.

Fletcher upadł znowu. Bliska eksplozja zasypała go mokrą ziemią.

–Zostaw to, durniu! – krzyknął, wypluwając piasek i drobne kamyczki.

Dzwoniło mu w uszach.

–Właż do środka.

Sam skoczył w ogromną wyrwę w ścianie, ale potknął się o leżącego tam kierowcę i, łapiąc równowagę, wyrzwał łokciem o drewniany filar. Zignorował dochodzące z dołu przekleństwa i wycelował w migającą na tle wążutkich okien sylwetkę.

–Nie strzelaj! – Tłuścioch przestał biec i odruchowo uniośł do góry ręce. – Tu nikogo nie ma.

Fletcher opuścił lufę. Razem z Richardsem wypadli na zewnątrz. Reiss z kierowcą strzelali prawie na oślep do poruszających się postaci. Dalej i bardziej na prawo ludzie Mc'Cooleya leżeli na pasie startowym, odstrzeliwując się niemrawo kilku ludziom z dachu hangaru. Grupa Snydera podchodziła do płaskiego budynku od tyłu, ale silny ogień, najprawdopodobniej z własnych pozycji wokół przewróconego samochodu, zmuszał ją do ciągłych odskoków.

–Czy ktoś jeszcze panuje nad sytuacją? – Tłuścioch nagle upadł na ziemię tuż obok Reissa. Jakiś pocisk rozłupał deskę nad jego głową.

–Spróbujemy podejść z boku – Fletcher rozcierał pulsujące bólem ramię. – Szybciej, zanim nasi nie powystrzelają się wzajemnie.

Pobiegli w stronę hangaru, ale już przy drugim baraku zatrzymały ich strzały z okna na drugim piętrze.

–Masz granaty? – Fletcher wciśnięty w małą wnękę za obramowaniem studni w ogóle nie widział okna. Usłyszeli kilka głośnych eksplozji. Gęsty, czarny dym z płonącego jeepa szczypał w oczy i pozbawiał możliwości zaczerpnięcia głębszego oddechu.

–Masz granaty?

Tłuścioch gramolił się niezdarnie zza połamanego ogrodzenia. Nagle wiatr zmienił kierunek. Ciężki dym omiół barak. Fletcher, wykorzystując sytuację, skoczył w przód i po kilkunastu krokach dopadł chropowatej ściany. Dwie następne eksplozje targnęły powietrzem. Z wnętrza budynku dobiegły czyjeś krzyki. Fletcher skoczył do drzwi i wywalił je jednym kopnięciem. Posłał do środka serię, potem rzucił się w bok, przypadając pod oknem. Ze środka nikt nie odpowiadał, natomiast rykoszetując na metalowej osłonie jakiegoś warsztatu kule ludzi Mc'Cooleya padały niepokojąco blisko.

–Przerwać ogień! Przerwać ogień!

Zupełnie zdezorientowany Fletcher przywarł do ziemi, z góry jednak posypały się płonące przedmioty. Chciał się wycofać, ale kolejna, tym razem bliska, eksplozja ogłuszyła go, powodując ból i szum w głowie. Zerwał się w panice i osłaniając głowę, ruszył przed siebie. Uderzył w ścianę bolącym łokciem. Jęcząc osunął się z powrotem na ziemię.

–Przerwać ogień! – krzyczał Snyder. – Przestańcie wreszcie strzelać!

Dopiero po dłuższej chwili Fletcher oprzytomniał na tyle, żeby wstać i podnieść karabin. Szybko zmienił magazynek. Ciągły huk zamierał właśnie, kiedy z rozbitych drzwi wybiegło kilka osób. Po długich płaszczach poznał strażników, ale ci nie mieli broni i nie wyglądali zbyt bojowo.

–Pilnuj ich, Tłuścioch – krzyknął i ruszył w stronę grupki ludzi zebranych wokół Snydera.

–Co się dzieje?

Tamten machnął ręką.

–Stąd strzelało tylko kilka osób. Prawie cały czas sami trzymaliśmy się w szachu.

Ktoś zaklął.

–Są jacyś zabici?

–Nie wiem, chyba nie. Za to kilku naszych jest nieźle potłuczonych. Widziałeś zderzenie tych samochodów?

Fletcher skinął głową. Skądś, jakby spod ziemi, dochodził zduszony warkot.

–Połowa ludzi jest w szoku, połowa pokieroszowana od ciągłego padania na ziemię, a ten idiota zaczyna strzelać z granatnika.

Snyder odwrócił się plecami do Mc’Cooleya.

–Co nie idzie? Co nie idzie? – krzyknął do klócających się pod szerokimi wrotami ludzi. – Zróbcie coś z tym hangarem.

Podtrzymywany przez Mc’Cooleya Sneath chwiał się na nogach. Nagle wyciągnął rękę przed siebie.

–Leci ci krew z ucha – powiedział.

Fletcher dotknął ręką skroni. Ucho na szczęście było całe. Krew ciekła z drobnego rozcięcia pod włosami.

–Co tak warczy? – Mc’Cooley podniósł głowę. – Nasze samoloty? Miały się gdzieś tu kręcić.

Ludzie pod hangarem skończyli mocować linę łączącą drzwi z dwoma jeepami.

–Tylko te dwa są na chodzie – Snyder popatrzył na otaczających go ludzi. – Komandosi, psiakrew.

Reiss, wśród niepewnych jeszcze śmiechów i gwizdów, zajął miejsce za kierownicą.

–Pociągniemy ten barak do bazy – krzyknął.

Ktoś z zakrwawioną chustką przy nosie uciekał z drogi. Oba samochody ruszyły, dość lekko wywracając szerokie wrota. Ryk z wnętrza hangaru ogłuszył stojących najbliżej. Prawie od razu na dużej szybkości wytoczył się na zewnątrz samolot z czarną kabiną. Przemknął tuż obok zaskoczonego Reissa i podkołował na runway. Kilku ludzi złożyło się do strzału, ale w tłoku przeszkadzali sobie wzajemnie. Niewidoczny pilot ostro dodał gazu. Dłuższą chwilę wytrzymał na ściągniętych hamulcach, potem zwolnił je i zaczął przyspieszać.

–Kryć się! Zrobi z nas jatki – kilka osób pobiegło w stronę lasu.

Snyder doskoczył do samochodu Reissa. Prawie zdemolował maskownicę radiostacji przyciskając klawisze.

Fletcher wyjął z kieszeni fatalnie pomiętą paczkę. Nie spiesząc się zapalił papierosa.

–Są? – spytał.

Snyder z ulgą odrzucił mikrofon.

–Zaraz będą – powiedział.

Sneath błędnym wzrokiem popatrzył na startujący myśliwiec. Samolot oderwał się od pasa i ostro szedł w górę.

–Ciekawe, ile ma paliwa. Chyba nie trzymają go zatankowanego...

–To już bez znaczenia.

Fletcher wydmuchnął dym i żarzącym się końcem papierosa wskazał dwie małe plamki ledwie widoczne nad horyzontem. Odrzutowce wyskoczyły w górę, idąc prawie pionowo, tak że smugi spalin utworzyły dwa monstrualne słupy. Pilot myśliwca również musiał coś zauważyć, bo nad pasmem pobliskich wzgórz wszedł w ciasny zakręt i zawrócił nad lotnisko.

–Ucieknie im – krzyknął ktoś z tyłu.

Ciemny samolot zszedł do lotu koszącego tak nisko, jakby chciał się skryć w nierównościach terenu. Wyposażone w wojskowe radary odrzutowce, jeden przy drugim, zanurkowały sprawnie, bez trudu wychodząc na ogon myśliwca. Ten otworzył kłapy i hamulce aerodynamiczne.

–Spryciarz – Snyder osłonił uszy od huków. – Liczy na to, że nasi nie mogą lecieć tak wolno.

–Ma pecha – Mc’Cooley splunął pod nogi. – Na kosmonautów wybiera się najlepszych pilotów.

Odrzutowce nagle zadarły nosy i ostrą świecą poszły w górę. Gdzieś na wysokości tysiąca pięciuset metrów, ciągle skrzydło w skrzydło, zrobiły wywrót przez plecy i poszły w dół, tym razem na pełnych klapach i z wysuniętym podwoziem. Myśliwiec wykonał pół pętli, a potem pół beczki, powracając do normalnej pozycji.

–Zwrot bojowy! – krzyknął Snyder. – Ten idiota chce atakować.

Jakby na potwierdzenie tych słów rozległ się charakterystyczny odgłos uruchamianych karabinów maszynowych. Odrzutowce odskoczyły od siebie. Potem przez ułamek sekundy rozległ się grzmot sześciolufowego działka. Przez tak krótki czas zdążyło wypluć najwyżej dwieście czterdziestomilimetrowych pocisków. Większość uderzyła o ziemię. Tylko kilka przeszło przedtem przez kadłub myśliwca. Wystarczyło to jednak, żeby ich penetrujące trzpienie z uranu zamieniły go w płonący wrak.

–Patrzcie! – Sneath osłonił dłońią oczy. – Pilot.

Od opadającego kłębu płomieni i dymu odłączyła się jakaś sylwetka. Chwilę potem wykwitła nad nią czasza spadochronu.

–To cud, że wyskoczył – szepnął Mc’Cooley.

–Widocznie zastosował się do mojej metody – mruknął Fletcher.

–Jakiej metody?

–Był szkolony w modlitwach.

Fletcher odrzucił niedopalonego papierosa.

* * *

–Dziwne, dziwne i dziwne... – Snyder uderzył pięścią w stół. – Sądzę, że gdyby wykreślono ten wyraz ze słownika, życie byłoby piękniejsze. Do cholery, łapię się na tym, że pijąc rano kawę myślę, czy przypadkiem nie zachowuję się dziwnie...

–Nie powiesz mi chyba, że to jest normalne – Reiss usiadł na kilku materacach ułożonych pod ścianą namiotu.

–Chcę tylko, żebyście przestali wreszcie powtarzać, że wszystko jest dziwne.

Reiss spojrzął na Fletchera.

–Wytłumacz temu nerwusowi, przecież byłeś tam dłużej.

–Ale co jest właściwie grane?

Sneath zalał rękę.

–Wszystkie ulice są puste. Staliśmy na wzgórzu ponad dwie godziny i nie zauważyliśmy ani jednego człowieka.

–Może patrzyliście w złą stronę.

Reiss zacisnął pięści.

–Ty się kiedyś doczekasz.

–Zaraz – Snyder wpadł mu w słowo. – I tylko dlatego, że paru ludzi pije w swoich domach, do czego zresztą mają niezaprzeczone prawo, chcesz otoczyć obóz okopami?

–Oni coś szykują!... Jakimi okopami? – Sneath zorientował się dopiero teraz. – Chcę, żebyśmy byli przygotowani.

–Na inwazję?

–Na wszystko.

Przerwało im wejście Mc'Cooleya.

–Słuchajcie – zawołał otrzepując śnieg z ramion. – Czy pilot pojechał już do bazy?

–Tak, odesłaliśmy go jeszcze wczoraj wieczorem.

–Szkoda, chciałem z nim porozmawiać.

–Herbaty? – Fletcher rozlał parujący płyn do nadstawianych plastikowych kubków.

Mc'Cooley skinął głową.

–Właśnie wracamy z lotniska – powiedział, grzejąc ręce nad parą. – Badaliśmy wrak samolotu.

–Znalazłeś głowice jądrowe?

–Co? Nie... Niepokoi mnie jedna rzecz.

–Tylko nie mów, że jest dziwna – Reiss zerknął na Snydera.

Ten jednak nawet nie podniósł oczu. Za to Mc'Cooley przerzucił wzrok z jednej twarzy na drugą.

–Zbadaliśmy to, co zostało, bardzo dokładnie.

–I...?

–Na żadnej z ocalałych części płatowca nie ma numeru fabrycznego ani w ogóle żadnego znaku.

Milczący dotąd Tłuscioch przesunął swoje krzesło.

–A dlaczego miałby być? – spytał.

–Jeżeli sprzęt pochodzi z magazynu takiego jak nasz, a więc był w produkcji seryjnej, to musi mieć komplet oznaczeń. Stosowały go wszystkie przemysły.

–W naszych czasach – dodał Sneath.

–Nie przesadzajmy, samolot nie jest żadną rewelacją techniczną.

–Skąd wiesz, co działo się po naszym odlocie?

Mc'Cooley machnął ręką.

–Przywiozłem kilka części do zbadania. Trzeba je odesłać do bazy.

Fletcher pociągnął zbyt duży łyk herbaty i sparzył sobie przelyk.

–A co do naszej gotowości – Snyder powrócił do poprzedniego tematu. – Jak sądzicie, czy

rzeczywiście powinniśmy się jakoś przygotować?

–Na co? – powiedział niechętnie Tłuścioch.

–A jeśli tak, to w jaki sposób? – dodał Fletcher.

Snyder potrząsnął głową.

–Na atak – wycelował palec w Tłuściocha. – To się ustali później – przeniósł go na

Fletchera.

–Zróbmy głosowanie – mruknął Sneath.

–Dobrze...

Nie zdążył nic dodać, kiedy ktoś walnął w płachtę namiotu.

–Novarra wzywa was do wozu radiowego!

–Nie może sam przyjść? – powiedział Richards.

Na zewnątrz było już jednak cicho.

–Idziemy?

Fletcher wstał powoli, niechętnie wyglądając przez szparę w zasłonie. Skuty mrozem krajobraz nie był szczególnie pociągający. Szli szybko, starając się nie rozlać zawartości kubków. Ogromna trzyosiowa ciężarówka, mimo specjalnie rozszerzonej nadbudówki, z trudem pomieściła ich wszystkich. Novarra z pewnym niepokojem obserwował stawiane niedbale na aparaturze parujące naczynia.

–Otrzymałem dziwną wiadomość – zaczął bez wstępów.

Snyder jęknął.

–Zdaje się, że zniknęli dwaj ludzie Redfielda. Ci wysłani do osady.

–Co?

–Chyba zniknęli...

–Co to znaczy „chyba”? Są czy ich nie ma?

Novarra wzruszył ramionami. Podniósł ze stołu jakąś kartkę.

–Wczoraj, kiedy byliśmy zajęci akcją, nadali meldunek, że odkryli zamaskowane tajne przejście w jednej z sal głównej budowli ich osady. Zamierzali sprawdzić, dokąd prowadzi.

Sneath poruszył się niespokojnie.

–Kto tam był?

–Thomas i Dinky.

–Jednego chyba znam, ale ten drugi...

–Mniejsza z tym. Około północy przyszedł następny meldunek. Tym razem zakodowany.

Novarra zbliżył kartkę do oczu.

–„Thomas zniknął. Wyszedłem sam. Dinky.”

–To wszystko?

–Nie. Baza usiłowała nawiązać ponowny kontakt. Niestety, bez skutku. Wysłano ekipę ratunkową.

Fletcher zapalił papierosa.

–Jak to zniknął? Dinky nie podał nic więcej?

–Nie. Dopiero nad ranem złapano ostatni meldunek. Również zakodowany, i to w takim pośpiechu, że nie wszystko zdołano rozszyfrować.

–I co było tym razem?

Novarra znowu spojrzął na kartkę.

–„Przejdźcie niemożliwe... jakieś plany, nie mogłem zrozumieć... ewakuacja... Nie wiem, co z Dinkym. Thomas.”

–Cholera – Sneath kilkoma haustami wypił swoją herbatę. – Co tam się dzieje?

–Na pewno nic dziwnego – Reiss znowu zerknął znacząco na Snydera.

–Spokojnie – powiedział Fletcher. – Dlaczego zawiadomiono nas dopiero teraz?

–Nie wiem.

Novarra przysiadł na skraju stołu.

–Są straszne zakłócenia – dodał.

–Dlaczego nadawał raz jeden, raz drugi, niezależnie od siebie? Może ci w bazie przekręcili tekst?

–Nie sądzę, żeby byli aż tak pijani.

–Przestańcie żartować – włączył się Snyder. – Odpowiadam za ten obóz i całe zajście obchodzi mnie tylko tyle, o ile dotyczy naszych spraw. Czy sądzicie, że powinniśmy ufortyfikować to miejsce?

–Myślisz, że mnisi uderzą?

–To ja pytam.

–Chyba... chyba tak – Novarra rozejrzał się wokół.

Pozostali oprócz Fletchera i Reissa potwierdzili ruchami głów.

–W takim razie do roboty. Podzielcie ludzi na sekcje. Sneath, zrobisz jakiś plan i będziesz... i postarasz się koordynować pracę.

Fletcher, prawie rozbawiony, zdusił papierosa w popielniczce.

–Daj znać, jak przyjdzie coś nowego – powiedział do Novarry i zapinając kurtkę wyszedł na zewnątrz.

Przez blisko godzinę przyglądał się ludziom ustawiającym zasieki, kopiącym stanowiska dla ciężkich karabinów maszynowych i automatycznych granatników. W centrum ustawionych w półkole samochodów zamontowano rusztowanie z ruchomymi reflektorami, zespołami rac i flar. Wokół przeciągano alarmowy kabel, a z tyłu od strony lasu mocowano metalową siatkę pod prądem. Tu z boku, gdzie stał, wszystko wyglądało dość zabawnie.

–Nie wyglądasz na przerażonego.

Fletcher odwrócił się gwałtownie. Nie zauważył, kiedy podszedł Tłuścioch.

–A powinienem?

–Wszyscy zachowują się tak, jakby byli co najmniej przestraszeni.

–Może cierpią na manię prześladowczą.

Richards patrzył w kierunku niknących w rzadkiej mgle wierzchołków najwyższych budowli.

–Wrócili ludzie, którzy odwieźli pilota do bazy.

–Przywieźli coś ciekawego?

Tłuścioch potarł brodę.

–Pamiętasz ten huk, który zbudził nas wtedy nad rzeką? Podróżowaliśmy w towarzystwie staruszka...

–Pamiętam...

–Oni słyszeli go również.

Fletcher otarł zeschnięte błoto z buta.

–Wiedzą, skąd pochodzi?

–Nie.

Gdzieś z boku podniosły się krzyki. Jakieś skrzynie wylądowały w śniegu, kilku ludzi usiłowało przepchnąć je dalej. Fletcher podniósł głowę.

–Coś się zaczyna – powiedział cicho.

–Nawet nie wiecie, jak bardzo macie rację!

Drzwi wozu łączności były otwarte. Stojący w nich Novarra ciągle jeszcze trzymał w ręku słuchawki.

–Co się stało?

–Wyprawa ratunkowa...

–Znaleźli Dinky’ego i Thomasa?

Novarra uśmiechnął się i zeskoczył na ziemię.

–Nadali komunikat, że dotarli do osady oraz że połączą się znowu za godzinę.

–I co w tym dziwnego?

Novarra zerknął na zegarek.

–Minęły już trzy godziny.

–Baza próbuje nawiązać z nimi kontakt?

–Cały czas. Dlatego właśnie otrzymujemy wiadomości z takim opóźnieniem.

Richards usiadł na stopniu ciężarówki.

–Co teraz będzie?

–Wyślą następnych ludzi.

–Chcą zmniejszyć nasz stan osobowy? Czyżby nie mieli już z czego płacić pensji?

Od strony głównego namiotu podszedł do nich Mc’Cooley.

–Słyszales... – zaczął Novarra, ale umilkł powstrzymany szybkim gestem ręki.

–Fletcher, pojedziesz do bazy.

–Po co?

–Trzeba zawieźć części samolotu do zbadania.

–Ale dlaczego ja?

–Ci, którzy wrócili, są potwornie zmęczeni. Poza tym Landau chce cię zobaczyć.

–Skąd wiesz? Blefujesz.

–Oni mi przekazali. Zresztą przekonasz się na miejscu.

Fletcher pokiwał głową z rezygnacją.

–Dobra. Przygotujcie mi samochód.

–Sam przygotuj i weź zapasowe paliwo.

Cichy szum opon na zaśnieżonej autostradzie i monotony łopot brezentowej plandeki powodował coraz większą senność, której nie zdołała rozproszyc szybka muzyka z magnetofonu. Fletcher zwiększył głośność. Złapał się na tym, że zamiast trzymać się środka, odruchowo zjeżdża na prawą stronę pasa, a przy każdym manewrze włącza kierunkowskazy. Uśmiechnął się do siebie. Kilka godzin temu, żeby przelać benzynę z kanistrów do baka, zjechał z drogi na szeroki podjazd i zaparkował wprost przed ledwie wystającymi ze śniegu, pordzewiałymi resztkami stacji benzynowej.

Spojrzał na niknące w chmurach szczyty gór. Sądząc z mapy, baza powinna być gdzieś tutaj. Wyhamował łagodnie i na małej prędkości podjechał do jaskrawo pomalowanego słupa na

poboczu. Przez wyłom w nasypie ograniczającym lekki zakręt wjechał na boczną drogę, wykonaną z segmentowej siatki, używanej kiedyś do budowy tymczasowych lądowisk dla śmigłowców. Nacisnął hamulec z całej siły, kiedy z pobliskich krzaków wyskoczyło dwóch ludzi wymachując karabinami.

–Skąd jesteś?

–Przyjechałem z obozu. Od Snydera.

–Na pewno?

–O co wam chodzi?

–Zostaw go – powiedział milczący dotąd niski człowiek w grubym swetrze. – To facet z Vegi. Gdzieś już go widziałem.

–Jak się tu dostałeś? – spytał pierwszy.

–Rzeczywiście, trudno was znaleźć.

–Ja nie o tym. Jaką miałeś drogę?

–Nudną.

–Tylko? – mężczyźni wymienili spojrzenia. – W takim razie masz szczęście. Ruszaj.

Fletcher wrzucił pierwszy bieg. Jeep, buksując trochę na śliskiej siatce, przeskoczył niewielkie wzgórze. Dopiero teraz ukazała się leżąca w rozległej dolinie baza. Kilkadziesiąt niskich, ale bardzo długich, kontenerowych baraków otoczono wysokim nasypem, zabezpieczonym dodatkowo podwójnym płotem z kolczastego drutu. Wszystko to razem z reflektorami na słupach sprawiało raczej przykre wrażenie.

Zatrzymał się przed groteskowo wyglądającym człowiekiem siedzącym na workach z piaskiem otaczających stanowisko cekaemu.

–Czy Landau zostawił dla mnie jakąś wiadomość? Mam się z nim spotkać.

Tamten wzruszył ramionami.

–Spróbuj w sektorze C. Może tam jest. Jeśli nie, to w sali konferencyjnej.

Fletcher od razu podjechał pod salę konferencyjną. Podszedł do szerokiego okna i zastukał w szybę. Landau istotnie był w środku. Kiwnął mu ręką i wytłumaczył gestami, że musi trochę poczekać.

Pogoda niezbyt sprzyjała przebywaniu pod gołym niebem. Fletcher odnalazł laboratorium, oddał przywiezione części samolotu, potem przeszedł kilka sal, ale nie spotkał nikogo ze znajomych. Zauważył, co prawda, kilku znanych przelotnie ludzi, ale wszyscy tutaj wyglądali na tak zabieganych, że nie chciał zaczynać rozmowy. Siedział właśnie nad zamówioną w barze lurowatą kawą, kiedy zjawił się Landau.

–Nie czekałeś długo? Chodź.

Fletcher dopił letni płyn. Przeszli do drugiego baraku, do zacisznego gabinetu. Mimo widocznej prowizorki, urządzony był dość starannie.

–Hej, skądś znam ten fotel.

–Mylisz się – Landau zajął miejsce za biurkiem. – On również pochodzi z magazynów.

–Chyba nie przechowują tam takich sprzętów?

–Wymontowaliśmy go z jakiegoś samolotu.

Landau wyjął z szuflady butelkę koniaku.

–To również stamtąd?

–Nie. Mój prywatny zapas.

Podnieśli kieliszki.

–Jak ci się podoba baza?

–Wszyscy są jacyś zdenerwowani. I ci ludzie na warcie...

Skądś z oddali dobiegł ich krótki ryk syreny.

–Cóż, baza wydaje się jakby otoczona.

–Co to znaczy „wydaje się”?

Landau zapalił papierosa.

–Mamy kłopoty z transportem – zmienił temat. – Cały ciężar komunikacji przejęły samoloty.

–Dlaczego?

Cienka strużka dymu wznosiła się leniwie do sufitu.

–Rzuty kołowe nie zawsze docierają na miejsce.

–Trudności dojazdowe?

–Gorzej. Znacznie gorzej. – Landau zaciągnął się głęboko. – Nie bardzo zdajemy sobie sprawę z tego, co się dzieje. Być może, to tylko kłopoty z łącznością.

–Zakłócenia?

–Na taką skalę? Może. Pogoda jest chwiejna, a w końcu używamy teraz starego sprzętu. Niemniej trudno jest opuścić bazę.

–Mnisi napadają na samochody?

–Nie wiem. Często trudno się z nimi skomunikować.

–Chyba wysłaliście grupy poszukiwawcze?

–Jak? Tu ciągle wszystko jest jeszcze w stadium organizacji. Nie ma odpowiedniego sprzętu, brakuje przeszkolonych na nim ludzi – Landau ponownie napelniał kieliszki. – Wiesz, ile czasu trzeba, żeby odkonserwować głupią ciężarówkę? A materiały pędne? To czysta rozpacz.

–Ale...

–Ciekawe, czy wiesz, ile czasu przeleżały te maszyny? Magazyny nie były obliczone na taki okres. Poza tym ówczesne zabezpieczenie... Nie mówiąc o naszych błędach. Zamiast brać najprostsze egzemplarze, Redfield kosztem lekkich transportowców kazał przygotować kilka samolotów bojowych. Na jaką cholere?

–W ten sposób zestrzeliliśmy obcy myśliwiec.

–Może. Ale ludzie pracujący przy jednym odrzutowcu w tym samym czasie zrobiliby jakieś dwadzieścia, trzydzieści frachtowców. A obsługa techniczna?

Landau machnął ręką. Kolejny kieliszek koniaku przywrócił mu spokój.

–Powiem ci coś jeszcze – strzepnął popiół i pedantycznie wyrównał żarzący się koniec o róg popielniczki. – Nie mamy łączności z krążącymi po orbicie statkami.

–Co?! Przecież oni mają dobrą aparaturę.

–No, nie przesadzajmy. Ale rzeczywiście, mówiąc delikatnie, trochę to dziwne.

–Są jakieś wytłumaczenia?

–Słyszałem już kilkanaście teorii. Wszystkie bardzo prawdopodobne, z tym, że się wzajemnie wykluczają.

–Przecież coś trzeba zrobić w tej sytuacji.

–Konkretnie co? Żaden z ładowników nie wystartuje ponownie. Gdyby na orbicie zaszło coś bardzo złego, ludzie sami ewakuowaliby się na Ziemię. Widocznie sytuacja na górze nie jest

jeszcze krytyczna.

–Jak to? Naprawdę nic nie robicie?

Landau oparł głowę na oparciu fotela.

–Próbujemy połączyć się z nimi przez satelity. Jeśli to zawiedzie, spróbujemy przeprowadzić dokowanie satelity na Centaurze.

–Sądziś, że to tylko zakłócenia łączności czy... coś więcej?

–Nie dajmy się zwariować.

Landau przesunął palcem po lśniącem świeżym lakierem blacie biurka.

–Prawdę powiedziawszy nie bardzo wiem, jaką przyjąć teraz taktykę...

–Chodzi ci o rozgrywki z Redfieldem? – spytał perfidnie Fletcher.

–O wszystko.

Trudno było wyprowadzić go z równowagi.

–Zalóżmy, że sytuacja zostanie opanowana. Że ten cały burdel to po prostu splot przypadków – Landau powoli rozmasował twarz. – Nie istnieje żaden oficjalny program postępowania. Obawiam się, że nikt nie ma pojęcia, co dalej robić z mnichami.

–Dlaczego o tym mówisz?

–Chcę tylko zaznaczyć, że nie jesteśmy zdolni do elastycznego działania. I nie wiem, jak zmienić system organizacyjny... w obecnych warunkach.

Fletcher podniósł swój kieliszek. Łagodne ciepło rozchodzące się po całym ciele nie przywróciło mu jednak jasności myśli.

–A jeśli to nie tylko splot przypadków?

–Wtedy system może zawieść. Zresztą... dość tego. Chcesz wiedzieć, co jest nowego?

–Tak.

Landau przycisnął jeden z klawiszy intercomu.

–McGraw?

–Nie ma go – usłyszeli czyjś głos. – Właśnie poszedł do pana.

–Coś ważnego?

–Jakiś komunikat.

Istotnie po chwili otworzyły się drzwi. McGraw rzucił na biurko plik kartek.

–Wiadomość od Snydera.

Fletcher nachylił się nad biurkiem.

–Co tam się dzieje?

–Zanotowano wzmożoną aktywność mnichów.

–Kiedy stamtąd odjeżdżałem, ulice były puste.

–Są nadal. Zauważono jakichś ludzi wokół obozu.

–Zachowują się wrogo? – spytał Landau.

McGraw rozłożył ręce.

–Nie wszystko zrozumiałem. Straszne zakłócenia.

–Można się z nimi połączyć?

–Tak. Chyba tak. Zaraz wszystko sprawdzę. Chciałem tylko szybko dostarczyć tekst.

Landau skinął głową.

–Coś jeszcze?

–Pytają, czy nawiązywać kontakt z kierownictwem tamtej osady.

–A wiedzą, jak się do tego zabrać?

–Przepraszam – wtrącił się Fletcher. – Czy ludzie gromadzą się wokół obozu, czy chodzi tylko o pojedynczych...

–Sądzisz, że Snyder histeryzuje?

–Przed moim odjazdem nastrój nie był najlepszy.

McGraw odnalazł odpowiednie miejsce w tekście.

–Widziano małe grupki. Głównie w nocy.

–Byli uzbrojeni?

–Mc'Cooley twierdzi, że tak, ale...

–Ale nic konkretnego nie zauważono?

–Właśnie.

Fletcher przejrzał kartki gęsto upstrzone znakami zastępującymi źle słyszalne wyrazy.

–Chyba nic groźnego – powiedział po chwili.

–Dobrze. Gdyby było jeszcze coś, połącz się ze mną.

McGraw potwierdził ruchem głowy. Kiedy wyszedł, Landau wstał i podszedł do okna.

–Jak tam na dworze? Zimno?

–Potworny mróz.

–Hm, nie będę cię dłużej zatrzymywał. Na pewno jesteś głodny.

–Zgłosić się jeszcze dzisiaj?

–Tak – Landau spojrzał na zegarek. – Nie musisz jednak jeść w pośpiechu. Przyjdź o szóstej do laboratorium Towersa. To na końcu korytarza.

Fletcher zatrzymał się na progu, kiedy na biurku rozległ się ostry brzęczyk.

–Landau, słucham?

–To jeszcze ja – rozpoznał głos McGrawa.

–Coś nowego?

–Tak. Właśnie urwała się łączność z satelitami.

Domknął drzwi.

Kiedy Fletcher odsuwał od siebie puste naczynia, wielki zegar na ścianie jadalni wskazywał piątą. Ogromna, niewykończona jeszcze sala była pusta i nic nie skłaniało go do pozostania na miejscu. Wstał i powoli ruszył w stronę części wypoczynkowej. Nie zdążył przebyć nawet połowy łączącego baraki korytarza, kiedy rozległ się dźwięk dzwonek alarmowych. Sprężył się odruchowo, ale zaraz przypomniał sobie, że nie jest na statku. Nie znalazł obowiązującej w bazie procedury i dłuższy czas zastanawiał się, co robić. W końcu wrócił do gabinetu Landaua, ale ten okazał się zamknięty. Zajrzał do centrali łączności. Wbrew oczekiwaniom siedział tam tylko jeden człowiek, chwilę temu pozostawiony w zastępstwie i tak samo jak Fletcher nieorientujący się w sytuacji. Skądś, z oddali dobiegł ryk startującego samolotu, ale, co było raczej zaskakujące, korytarze świeciły pustkami. Zza ściany dobiegł czyjś stłumiony głos. Fletcher delikatnie uchylił drzwi.

–...anomalie pogodowe w niespotykanej dotąd skali – szpakowaty mężczyzna za wysokim stołem zastępującym mównicę zawiesił głos. – W tej chwili – wskazał okno – jeszcze tego nie widać, ale myślę, że jeśli zmiany będą zachodziły w dotychczasowym tempie...

Wszystkie miejsca siedzące były zajęte, wszedł więc do środka i stanął w grupie osób pod ścianą.

–W przeciągu ostatniej godziny gwałtownie wzrosła temperatura powietrza – mówca sięgnął po jakąś kartkę. – Dokładnie z minus siedemnastu do minus trzech stopni...

Fletcher dopiero teraz zauważył, że z boku stoi McGraw. Dyskretnie przysunął się do niego.

–Co właściwie jest grane?

Tamten pochylił głowę.

–Jesteśmy odcięci.

–Odcięci? W jakim sensie?

–Nie jest już możliwa jakakolwiek łączność radiowa. Między innymi.

–Co jeszcze się stało?

McGraw przyłożył palec do ust, wskazując człowieka za mównicą. Ten jednak rozdzielał teraz zadania dla poszczególnych sekcji.

–Gdzie powinienem się zgłosić?

–Nie wiem.

–A co się stało z wyprawą posłaną po Thomasa i Dinky’ego?

–O rany, przecież jest zerwana łączność.

–Nie odezwali się przedtem?

–Nie. Posłaliśmy samolot, żeby zrobił zdjęcia.

–Wrócił?

–Tak. Ale na zdjęciach nie ma ani samochodów, ani nawet śladów opon.

Ktoś z boku syknął. Fletcher posłał mu złe spojrzenie. Ponieważ szpakowaty mężczyzna nie mówił już nic ciekawego, wycofał się z sali. Ruszył w kierunku laboratorium, ale nie musiał zaglądać do środka. Landau i Towers klócili się na korytarzu.

–Mówię po prostu, jak jest – ręka Towersa zatoczyła szeroki luk, prawie muskając twarz Fletchera. – Przecież nie zrobię operacji w tych warunkach!

–Jakiej operacji?! Nie potrafi pan nawet przesłuchać pilota.

–Jestem lekarzem.

–Właśnie, a on wymaga badania.

–Co mogę zrobić, kiedy ktoś ciągle powtarza to samo? Mam go zacząć bić? A może torturować?

–Wystarczy, żeby zrobił pan, co do niego należy.

–Zrobiłem. Zrobiłem nawet więcej. Ten człowiek rzeczywiście mówi prawdę.

Landau otarł zbierający się nad brwiami pot.

–I ja mam w to wierzyć?

Towers zamknął oczy. Kiedy je otworzył, wyglądał dużo spokojniej.

–Podsumujmy fakty – powiedział ugodowo. – Zadałem mu wszystkie pytania z pańskiej listy. Na część z nich, dość blahych, pilot odpowiada. Usłyszałem więc historię bitwy z grupą Snydera, szczegóły zestrzelenia i tak dalej. Wszystkie urządzenia wskazują, że mówi prawdę...

–Ale na resztę pytań odpowiedzieć nie chce.

–Nie zrozumiał mnie pan. On odpowiada na każde pytanie.

–Tylko pan tej odpowiedzi nie słyszy, tak?

–W pewnym sensie. Ten człowiek otwiera usta, zamyka i na nasze ponagrania twierdzi, że

wszystko już powiedział. W dodatku z odczytów urządzeń wynika, że ma rację.

–Ktoś tu zwariował – Landau wsunął ręce do kieszeni. – On albo ja.

–Robiłem różne próby. Dawalem mu stoper każąc go włączyć, kiedy zacznie mówić, i wyłączyć, gdy skończy.

–I co?

–Nie chciał wierzyć, że upłynęła niecała sekunda. Sądzi, że zegar jest fałszywy. Ale to nie koniec. Kazalem mu napisać zeznania. Był szczerze zdziwiony, widząc przed sobą pustą kartkę. Myśli, że błyskawicznie zabieram to, co napisał.

–I czego to dowodzi?

Towers potrząsnął głową.

–On rzeczywiście jest przekonany, że wszystko nam mówi. Potwierdzają to specjalne testy.

Landau potarł brodę.

–Widzi pan jakieś rozwiązanie?

–Realne?

–Jakiegokolwiek.

Towers westchnął cicho.

–Dobrze, powiedzmy, że dokonano na nim operacji blokującej w mózgu pewne informacje, żeby uniknąć dysfunkcji, zrobiono to tak, że pacjent czuje, że wszystko powiedział na zakazany temat już w chwili, kiedy tylko pomyślał, że chce coś powiedzieć.

–Pan w to wierzy? Zresztą mniejsza z tym. Czy mając do dyspozycji odpowiednich ludzi i dobre warunki, dokonalby pan czegoś takiego?

–Sądzę, że nie.

–No cóż, dziękuję. W takim razie to już wszystko.

Towers położył rękę na klamce.

–Zajrzę jeszcze do niego.

Landau skinął głową.

–I co o tym myślisz? – zwrócił się do Fletchera.

–Nie wszystko złapałem.

–Ktoś ingerował w jego psychikę? Kto? – Landau podszedł do okna, po którym spływał deszcz. – Co tu się stało, do cholery? Mieliśmy inwazję Marsjan?

–Czemu akurat Marsjan? Nikt inny nie przychodzi ci na myśl?

Drobne strumyki wody, zasilone topniejącym śniegiem, spływały spod ścian baraków. Ciężkie, kłębiaste chmury pędziły gdzieś na północ.

–Gwałtownie rośnie temperatura.

–Wiem.

Landau szarpnęła żaluzję.

–Chodźmy.

–Jest alarm. Nie powinienem gdzieś się zgłosić?

–Nie.

Wrócili do przestronnego gabinetu. Wykonana na podstawie zdjęć satelitarnych mapa była tym razem zwinięta i przez panoramiczną szybę było widać wnętrze sali zebrania. Grupa ludzi pośrodku gestykulowała gwałtownie.

–Jest dźwiękoszczelna? – Fletcher położył ręce na szkle. – Nieźle się urządziliście.

–...w tej sytuacji trudno mówić o burzy magnetycznej – głos należał do rozpartego w głębokim fotelu blondyna. – Nieprawdopodobna wręcz skala zjawisk przywodzi raczej na myśl...

Nowe muśnięcie dłoni sprawiło, że znowu zapadła cisza. Fletcher poruszył się niespokojnie.

–Może oni... Nie sądzisz, że powinniśmy posłuchać?

–Powiem ci coś ciekawszego.

Landau zajął miejsce za biurkiem.

–Nie wiem, kto wpadł na taki pomysł, ale zamontowaliśmy sejsmografy. Jakiś zapaleniec sprawdzał codziennie odczyty.

–Oczywiście nie było w nich nic szczególnego?

–Oczywiście.

–Do pewnego momentu.

–Do wczoraj. Wieczorem, czy raczej w nocy, urządzenia zarejestrowały serię wstrząsów.

–Silnych?

–Dla człowieka niewyczuwalnych. Ale... – Landau zawiesił głos. – One trwają cały czas.

–Jakieś wulkany?

–Za słabe.

–Więc co? Chyba jest jakieś wytłumaczenie.

–Jak zwykle, cała teczka. Zrozum, jeśli koniecznie chce się znaleźć rozwiązanie, to zawsze się je znajdzie. Kwestia w tym tylko, że jeśli jest ich zbyt dużo, zachodzi podejrzenie, że po prostu zmarnowano papier.

Fletcher przysiadł na poręczu wolnego fotela.

–Słuchaj, mówileś poważnie o tej inwazji? Jeżeli...

Przerwał mu ostry trzask otwieranych drzwi. McGraw z rozpędu prawie wpadł na biurko.

–Urwała się łączność kablowa z drugą bazą!

–Ktoś przeciął druty?

–Nie wiem. Według ostatniego meldunku... Wybuchła chyba panika.

–Wyślij patrol.

McGraw, z trudem chwyając oddech, rozpiął koszulę.

–Nie mogę. Kto opuści teren bazy, znika!

–Co?! – Landau uniósł się na rękach.

–Dyżurny nie panuje nad sytuacją. Najpierw znikła wysunięta warta, ta na dro...

–Jak to znikła?

–Nie wiem. Zmiana nie odnalazła już nikogo. Wysłałem dwa pięcioosobowe patrole. Wrócił jeden człowiek, który przypadkiem odłączył się od grupy.

–I co dalej? Zostawiłeś ich tak?

McGraw wytarł czoło chustką.

–Wysłałem opancerzony transporter. Mieli strzelać race co pięć minut.

–I co?

–Wystrzelili tylko dwie. Dalsze decyzje nie należą już do mnie. I tak przekroczyłem już swoje kompetencje.

–Dobra, połącz mnie z Redfieldem... Ach – Landau przypomniał sobie o zerwaniu ostatniej

linii. Chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu brzęczyk intercomu. Walnął w niego pięścią.

–Słucham?

–Mówi Towers. Mam wiadomość z zespołu profesora Kensa.

–Tak?

–W atmosferze wykryto śladowe ilości nieznanego gazu.

–Co to znaczy „nieznanego”?

Cisza w głośniku świadczyła o opanowaniu Towersa.

–Czy jest szkodliwy dla ludzi?

–Chyba nie. A na pewno nie w takiej ilości.

Landau bez słowa puścił przycisk.

–Ktoś się z nami ostro bawi.

–Widzę.

Fletcher obserwował, jak w pomieszczeniu za szybą ktoś rozkładał na stole karabiny, a ludzie brali je kolejno. Ciągły tupot nóg na korytarzu świadczył, że dawny spokój nie powróci prędko.

–Co to za huk? – Landau odwrócił się w stronę okna.

–Ląduje samolot wysłany na poszukiwanie grupy ratunkowej.

–Więc istnieje jeszcze ta możliwość... Niech uzupełnią mu paliwo. Nie obchodzi mnie, że pilot jest zmęczony.

–Trzeba sprawdzić silnik. Działamy z lotnisk polowych.

–Ile to potrwa?

–Może godzinę...

–Dobrze. Potem pošlesz go do drugiej bazy, przygotuję meldunek. – Landau myślał przez chwilę. – Czy mamy jeszcze coś na chodzie?

–Tak. Dwie maszyny, przy czym jedną pewną.

–A druga?

–Pracujemy nad nią.

–Trudno. Czy można przygotować jakieś zasobniki czy kontenery? Coś, co można by zrzucić?

–Duże?

–Takie, żeby można było zmieścić w nich zapisaną kartkę. Nie chcę robić powietrznego mostu!

McGraw zagryzł wargę.

–Znajdę coś. To tylko kwestia odpowiedniej wytrzymałości. Chyba że będę miał czas na przygotowanie specjalnego spadochronu.

–Nie będziesz miał, Fletcher – Landau odwrócił głowę. – Polecisz do obozu Snydera.

–Ja? Nie latałem od paruset lat.

–Nikt nie latał.

–Ale nie znam tych maszyn.

–Ci, którzy na nich latają, też musieli się przyzwyczaić. Nie mam żadnych wolnych i odpowiednio przygotowanych pilotów.

–Ale ja w ogóle nie jestem pilotem!

–Kiedyś byłeś. Poza tym ty jeden z ludzi w bazie znasz dokładne położenie obozu. Nie chcę

żadnego krążenia nad celem.

Fletcher oparł głowę na złożonych dłoniach.

–Co mam zrobić? – westchnął.

–Zrzucisz odpowiednie ostrzeżenie i rozkaz o natychmiastowym powrocie do bazy... Kiedy samolot będzie gotowy?

McGraw zerwał się z krzesła.

–Zaraz sprawdzę. Przyślę kogoś z instrukcją.

Ostatnie zdanie dobiegło już z korytarza. Fletcher wstał również.

–Nie nakładaj jeszcze helmu – Dick Colby kończył dociągać ostatnie pasy kombinezonu. –

Chcę wyjaśnić kilka rzeczy.

Fletcher spojrzał na opuszczony już przez większość mechaników, stojący w ciepłym deszczu, samolot.

–Nie mam zaufania do tych metalowych płyt lotniska, szczególnie w takich warunkach.

Lepiej zrezygnuj z rozbiegu i startuj od razu pionowo.

–Ale...

–Wiem, że nie znasz tego samolotu – Colby powstrzymał go ruchem ręki. – Ale nie jest to szczególnie trudne. U dołu kadłuba zamontowano poprzeczną klapę i specjalne deflektory na zasobnikach z dwudziestomilimetrowymi działkami. To wszystko przy ciągu silnika dochodzącym do 96 KN pozwala na gładki start.

–Gdzie jest kapsuła z meldunkiem?

–Na centralnym węźle podwieszenia. Zrzucisz ją jako bombę, nie mieliśmy czasu, żeby zmienić procedurę.

–Mam nadzieję, że nie wybuchnie.

Colby uśmiechnął się lekko. Widać było jednak, że jest zdenerwowany.

–W razie czego pamiętaj, że nadkrytyczny profil kompozytowych skrzydeł, wzmocnionych włóknami grafitowymi, daje dużo lepszą zwrotność niż w innych maszynach tego typu.

–W razie czego?

–Różnie może się zdarzyć. W sumie macz trzy tysiące czterysta kilogramów paliwa. Nie musicz robić niczego w pośpiechu.

–Oczywiście zakładacie, że łączność urwie się zaraz po starcie?

–Niekoniecznie. Macz na pokładzie radiostację systemu Singers-V, pracującą w zakresie 30-88 MHz, o wyjściowej mocy pięciu watów. Liczymy się z tym, że może zawieść. Dlatego zamontowaliśmy jeszcze brytyjskie urządzenie Merod. To najlepsza rzecz, jaką znaleźliśmy w tych magazynach.

–Sprawdzona?

–Przez nas nie. Mamy kłopoty od zbyt krótkiego czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

–Mam nadzieję, że jest łatwa w obsłudze

–Tak, zespół Eyermanna znacznie je zmodyfikował. Urządzenie jest wyposażone w modem do współpracy z pokładowym radiem. Jego istota polega na odpowiednim przygotowaniu przesyłanej informacji w warunkach zakłóceń elektrycznych. Cała transmisja ulega przetworzeniu w krótko trwające impulsy podlegające kompresji. Nasz dekodery, dzięki przesyłowi synchronicznemu, sprawdzi bity i skoryguje ewentualne błędy. A więc wysyłaj komunikat, nawet jeśli przestaniesz nas słyszeć.

–Czy muszę je specjalnie uruchamiać?

–Nie, zagęszczony impuls zostanie wysłany automatycznie w chwili przyciśnięcia klawisza „odbiór”.

Fletcher skinął głową.

–Masz prognozę?

Colby wytrzeszczył oczy.

–W tej chwili temperatura metr nad powierzchnią ziemi dochodzi do plus piętnastu stopni.

–To wszystko?

–Jaką chcesz prognozę? W obecnych warunkach możemy przewidzieć pogodę na jakąś minutę naprzód. Z pięćdziesięcioprocentowym błędem.

–A radar pogodowy?

–Trudno cokolwiek uchwycić. Na razie jest stosunkowo spokojnie.

Fletcher włożył hełm. Colby pomógł mu wejść do kabiny i zapiąć pasy. Potem bez słowa zatrzaskał i zabezpieczył osłonę kabiny.

–Tu McGraw z wieży – usłyszał w słuchawkach. – Zaczynasz procedurę startową?

–Jetfox do wieży – Fletcher w ostatniej chwili przypomniał sobie oznaczenie kodowe. – Włączam silnik.

Przejrzał pobieżnie pokładowe instrumenty i uruchomił rozrusznik. Kiedy temperatura oleju wzrosła do wymaganego poziomu, zrobił próbę ciągu. Rozejrzał się po pustym lotnisku. Smagane deszczem baraki w oddali prawie nikły za gęstniejącą ciągle wodną kurtyną. Zaciągnięte chmurami niebo nie zapowiadało łatwego lotu.

–Jetfox do wieży. Proszę o pozwolenie na start.

–Jest pozwolenie na start – głos w słuchawkach odezwał się natychmiast. – Powodzenia.

Fletcher położył lewą dłoń na dźwigni regulacji ciągu. Prawą ściągnął lekko drążek sterowy na siebie. Mimo hełmu i słuchawek usłyszał potworny huk wypełniającyabinę. Maszyna zaczęła drżeć, ale po chwili niespodziewanie lekko oderwała się od ziemi. Przytrzymał ją na ostrym wznoszeniu, potem delikatnie regulując ciąg, przeszedł do lotu poziomego. Kiedy stery stwardniały, znowu ściągnął drążek na siebie.

–Jestem poza obszarem bazy. Wysokość dwieście dziesięć. Ciągłe wznoszenie.

–Zrozumiałem, Jetfox. Uważaj na radiowysokościomierz, szczególnie w zakresie zero-tysiąc dwieście.

Maszyna z ostro zadartym nosem wznosiła się bardzo szybko. Dopiero w chmurach gwałtowne prądy powietrzne zaczęły nią szarpać i rzucać tak, że Fletcher musiał znowu zwiększyć ciąg i zmniejszyć stromiznę toru.

–Tu wieża, jakie masz warunki? Straciliśmy cię z radaru.

–Już? – wyrwało się Fletcherowi. – Tu Jetfox – poprawił się. – Silne zawirowania.

–Mamy coraz większe zakłócenia – głos w słuchawkach rzeczywiście przerywałycałe serie trzasków.

Samolot nagle wyskoczył nad chmury. Ostre światło słońca zalało całąabinę.

–Tu Jetfox. Jestem nad chmurami. Przechodzę do lotu poziomego. Szybkość dziewięćset.

Oślepiająco biała powierzchnia w dole klębiła się i wrzała, strzelając w górę wirującymi kominami. Szybkie wiatry strumieniowe sprawiały, że coraz trudniej było utrzymać samolot na kursie. Jakieś światełko zaczęło migać na tablicy przyrządów. Dłuższą chwilę Fletcher

przyglądał się sunącym leniwie literom.

–Jetfox do wieży. Czy włączyliście latarnię?

Na ziemi musiał trwać jakiś spór, bo McGraw odezwał się dopiero po dobrej minucie.

–Tu wieża. Nie mamy w ogóle żadnej radiolatarni. W tej chwili nie pracuje też żaden namiernik. Co się u ciebie dzieje?

–Mam odczyt na osiemnastce.

Fletcher ponownie spojrzął na nieruchome już litery. HKM? Zerknął na pelengator. Kurs na południowy wschód? Ale tam jest morze.

–Jetfox do wieży. Jetfox do wieży...

Odpowiedziała mu cisza. Przeszedł na awaryjną częstotliwość, ale tutaj całe serie trzasków powodowały tylko ból w uszach. Poczul pot gromadzący się na skroniach.

–Jetfox do wieży, pięć minut do celu, rozpoczynam schodzenie – przycisnął klawisz Meroda. Krótki pisk potwierdził, że wiadomość została wysłana.

Delikatnie pchnął dźwignię ciągu, potem przycisnął ją do siebie. Zerknął na wariometr i zmniejszył trochę prędkość opadania.

–Jetfox, Jetfox, tu wieża – usłyszał w słuchawkach prawie wyraźnie.

Błyskawicznie zwiększył głośność, tak że wzmocnione przez słuchawki trzaski niemal rozdzierały mu bębunki.

–...radar dalekiego zasięgu... zakłócenia... poprzedni namiar... – jakaś okresowa zmienność sprawiła, że niektóre z urywanych słów grzmiały mu pod czaszką, a niektórych nie słyszał wcale.

–Tu Jetfox! Proszę o powtórzenie! – uderzeniem pięści prawie rozbił obudowę Meroda.

–...pułap dziewięć tysięcy metrów, kurs zmienny... zbliżają się do ciebie...

–Kto się zbliża?!

–...prędkość pięć tysięcy pięćset, powtarzam, prędkość...

–O Boże – Fletcher odruchowo szarpnął manetkę przyspieszenia. Wskazówka prędkościomierza drgnęła, zatrzymując się przy liczbie tysiąc pięćdziesiąt.

–...pięć obiektów, zbliżają się do ciebie... – głos w słuchawce wyraźnie zanikał – kurs... prędkość spada...

Fletcher przeszedł na procedurę bojową. Specjalny automat odbezpieczył działka. Na małym ekranie ukazał się wykres otrzymany z pokładowej stacji radiolokacyjnej. Żałował teraz, że nie zabrał rakiet. Z pewnym wahaniem włączył układ śledzenia celów. Jego monitor był pusty. Zasięg stacji nie przekraczał stu pięćdziesięciu kilometrów. Przy szybkości obcych – sześciu tysięcy kilometrów na godzinę – miał półtorej minuty na próbę ucieczki. Podniósł ciemną zasłonę kasku i przetarł oczy. Maską tlenową uwierała go w policzki. Ostry sygnał sprawił, że znowu podniósł wzrok. Na ekranie radiolokatora błyszczało pięć punktów. Skaczące cyferki wskazywały, że ich prędkość gwałtownie malała. Poczul, że coś dławi go w gardle.

–Jetfox do wieży! Atakują mnie!

Spokojnie, pomyślał, patrząc na zapalające się kolejno czerwone światelka alarmu. Wparł stopy w pedały, zwalniając jednocześnie podczepione zbiorniki paliwa. Ostry wywrót i poszedł w dół prawie pionowo. Po ponad dwóch tysiącach metrów ściągnął drążek na siebie. Potworne przeciążenie wgniotło go w fotel, czerń w oczach zasłoniła mu wirującą wskazówkę wariometru. Wyrównał dopiero w chmurach. „Kontakt bojowy” – pulsujący na żółto napis był

pierwszą rzeczą, jaką zobaczył po odzyskaniu wzroku.

–Jetfox do wieży. Jestem w okolicach celu. Atakuje mnie pięć obiektów.

Na ekranie radiolokatora pięć połyskujących plamek prawie zlewało się z oznaczeniem jego maszyny.

–Wykonuję manewr wymijania.

Gwałtowny zakręt sprawił, że znowu krew odpłynęła z głowy. Szary mrok na zewnątrz kabiny zgęstniał.

–Jetfox do bazy! Nie mogę ich zgubić!

Różnokolorowe symbole na monitorze zlały się w jedną całość.

–Wykonuję manewr wymijania.

Nos samolotu opadł w dół, zachwiał się i nagle cała maszyna zadarła w górę, by zawrócić w wykonanej w skosie półpętli. Grzmot silnika zagłuszał wszystkie inne dźwięki. Fletcher przerzucił samolot na drugie skrzydło i ostrym ślizgiem poszedł w dół.

–Przechodzę do lotu koszącego...

–...podaj namiar – w słuchawkach rozległ się słaby głos. – Oznaczenie kodowe...

–Jetfox do bazy! Słyszycie mnie?

–Jetfox, jesteś gdzieś nad nami.

–Snyder! – Fletcher nareszcie rozpoznał mówiącego. – Mam kłopoty.

–Spróbuj wylądować. Spróbuj wylądować!

Fletcher odepchnął drążek. Samolot wyskoczył z chmur; ale gęsty deszcz w dalszym ciągu uniemożliwiał dostrzeżenie czegokolwiek. Brązowoszara przestrzeń poniżej zdawała się nie mieć dna. Przeniósł wzrok na przyrządy.

–Widoczność bardzo słaba. Czy możecie coś zrobić?

Plamki na ekranie radiolokatora drgały ciągle w tym samym układzie.

–Zapalimy flary. Odbierasz mnie dobrze?

–Tak.

–Możemy wykonywać namiary, będę ci podawał wysokość. Teraz wynosi sześćset metrów.

Fletcher utkwił wzrok w szarości przed kabiną.

–Trzysta dwadzieścia. Za ostro schodzisz.

Drobny ruch ręki.

–Dwieście pięćdziesiąt. Ciągłe za ostro!

Ciemność poniżej trochę zgęstniała.

–Sto pięćdziesiąt... Sto.

Można już było rozpoznać przesuwające się błyskawicznie w tył drzewa.

–Osiemdziesiąt. Dobrze.

–Nad obozem będziesz musiał krążyć. Czy widzisz już flary?

–Nie.

–Sześćdziesiąt pięć... sześćdziesiąt...

Na wysokości pięćdziesięciu metrów zgasił silnik. W naglej ciszy Fletcher nie zdążył nawet jęknąć. Wtłoczonym w podświadomość odruchem położył nogi na specjalnych podpórkach i zaciągnął osłonę na twarz.

Fotel przebił osłonę kabiny walącego się samolotu praktycznie na wysokości zerowej. Mały silnik rakietowy wyniósł go prawie sto pięćdziesiąt metrów w górę, gdzie nastąpiło rozłączenie.

Fletcher oprzytomniał dopiero na jakichś siedemdziesięciu metrach. Chwycił taśmy rozwiniętego już spadochronu i złączył ugięte w kolanach nogi. Spadał wprost na skraj urwiska i było już za późno, żeby zrobić cokolwiek. Tuż przed lądowaniem podciągnął się na szelkach. Ponieważ wiatr wiał w stronę przepaści, szybko zeskoczył w nią z grani, dopóki czasza była jeszcze wypełniona. Zmienny wiatr przyciskał go teraz do stromej ściany. Odbijał się obiema nogami, wykonując kilkumetrowe skoki. Gdzieś w dwóch trzecich wysokości poczuł nagle twarde uderzenie w plecy, coś chwyciło go za nogę, zatrzymując ją w górze, kiedy reszta ciała ciągle leciała w dół. Prawie osiemdziesiąt metrów kwadratowych styłonowej tkaniny opadło na niego, uniemożliwiając dostrzeżenie szczegółów otoczenia. Wisiał teraz do góry nogami na drzewie, jakimś cudem przyklepionym do poszarpanej ściany urwiska, starając się zaczepić rękami o którąś z głównych taśm. Wreszcie podciągnął się na jakiejś gałęzi, uwalniając uwięzioną w rozwidleniu pnia nogę. Tępy ból sprawił, że puścił gałąź, ale splecione linki nie pozwalały mu opaść. Wyszarpnął przymocowany do łydki nóż i wbrew rozsądkowi zaczął je ciąć razem z uprzężą. Po którymś z kolei, zadany na oślepie ciosie poczuł, że opór podtrzymującej go materii maleje. Usiłował złapać jakąś gałąź, ale w strugach deszczu palce osuwały się z mokrych powierzchni. Spadając odrzucił nóż i skurczył ciało w oczekiwaniu na uderzenie. Było ono jednak niespodziewanie miękkie. Fletcher ześlizgnął się po błotnistym zboczu i wylądował na brzuchu w grząskiej, wypełnionej mętną wodą kałuży. Wstał po dłuższej chwili, ale ból w nodze sprawił, że usiadł znowu. Drżącymi rękami wyjął z bocznej kieszeni małą krótkofalówkę.

–Tu... – stłumiony głos przypominał mu, że trzeba zdjąć z twarzy końcówkę tlenowej maski. – Mówi Fletcher, czy...

–Tu Snyder – usłyszał przerywany zakłóceniami głos. – Co się z tobą dzieje?

–Wylądowałem.

–Gdzie? Straciliśmy cię z zamiaru.

Fletcher rozejrzał się wokół.

–Nie mam pojęcia, gdzie jestem.

–A co z maszyną?

Jej się nie udało. Wylądowałem sam.

Zdjął hełm. Strugi ciepłego deszczu moczyły włosy, zmywając błoto z karku i szyi.

–Czy możecie po mnie przyjechać? Z moją nogą jest niedobrze.

–Musimy wiedzieć, gdzie jesteś. Poszukiwania w tych warunkach mogą potrwać kilka godzin.

–Chyba nie odpadłem zbyt od trasy lotu.

–W porządku. Czy możesz wystrzelić racę?

Fletcher spojrzał w górę. Łopoczący na przyklepionym do urwiska drzewie spadochron był poza zasięgiem jego możliwości.

–Niestety. Wyposażenie awaryjne zostało na górze razem z uprzężą.

–Na jakiej górze? Słuchaj, czy nic ci się nie stało?

–Masz pecha. Z grubsza jestem zdrowy.

Zniekształcony głos przez małą krótkofalówkę zmienił natężenie.

–Mówi Mc'Cooley. Czy masz mapę?

–Nie.

–A kompas?

–Również nie. Wszystko zostało w pakiecie.

Usłyszał urywki jakiejś dyskusji.

–Dobrze. Jedziemy po ciebie. Siedź na miejscu i czekaj.

–Jak długo?

–Damy ci znać, wtedy zewrzesz przewody. Powinniśmy cię namierzyć z mniejszego dystansu.

–Ale...

–Oszczędzaj baterie.

Fletcher schował krótkofalówkę do kieszeni. Nie zasunął błyskawicznego zamka, żeby w razie czego słyszeć sygnał. Ponownie spróbował przejść w inne miejsce, ale szarpiący ból w nodze zmusił go do pozostania na środku rozległej kałuży. Na szczęście, dzięki pogodowym anomalom, mimo zimy, woda była ciepła. Nie wiedział, co myśleć o tym wszystkim. Dramatyczny lot i nagle lądowanie pozbawiły go możliwości zimnego roztrząsania wypadków. Czy to goniące obiekty spowodowały przerwę w pracy silnika? Wytarł rękawem drażniące skórę na czole ciepłe strumyczki. Jakiś dźwięk wdarł się w monotony szum deszczu. Rozejrzał się wokół. Szeroki parów wydawał się spokojny, znowu jednak usłyszał dziwny dźwięk. Szczeknięcie? Daleki okrzyk? Z kieszeni na udzie wyjął płaskie, metalowe pudełko. Odkleił uszczelniającą taśmę. Mały pistolet kalibru 9 mm był w idealnym stanie. Coś poruszyło się u wylotu parowu. Zerwał się na nogi. Z pistoletem w jednej, a krótkofalówką w drugiej ręce zrobił kilka kroków w przód. Dopiero po chwili zauważył ze zdziwieniem, że ból w kostce wydaje się dużo słabszy i stąpienie odbywa się dość sprawnie.

–Snyder – przycisnął guzik nadawania. – Zaszło coś niespodziewanego.

Zza niewysokiego nasypu wyszedł rząd ludzi w długich płaszczach. Fletcher odwrócił się i zaczął biec w przeciwnym kierunku. Zatrzymał się już po kilkunastu krokach.

–Jestem otoczony przez strażników – powiedział jeszcze spokojnie.

Kilkadziesiąt zakapturzonych postaci niosło rozwiniętą sieć.

–Tu Snyder. Wysłaliśmy po ciebie dwie grupy.

Fletcher obejrzał się do tyłu. Idącym szybko ludziom pozostawało do przebycia jakieś pięćdziesiąt metrów.

–Landau chce, żebyście wracali! – krzyknął. – To było w meldunku.

–Przestań wygadywać bzdury! Zaraz cię znajdziemy.

Fletcher zarepetował pistolet. Odskoczył w stronę zbocza.

–Są coraz bliżej.

Idący z przodu unieśli sieć do góry.

–Trzymaj się jak najdłużej! Wysyłam następną grupę!

–Brakuje im kilku metrów!

Uniósł broń i strzelił w powietrze. Chciał coś powiedzieć, ale ucisk w gardle nie pozwalał wydobyć mu żadnego słowa. Odwrócił się i z trudem odnajdując w błocie oparcie dla stóp, zaczął się wspinać na zbocze.

–Trzymaj się! Będziemy ostrzeliwać osadę!...

Porzucona krótkofalówka umilkła, wdeptana w ziemię nogami goniących go ludzi. Pomagając sobie wolną ręką, wolno pokonywał coraz bardziej stromą ścianę. Upadł, kiedy ktoś

chwycił go za nogę. Strzelił na oślep do tyłu. Pozbawione twardego oparcia stopy nie mogły wytrzymać ciężaru ciała. Fletcher poczuł, że obsuwa się w dół, wprost w nastawioną sieć. Strzelił, znowu niezbyt celując, potem jeszcze raz. Pistolet wypadł z kopniętej przez kogoś dłoni. Szorstkie sznury zaciskały się coraz mocniej. Ktoś skoczył mu na plecy. Kiedy ciężar wzrósł gwałtownie, przestał się szarpać. Po pewnym czasie podniesiono go i nie rozplątując sieci zabrano w nieznanym kierunku. Zwrócony twarzą do ziemi widział tylko błoto i nogi tych, którzy szli najbliżej. Przez cały czas nikt nie powiedział ani jednego słowa. Słyszał tylko ciężkie oddechy zmieniających się tragarzy. Zrezygnowany zamknął oczy. Otworzył je dopiero, kiedy odgłos kroków zmienił natężenie. Deski? Wykręcił głowę. Jeśli się nie mylił, byli teraz przy głównej budowli osady, którą zwiedzał z Tłuściochem. Wniesiono go do środka. Potem były jakieś schody, wąski korytarz i małe pomieszczenie, gdzie położono go na podłodze.

–Co chcecie ze mną zrobić? – spytał ochryplym głosem.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

–Puście mnie! – krzyknął. – Zaraz będą tu chłopcy Snydera. Wtedy pogadamy inaczej!
Znowu żadnej reakcji.

–Mamy karabiny maszynowe – podjął znowu. – Automatyczne granatniki, miotacze ognia!

W razie czego przetransportują z Vegi lasery!

Atmosfera w małym pokoju robiła się duszna od parujących obficie płaszczy.

–Jeśli będzie trzeba, znajdzie się nawet bomba atomowa! Wiecie, co to takiego? Nie?

Krótki błysk i wszystkie wasze rudery zamienią się w popiół.

Nikt nawet nie spojrział na niego.

–Jesteśmy cholernie potężni! Chcecie, żebyśmy zrównali was z ziemią? Chcecie wyparować? A może ginąć powoli od choroby popromiennej?

Ktoś otworzył drzwi.

–Mamy gazy bojowe...

Kilku ludzi podniosło go lekko. Znowu zaczął się szarpać, czując coraz silniejsze ukłucia strachu. Byli teraz w sali tortur, tej samej, gdzie kiedyś zniknął śledzący jego i Tłuściocha facet.

–Co chcecie zrobić?

Kilka par rąk sprawnie wyplątało go z sieci.

–Zaraz, przecież zawsze możemy się dogadać.

Wykręcono mu ręce, prowadząc w kierunku metalowego stołu z dziwnymi uchwytami.

–Nie, do cholery! Przestańcie! Wszystko wam powiem... Zostawcie mnie!

Zakapturzone postacie rzuciły go na gładki blat. Gdzieś z boku buzował ogień, w którym rozgrzewały się żelazne szczypce. Z tyłu, za jego głową, brzękał przesuwany przez jakieś tryby łańcuch.

–Nie! – Fletcher z całych sił wrywał się z zaciskanych właśnie drewnianych uchwytów. Kopnął stojącą najbliżej postać i jakimś cudem udało mu się zeskoczyć ze stołu wprost w kłębowisko zakurzonych i popleśniałych szmat. Szybko jednak kilkanaście rąk unieruchomiło go znowu.

–Zostawcie...

–Stać! – rozległ się ostry głos.

Ubrany w jasny, nieskazitelnie czysty garnitur mężczyzna podszedł do kotłującej się

grupy. Świetlisty emblemat w jego dłoni sprawił, że wszyscy zamarli. Skorzystał z tego Fletcher, wyczołgał się spod nieruchomych postaci i stanął na chwiejnych nogach.

–Jestem... – zaczął, ale mężczyzna przerwał mu ruchem ręki.

–Chodźmy.

Weszli do małego pokoju, który tak gruntownie przeszukali kiedyś z Tuściochem. Obcy zatrzasnął drzwi. Fletcher poczuł, że opadają gdzieś w dół.

–Winda? A więc w taki sposób zniknął ten człowiek... I to wy zabraliście nam księgę?

–Księgę?

–Tak. Znikła...

–To musiał być przypadek. Kiedy ktoś z dołu przywołuje podest, z góry nasuwa się na jego miejsce identycznie wyposażony pokój.

Podłoga drgnęła lekko. Mężczyzna otworzył drzwi i przeszli do długiego, oświetlonego licznymi jarzeniówkami korytarza. Fletcher czuł, że drżą mu ręce, brakuje śliny, a jednocześnie pot zalewa oczy. Przebyty szok dawał o sobie znać dopiero teraz. Zerknął na idącego obok człowieka. Jego twarz pokrywał kilkuniedniowy zarost, a krawat, choć dobrany całkiem dobrze, był fatalnie zawiązany.

–Kim jesteście? – spytał.

–Armią okupacyjną z Tau Wieloryba.

–A poważnie?

–Dowiesz się.

Fletcher poczuł, że zraniona kostka znowu daje o sobie znać.

–Boli mnie noga – powiedział. – Nie masz jakiegoś lekarstwa?

Tamten wyjął z kieszeni małą buteleczkę.

–To coś przeciwbólowego? – krztusząc się przełknął podaną pastylkę.

–W pewnym sensie.

–Morfina?

Przeczący ruch głową.

–Chyba nie LSD?

–Nie. Aspiryna.

Doszli do rozwidlenia korytarza. Mężczyzna wskazał mu plastikową ławeczkę.

–Zaczekaj tu. Zaraz wrócę.

–Skądś go znam – dwie osoby siedzące w głębi sali poruszyły się niespokojnie. – Hej, przecież to ten cwaniak Fletcher.

Dinky powoli wstał i podszedł bliżej. Wskazał kciukiem do tyłu.

–To jest Thomas.

Niewielkie, utrzymane w pastelowych kolorach wnętrze mogłoby uchodzić za hali małego motelu. Oczywiście gdyby nie fakt, że zbudowano je kilkanaście pięter pod ziemią.

–Jak się tu dostaliście? – Fletcher opadł w głęboki, miękki fotel.

–Przywieźli nas.

–Czym?

–Metrem – Thomas przysiadł się bliżej. – A ty?

–Miałem twarde lądowanie – przesunął palcami po swoim poplamionym błotem kombinezonie. – Nie wiecie, co jest z wysłanymi po was ludźmi?

Dinky i Thomas wymienili spojrzenia.

–Więc jednak kogoś wysłali... Wiesz, jakie tu są podziemia? Całe miasta, fabryki...

–Dlaczego się kryją?

–Nie wiem. Prawie nikt z nami nie rozmawiał. Wszyscy są jacyś jakby zdenerwowani...

Przerwał mu cichy szum rozsuwanych drzwi. Starszy już mężczyzna w szerokim, sportowym swetrze był tak samo nieogolony jak wybawiciel Fletchera.

–Witam panów – powiedział z bladym uśmiechem, zajmując miejsce naprzeciw. – Jestem Ian Moden. Mam was zaprowadzić do waszych...

–Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań – wpadł mu w słowo Dinky.

–Rozumiem – Moden podniósł rękę, jakby broniąc się przed natarczywością. – Chętnie udzielię wszelkich informacji...

–Gdzie, do cholery, jesteście? – wypalił Thomas.

Gdzieś za ścianą rozległ się głuchy szum, jakby ktoś pompował czy przelewał wodę pod wysokim ciśnieniem. Odpowiedział mu stłumiony odgłos pracy jakiejś turbiny.

Moden potarł lekko nieogolony policzek.

–Żeby uniknąć chaosu, zamiast odpowiadać na wasze pytania, może po prostu opowiem wszystko...

–Bylibyśmy bardzo zobowiązani – ochryplą głós Fletchera nadał temu zdaniu ironiczną wymowę.

Thomas pochylił się do przodu. Z boku wyglądało to tak, jakby miał zamiar kogoś uderzyć.

–Wszystko zaczęło się od przemysłowej eksploatacji złóż oceanicznych, a konkretnie od wybudowania ogromnych baz podwodnych z całym zapleczem. System ten rozrastał się coraz szybciej, aż stał się praktycznie autonomicznym organizmem – Moden przygryzł wargę. – Pracujący tam ludzie uznali, że tracą kontakt z resztą świata. Chcieli mieć własny system państwowy, własne siły zbrojne i być zupełnie niezależni. Wtedy zaczął rodzić się konflikt...

–Tak po prostu?

–A czemu nie? Dysponowali nieprawdopodobnym wręcz potencjałem surowcowym, a później i ekonomicznym. Wszystko byłoby dobrze, bo właściwie zgodzono się na powstanie podwodnego państwa czy raczej związku, ale kwestią sporną stały się wpadające do morza ścieki naszych fabryk. Drażniło ich to, tym bardziej że już wtedy przystosowano organizmy ludzi do oddychania bezpośrednio pod wodą, bez żadnych urządzeń i zbiorników tlenu.

–Konflikt narastał?

–Właśnie. Najpierw były groźby, potem zbrojenia. My wprowadziliśmy nowy system broni chemicznych, oni nowe rakiety. Wtedy zbudowaliśmy ogromny system połączonych bunkrów... Odcięto wszystkie złącza informatyczne...

–Wybuchła wojna?

–Być może.

–Jak to „być może”? – Fletcher zacisnął dłonie na poręczach fotela. – Co to znaczy?

–A po czym poznać, że rozpoczęły się bezpośrednie działania? – Moden westchnął cicho. – To nie czasy bombardowań i czołgów.

–Coś jednak się stało?

–Owszem. Wybuchła zaraza.

–Nie do opanowania?

–Bez przesady. Problem w tym tylko, jak ustalić jej przyczyny. Czy był to wypadek w którymś z naszych laboratoriów? Naturalny przypadek? A może początek wojny? W takiej sytuacji trudno znaleźć granicę.

–I jak zareagowaliście?

Moden usunął jakiś niewidoczny pyłek z nogawki.

–Ktoś wpadł na pomysł, żeby korzystając z pretekstu, jaki dawała zaraza, ukryć ludzi w bunkrach i wtedy uderzyć otwarcie.

–Chyba tego nie zrobiliście?

–Jak łatwo przewidzieć, ewakuacja spowodowała potworny bałagan. Załamanie organizacyjne sparaliżowało wykonanie planu. Tym bardziej że kłopoty z łącznością międzykontynentalną uniemożliwiały sprawne dowodzenie.

–A ci z oceanów?

–Również schowali się pod wodą. Nie wiadomo, czy przed zarazą, czy może mieli plan podobny do naszego.

–I pozostaliście w bunkrach?

–Tak. Jeśli oni sądzili, że nasza cywilizacja wyginęła zdziesiątkowana potworną chorobą, nie mogliśmy wyjść z powrotem. Sytuacja była tak napięta, że praktycznie od razu posypałyby się atomowe ciosy. Zresztą bałagan powiększał dezorientację. Nawet źródła z tamtych czasów nie wyjaśniają wszystkiego.

–I co dalej?

–Czekaliśmy pod ziemią, a oni pod wodą, szachując się wzajemnie strachem. To było potwornie trudne. Przecież nie można było dopuścić, żeby dowiedzieli się, że większa grupa ludzi przeżyła zarazę.

–To jakaś bzdura – odezwał się Thomas.

–Zaraz, może to tylko wersja oficjalna.

–To prawda – powiedział Moden.

–I nikt nic nie zrobił?

–Wprost przeciwnie. Pracowaliśmy nad bronią, która zapewni co najmniej dziewięćdziesięciopięć-ośmioprocentowe powodzenie przy braku koordynacji między kontynentami.

Dinky jęknął cicho.

–Masz papierosa? – nachylił się do Fletchera.

–Nie. Zmokły mi.

Thomas rzucił im wymiętoszoną paczkę.

–A ci „mnisi” na górze? – spytał.

–Cóż. Nie wszyscy wytrzymywali życie pod ziemią. Szerzyła się jakaś dziwna odmiana klaustrofobii. Nieuleczalnym wymazywano pamięć i wysyłano na górę jako potomków tych, którzy przeżyli zarazę.

–A ich filozofia?

–Myśmy ją stworzyli.

–Całą?

–Oczywiście, że nie. Trzeba było jednak usprawiedliwić brak ekspansywności i rozwoju przed ewentualnymi szpiegami, więc wymyślono te brednie o ewolucji.

–A strach przed wodą? Jej nieczystość?

–Coś musiało pozostać w podświadomości tych ludzi. W każdym razie to wymyślili sami. Moden przetarł zaczerwienione oczy.

–Prawdziwe kłopoty – podjął po chwili – zaczęły się, kiedy wróciła wasza wyprawa. Nie obrażcie się, ale przez to wszystko... także dlatego, że wróciliście dużo później, jakby o was zapomniano. W pierwszej chwili myśleliśmy, że wasze działania to prowokacja podwodnych.

–Nie mogliście się z nami skontaktować?

–Kiedy zrozumieliśmy, kim jesteście, powstała obawa, czy zrozumieli to również podwodni. Czy przypadkiem nie wezmą was za naszych ludzi i nie domyśla się w ten sposób, że istniejemy.

–I co się stało?

–Napięcie cały czas rosło. Padaly sprzeczne decyzje, praktycznie zaczęła się panika. Potem już tylko rosły kolejne stopnie alarmu...

–Nie mogliście tego powstrzymać?! – Thomas poderwał się z siedzenia.

–Zaraz – przerwał mu Dinky. – A te dziwne zakłócenia, anomalie pogodowe? Moden zamknął oczy.

–To uboczny efekt działania naszej broni – powiedział sucho. – Wczoraj rano zniszczyliśmy życie w morzu.

–O Boże – Thomas opadł na fotel.

Fletcher uśmiechnął się z sarkazmem.

–Zegnajcie, rybki – mruknął. – A tak was lubilem.

–Nie mogę przecież powiedzieć wam tego, czego nie wiem – Fletcher odgarnął rozwiewane przez morski wiatr włosy. – Powtarzam tylko to, co słyszałem od Modena.

–Później dowiemy się reszty – wtrącił Thomas. – Mają nas zebrać i wtedy zrobią jakąś konferencję.

–Tak czy tak sytuacja nie wygląda zbyt ciekawie.

Snyder usiadł na błotniku ciężarówki obok Reissa.

–Zaraz – poderwał się Mc'Cooley. – Przecież nie można tego tak traktować.

–Czego?

–Jeśli nawet zniszczyli życie w morzu, to zostają jeszcze układy automatyczne. Nic o tym nie mówił?

–Owszem. Błyskawiczny atak najprawdopodobniej uniemożliwił natychmiastową kontrolę.

Fletcher zaciągnął się dymem, wolną ręką ściszył trochę muzykę z małego magnetofonu.

–Pozostają jednak rakiety odwetowe – strząsnął popiół z rękawa. – Przypuszczalnie gdzieś zakopane są silosy, które wyrzucą swoją zawartość, jeśli w odpowiednim czasie nie nadejdzie rozkaz odwołujący. W tej chwili tysiące ludzi bada dno morskie, żeby wykryć tajne bazy.

–Ponieważ nie jest możliwe, żeby odwołujący rozkaz nadszedł, więc w każdej chwili możemy się spodziewać rakiet nad głowami?

–Tak. Prawdopodobieństwo unieszkodliwienia choćby większości jest raczej nikle – Fletcher przyjrzał się ogieńkowi na końcu papierosa. – Chodzi o to, żeby znaleźć ich jak najwięcej.

Mc'Cooley potrząsnął głową.

–Jak ty możesz to tak mówić! – prawie krzyknął. – Palisz papierosa, słuchasz kretyńskiej

muzyki i mówisz, że świat się wali, takim głosem, jakbyś oznajmiał rozdeptanie biedronki.

–A jak powinienem to powiedzieć?

–O Boże, nie rozumiesz, że wszystko upada? Że to już może koniec?!

–Co to ma do rzeczy?

–Właśnie – wtrącił wyraźnie zainteresowany Tłuścioch. – Jak powinien to powiedzieć?

Mc'Cooley załamał ręce.

–Mam nadzieję, że twój cholerny cynizm kiedyś cię zeżre.

–Może! – zdenerwował się Fletcher. – Widzę, że wybaczyłbyś mi nawet, gdybym to ja wywołał tę wojnę, o ile tylko padłbym na kolana i walił się w piersi. Jednak jeśli ktoś wzruszy ramionami, powiesiłbyś go na najbliższej gałęzi.

–Czy nie rozumiesz, co się dzieje?! – Mc'Cooley przewrócił oczami. – Jak możesz...

–Ty idioto! Z tobą w ogóle nie można rozmawiać!

–Co robisz? W takiej chwili...

–Nie rób z siebie cholernej zakonnicy!

–Spokojnie – wmieszał się Snyder.

Tłuścioch w porę powstrzymał zwiniętą pięść Fletchera.

–Przestańcie się klócić.

–Przecież nie można go słuchać!

–Chodź – Tłuścioch odciągnął Fletchera w stronę wydm. – Aleś się zrobił nerwowy.

Chciałeś go zarżnąć?

–A co? Mam sobie sam podciąć żyły, bo śmiem nie dość egzaltować się wszystkim wokół?

–Przez te twoje ciągle klótnie ktoś ci kiedyś nabije wreszcie porządnego guza. W końcu trafisz na bardziej agresywnego.

Usiedli na szczycie skarpy nad plażą. Czerwieniejące wśród coraz rzadszych chmur na zachodzie słońce kryło się właśnie za poszarpanymi murami osady mnichów na pobliskim wzgórzu. Zryte gąsienicami piaski plaży na dole przypominały ogrom prac prowadzonych przez podziemnych.

–Ciekawe, czemu nas tu przywieźli?

–Żebyśmy mogli pooddychać morskim powietrzem – Fletcher zapalił następnego papierosa.

–Przestań, stajesz się nudny.

–Jestem wściekły.

Wiejący od morza wiatr sypał popiołem.

–Stawiają nam jakiś barak – podjął Tłuścioch.

–Barak? Potężny budynek z jakiegoś szybko krzepliwego tworzywa. Zdaje się, że prawie nikt z naszych nie chce zejść do bunkrów.

–Dziwne, kosmonauci nie powinni mieć klaustrofobii – Richards podniósł jakiś kamyk. – Pytałeś może, co to był za huk w nocy, kiedy szliśmy ze staruszką?

–Tak. Te podziemne katakumby trzeba wentylować, a urządzenie filtracyjne przedmuchiwać.

–Z takim hukiem?

–Weź pod uwagę kubaturę i wyobraź sobie, do ilu atmosfer trzeba sprężyć gaz, żeby przepchnąć taką masę powietrza.

–A ciepłe wiatry?

–To samo. Po prostu zużyte powietrze.

Tłuścioch rzucił kamyczek w dół.

–Nie bali się, że wykryją to podwodni?

–Cały czas żyli w strachu. Ale akurat system wentylacyjny był dość bezpieczny. Żeby go wykryć, trzeba by dysponować rozpoznawczymi satelitami, a żadna ze stron nie chciała używać łączności radiowej ani niczego w tym rodzaju.

–A te pięć obiektów, które cię goniły? To ich samoloty?

–Powiedzmy raczej pojazdy. Nie chcieli mieć niczego w powietrzu nad terenem przestrzeni kontrolnej.

–Bali się zakłóceń?

–Nie, bałaganu. W każdej chwili mógł przecież nastąpić kontratak. Wtedy jeszcze trzeba było się z tym liczyć.

–A teraz już nie?

–Teraz może być już tylko odwet. I to automatyczny.

Fletcher przydeptał na wpół wypalonego papierosa.

–Interesuje mnie jedna rzecz – powiedział. – Ich stosunek do ludzi na powierzchni... tych mnichów.

–Tak?

–Dlaczego rozstrzeliwali publicznie opornych?

–Żeby resztę trzymać w posłuchu.

–Nie o to mi chodzi...

–Przecież z powodu choroby nie mogli ich zabrać z powrotem na dół, a danie im wolnej ręki groziło przewrotem, w konsekwencji zaś wykryciem przez podwodnych.

–Tak, ale oni utrzymują, że struktura władzy mnichów była autonomiczna. Sami nie wiedzą, dlaczego stała się tak tajna i zamknięta.

–Ale samolot im dostarczyli...

Fletcher spojrzał w dół. Całe hektary plaży i skarpy uniesiono do góry na specjalnych kratownicach. Z wylotów ogromnych tuneli wypelzały żelazne góry na gaśienicach i powoli zanurzały się w morzu. Samobieżne konstrukcje wielkości średniego krążownika nie wydawały prawie żadnych odgłosów. W przerywanej chrzęstem piasku ciszy wyglądało to tak, jak projekcja jakiegoś filmu, w każdej chwili niewidzialny operator mógł włączyć dźwięk, który powinien sparaliżować wszystko wokół. Ledwie widoczne w oddali, krążące wysoko w górze aparaty jak drapieżne ptaki co chwilę spadały w dół, by musnąć zaledwie powierzchnię wody i znowu wznieść się na niedosiężny dla mew pułap.

Tłuścioch spojrzał na zegarek.

–Niedługo przyleci Landau – powiedział cicho. – Spotkasz się z nim?

–Nie, jestem zbyt zaszpanowany przez te ciągłe podróże.

Fletcher wstał, otrzepując piasek ze spodni.

–Idę poszukać jakiegoś łóżka.

–Do zobaczenia jutro... jeśli oczywiście będzie jeszcze jakieś jutro.

Fletcher wstał zmęczony całonocnym przewracaniem się z boku na bok. Ochlapał wodą twarz w małej łazience i trąc czerwone z niewyspania oczy, wyszedł na korytarz. Niewielki, zbudowany w pośpiechu dom nie był jednak źle wyposażony. Zszedł po wyłożonych grubym

dywanem schodach, minął grających w karty Sneatha i Novarre, zatrzymał się przy lśniącem kontuarze z informacyjnymi końcówkami. Przez chwilę patrzył na wyświetlane wiadomości, potem przeniósł wzrok na widoczne za panoramicznym oknem, rozwalające się zabudowania osady mnichów. Sięgnął do kieszeni, ale przypomniał sobie, że jest na czczo. W drzwiach jadalni wpadł na Snydera.

–Nie idź tam, jeśli ci życie mile!

–Co się stało? – Fletcher zajrzał przez jego ramię do środka.

–Cofam wszystkie obraźliwe i niesłuszne wypowiedzi, jakie rzuciłem pod adresem naszych kucharzy. Ci tutaj... – Snyder rozejrzał się rozpaczliwie. – Gdzie jest najbliższa toaleta?

–Aż tak?... Tam.

Fletcher przepuścił go bokiem. Chwilę postął w otwartych drzwiach, potem cofnął się i wyjął kilka kanapek z automatu. Żując bezbarwny chleb ruszył znowu korytarzem. Przy jednym z okien Reiss i Greetz bawili się zgadywaniem, które z szeregu drzwi otworzą się pierwsze. Przed każdym z nich leżała spora kupka monet. Greetz wstał nawet na jego widok, ale Fletcher kiwnął mu ręką i skręcił w bok. Nie miał ochoty na żadne rozmowy. Przystanął przed rozwidleniem i zapalił papierosa. Zza pobliskich, niedomkniętych drzwi dobiegł cichy głos.

–...nareszcie! Koniec tych rozgrywek. Czy to ważne, czy Landau, czy Redfield? Teraz już nie.

–Nie znasz tej kliki. Założę się, że jeszcze wytną jakiś numer.

–Jaki? Co w tej sytuacji można zrobić?

–Znam tego spryciarza z Vegi. On na pewno nie zrezygnuje. Nawet jeśli wokół zaczną rosnać atomowe grzyby.

–Przesadzasz, Landau był mocny, kiedy opierał się na sukinsynach w rodzaju Snydera, Novarry czy Fletchera... O rany, nie masz pojęcia, co to za dobrana grupa. Ale teraz jest już nikim.

–Zobaczymy...

Fletcher rzucił na podłogę dopiero co zapalonego papierosa i ruszył dalej. Musiał gdzieś rozładować natłok myśli. Wrócił do klubu, przez chwilę krążył między stolikami, potem przysiadł się do Modeny.

–Co się stanie z mnichami, jeśli uda wam się zneutralizować podwodne rakiety? – spytał. Tamten wzruszył ramionami.

–Tylko część będzie można zasymilować. W końcu łatwiej jest wymazać pamięć niż zmienić światopogląd.

–Pozwolicie dalej egzystować ich osadom?

–Nie wiem.

–A jak pan myśli?

–Chyba tak. Oczywiście wszelkie ekscesy w stylu sal tortur czy rozstrzeliwania z powietrza zostaną zakazane, ale...

–Będą mieli pewnego rodzaju autonomię?

–Tak. Tak sądzę.

–Jak długo?

–Na pewno nie w nieskończoność. Pozbawieni możliwości rodzenia dzieci nie przetrwają zbyt długo, a dopływu nowych kadr już nie będzie.

–Bez względu, jak potoczą się sprawy?

–Właśnie.

Moden mieszał powoli swoją kawę.

–Czy nie sądzi pan, że wasze bunkry przetrzymają eksplozję? – podjął Fletcher.

Tamten uśmiechnął się z ironią.

–Szczерze mówiąc nie.

–Dlaczego?

–Przecież tamci rozwijali swoją broń tak samo długo jak my – pociągnął łyk kawy. – Ja nie wierzę w te bzdury, jakoby oni nie wiedzieli o naszym istnieniu. Nikt nie jest aż tak głupi.

–Więc co będzie?

–A co chce pan usłyszeć?

Fletcher wstał i również przyniósł sobie kawę. Była letnia, tak że wypił ją duszkiem.

–A gdyby wszystko poszło, powiedzmy, nieźle... Kiedy wyprowadzicie ludzi spod ziemi?

–To nie jest odpowiednia chwila na roztrząsanie wszystkich możliwości.

–A jednak chciałbym znać pańskie zdanie.

Moden odstawił pustą filiżankę.

–To nie jest takie proste. Przecież nie powiem nagle: „Jazda na górę”.

–Więc kiedy?

–We właściwym momencie.

–A konkretnie? – nie dawał za wygraną Fletcher. – Za miesiąc? Rok?

–Wie pan, taka wiadomość musi być umiejętnie podana. To nie jest sprawa dni czy tygodni...

–Lat?

–Pan mi się stara wmówić dziwne rzeczy...

–Chcę wiedzieć kiedy.

–We właściwym momencie – powiedział Moden uprzejmie.

Fletcher podniósł się ciężko.

–Dziękuję za informacje.

–Drobiazg. Cała przyjemność po mojej stronie.

W pokoju panował ciągle ten sam bałagan. Fletcher wziął kurtkę i wyszedł na zewnątrz. Nie miał ochoty przebywać wśród grających w karty, pijących czy ogłuszających się muzyką w pokojach ludzi. Minął jakieś ruiny i przez rzadki lasek dotarł do wydm. Dopiął błyskawiczny zamek. Znowu zaczynało robić się zimno. Śnieg jeszcze nie padał, ale niebo znowu zaciągało się ciężkimi chmurami. Brnąc w pomieszany z małymi muszelkami piasku, dotarł na brzeg morza. Nie był sam. Kilkadziesiąt kroków dalej, na środku plaży, stał ktoś z założonymi rękami i pochyloną głową. Rozpoznał go od razu. Kevin Landau wydawał się teraz strasznie samotny. Fletcher powlókł się w tamtą stronę.

–Jesteś – Landau ani na chwilę nie podniósł oczu, a jednak wiedział, z kim rozmawia. – Czekam na kogoś.

–Przeszkadzam?

–Nie.

Silny wiatr sypał piaskiem w nieruchome, porzucone przez ludzi maszyny. Kilka mew przysiadło na monstrualnych gąsienicach najbliższej platformy.

–Ale spokoj...

–Właśnie – Landau podniósł głowę. – Zaraz dowiem się, co jest grane.

–Jak?

–Nie każdy popada w lenistwo.

Fletcher dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nawet bez swojego biurka, telefonów i komputerów Landau jest twardym człowiekiem.

–Nie mogę już tam wytrzymać – powiedział cicho.

–Ja też, ale z innych powodów.

–Skąd wiesz, jakie są moje?

–Masz dość ludzi i ich reakcji. Drażni cię ich zachowanie... Mam rację?

–Tak. Ale skąd wiesz?

–Po prostu wiem, że nigdy się nie zmienisz. Poza tym pracuję tylko z ludźmi, po których wiem, czego się spodziewać.

Fletcher zmełł przekleństwo. Wiatr ucichł trochę, za to od strony lądu przelatywały kolejne mewy. Ich pisk był drażniący. Gdzieś z boku siedł mężczyzna w jaskrawym kombinezonie.

–Na niego czekasz?

–Tak.

Obcy zbliżał się coraz szybciej. Był bardzo zdyszany.

–Pan Landau?

–To ja.

–Chciałem z panem porozmawiać!

–Proszę mówić przy nim.

Mężczyzna z trudem uspokoił oddech.

–Już w nocy odkryto pierwsze siedziby podwodnych. Są bardzo stare. Najprawdopodobniej nikt w nich nie przebywał. Rano dostaliśmy potwierdzenie.

–Co to znaczy?

–Nigdy ich nie było. To znaczy, nie było niebezpieczeństwa z ich strony.

–Czy jest jakieś wytłumaczenie?

–Tak. Najprawdopodobniej kiedy podczas zarazy my zeszliśmy do bunkrów, oni ukryli się na dnie, zrywając całkowicie kontakt z powierzchnią. Widocznie nie byli na to dostatecznie przygotowani.

–Dlaczego nie wyszli z powrotem?

–Być może, bali się zarazy... W każdym razie wyginęli wiele lat temu.

–Siedzieliście tak długo w strachu pod ziemią, a tam przez cały czas nie było nikogo? – prawie krzyknął Fletcher.

Mężczyzna nawet nie odwrócił głowy.

–Czy wszyscy już o tym wiedzą? – spytał Landau.

–Nie.

Fletcher chciał coś powiedzieć, ale żadna z tysięcy kotłujących się w głowie myśli nie chciała przybrać kształtu słów.

–To dobrze – głos Landaua był spokojny. – Dziękuję za wiadomość.

Personel do spraw mnichów był stanowczo dobrze zbudowany. A przynajmniej znaczna

jego część. Fletcher jednak poczuł dreszcze na widok kąpiących się w czarnym listopadowym morzu dziewczyn. Pociągnął kolejny łyk z opróżnionej już do połowy butelki, ale jakoś nie zrobiło mu się ciepło. Grzęznąąc w piasku ruszył pod górę, gdzie gęste ciemności rozpraszało kilka lotniczych reflektorów. Kolorowe dymy prawie zakrywały tańczących wokół ognisk, rozchelstanych ludzi. Noc grzmiała poplątaną muzyką z dziesiątków czy setek radiodbiorników i magnetofonów. Wystrzeliwane przez kogoś flary opadały powoli na spadochronach, mnożąc ruchliwe cienie ludzi. Fletcher pociągnął następny łyk, czując, jak ostry, gryzący płyn rozlewa się po całym organizmie. W jakichś zaroślach zauważył Snydera obejmującego dziewczyny wyglądające na sekretarki.

–Naprawdę jest pan kosmonautą? – spytała jedna z nich.

–Kotku, nie było cię jeszcze na świecie, kiedy prulem z laserów do monstrów z innej galaktyki...

–Och... – zarzuciła mu rękę na szyję.

Jakaś kobieta podbiegła do Fletchera. Mignęły mu przed oczami jej czarne, kręcone włosy, potem poczuł w ustach jej giętki, bezczelny język. Potem oderwała się lekko i pobiegła dalej, rzucając jednak do tyłu ciekawe spojrzenie. Jeszcze ktoś wylonił się z mroku. Dopiero z bliska rozpoznał spoconą twarz Tłuściocha.

–Dobrze, że jesteś. Kazali mi ściągać ludzi, ale trzeba to było zrobić, zanim pojawiły się panie, teraz...

–Po co?

–Jakaś oficjalna uroczystość. Chodź – Richards pociągnął go prawie siłą.

W obszernym hallu ich nowego budynku ustawiono długi stół. Miejsca wokół świeciły jednak fatalnymi pustkami. Otoczona przez kilkadziesiąt osób kobieta unosiła właśnie wypełniony winem puchar. Fletcher podniósł swoją butelkę.

–Mieście swoje kłopoty tam w przestrzeni, dużo kłopotów – melodyjny głos klócił się ze skandowanym miarowo tekstem. – Nam tutaj też nie szło najlepiej. Ścieżki, jakimi chodzi człowiek, są kręte... Ale znów jesteśmy razem i bez względu na przeszłość możemy iść dalej. Cóż więcej mogę powiedzieć? Witajcie w domu, chłopcy!

–Większość chłopców ugania się po krzakach – wypalił Fletcher.

Kilkanaście głów odwróciło się w jego stronę.

–Aż mnie skręca od tych banalów – dodał głośniejszym głosem. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale Tłuścioch wyprowadził go na korytarz.

–No i co wyrabiasz?

–Ja?

–Wybacz, ale ilekroć wypijesz za dużo, stajesz się naprawdę nieprzyjemny.

–Bo tylko wtedy mam odwagę mówić prawdę, tak?

–O co ci chodzi?

–Szlag mnie trafia, jak widzę to wszystko! Tu od dawna nie ma miejsca na prawdziwe myśli czy uczucia. Na prawdziwą walkę. Obowiązują tylko jej pozory. Udawanie szczęścia, udawanie działania i wszystkiego.

Richards skrzywił się z niesmakiem.

–Jeśli świat jest taki zły i ludzie są źli, to może zamiast bezskutecznie go naprawiać, lepiej nauczyć się w nim żyć?

–Nic nie rozumiesz, do cholery?

–A co mam rozumieć? Przecież nie powieszysz się z powodu kilku bzdur.

Fletcher cisnął butelką w ścianę.

–Idź się prześpij. Tak będzie lepiej – Tłuścioch kopnął jakiś odłamek szkła.

Dobiegające zza okien wrzaski, nierówne śpiewy, urywane chichoty, całe to spiętrzenie dźwięków i błyskające w jakimś nieprawdopodobnym rytmie światła sprawiały, że atmosfera stawała się coraz mniej realna.

Fletcher na chwiejnych nogach powlókł się do pokoju. Upadł na łóżko nie mogąc uporządkować myśli. Jakieś echa ostatnich wydarzeń kołatały mu po głowie, nie pozwalając zaakceptować ani tego za oknami, ani tego, co czuł w sobie. Zerwał się nagle i zaczął wrzucać do jakiejś walizki rzeczy, które podeszły mu pod rękę... Dopiął ją z trudem, a kiedy mimo to puszczała, zdjął kurtkę i okręcił ją rękawami. Potem, objając się o ściany, wyszedł na zewnątrz. Z trudem przebrnął przez drgające w oblędnym tańcu, rozpalone ciała. Czuł, że w tym, co chce zrobić, tkwi pierwiastek szaleństwa. Oblęd zawsze przerażał go i odpychał, zawsze budził lęk, i dlatego chciał być normalny. Jednocześnie jednak szaleństwo fascynowało go i pociągało od dawna. Wśród rozgrywających się wokół opętanych scen gubił się i błędził być może dlatego, że chciał być taki, jak otaczający go ludzie. Być może też wszystko wokół trąciło szaleństwem, a on sam w nikim już nie potrafił odnaleźć swojej starej normalności. Nie chciał niczego przewartościowywać, ale nie chciał też być reliktem czegoś, co odpycha tylko dlatego, że jest sztuczne. Myśli plątały mu się coraz bardziej.

–Gdzie idziesz?

Odwrócił głowę.

–Jestem tutaj.

Richards siedział pod pozbawionym liści drzewem.

–Idę do mnichów.

–Co ci tym razem odbiło?

–Już postanowiłem.

Tłuścioch wstał ciężko i krzyknął w kierunku stojącej kilkanaście kroków dalej sylwetki.

–Szefie, niech pan posłucha, co on znowu wymyślił.

Landau podszedł bliżej.

–O co chodzi?

–Może oni mają rację? – głos Fletchera załamał się nagle. – Może człowiek rzeczywiście jest tylko jednym z ogniw ewolucji i nie powinien nic robić?

–Daj spokój – Tłuścioch również chwiał się na nogach. – Przecież to tylko wymyślona idea.

–Każda jest wymyślona.

–Ale tę stworzyli, żeby trzymać mnichów w posłuchu.

–No to co?

–To bzdury wyssane z palca.

–Czy bzdury nie mogą być dobre?

–Ale to tylko wymyślone, tak dla picu – powtarzał uparczywie Tłuścioch.

Landau odsunął go ruchem ręki.

–Dlaczego to robisz? – spytał sucho.

–Nie umiem tego powiedzieć. Może chcę w ten sposób zakończyć moją prywatną wojnę, a

może od niej uciec.

–Jaką wojnę? O czym ty mówisz?

–O ciągłych starciach z ludźmi, światem i samym sobą!

Fletcher ruszył dalej.

–Przestań się wygłupiać!

Przyspieszył kroku.

–No czego, do cholery, chcesz?! – głos z tyłu był coraz słabszy.

Fletcher minął zarośla wegetujące na wydmach. Chłodny wiatr odciął go od odgłosów zabawy. Ocieężały wkroczył w na pół zrujnowane, fantastyczne zabudowania osady mnichów. Wszystko wokół falowało lekko w ciemnościach, mrok gęstniał i wydymał się, współgrając ze zwijającym się w ósemki, drewnianym chodnikiem. Uformowane przez epigonów Gaudiego kamieniczki unosiły się w górę. Kominy, poszczególne dachy, ściany i fundamenty szybowaly gdzieś w dal, szukając drogi między gwiazdami. Wysokie wieże gięły się i pulsowały spazmatycznym ruchem. Gorący oddech piwnicznych okien sprawiał, że wszystko traciło twardość, wszystkie kanty miękły, a krawędzie traciły ostrość. Fletcher czuł, że to spada, to unosi się w powodzi puszystych i zmiennych kształtów. Zgubił gdzieś walizkę. Bez kurtki było mu coraz chłodniej.

Nagle stanął przed żelaznym, kanciastym przedmiotem. Błędnym wzrokiem powiódł po ubłoconych kołach z grubej gumy, stalowych zderzakach, błyszczącej masce i całej masie jakichś kanistrów, reflektorów, poplątanych przewodów, dźwigni i uchwytów.

Landau zeskoczył z blokującego drogę jeepa.

–No dobrze, zrobiliś scenę, odegrałeś się na mnie i na wszystkich, a teraz siadaj.

Jak zwykle przy chłodzie, był opatulony w grubą kurtkę, dwa szaliki i prawie zasłaniającą oczy, przepastną czapkę.

–Przecież mówię, w porządku. Pokazałeś, że masz wszystkich w dupie, udowodniłeś, że możesz wszystko, ale na dzisiaj wystarczy. Siadaj.

Fletcher zajął miejsce obok kierowcy. Landau ruszył powoli. Dłuższy czas przeżuwał jeszcze swoją wściekłość, ale potem powiedział spokojnie:

–Mam dla ciebie zadanie. Zejdiesz z Richardsem pod ziemię i dowiesz się paru rzeczy. Struktura władzy, organizacja i tak dalej.

Jakaś chichocząca para przemknęła tuż przed maską.

–Redfield nie może nas ubiec... Zresztą w tych warunkach to robota tylko na tydzień.

Fletcher rozparł się na siedzeniu. Oprzytomniał już zupełnie, ale jednocześnie zrobiło mu się dziwnie lekko. Czuł, że ma ochotę przyłączyć się do ludzi tańczących nago wokół najbliższego ogniska. Tym bardziej że była tam kobieta z czarnymi kręconymi włosami. Sama. Landau musiał się czegoś domyślić, bo zatrzymał samochód.

–Wysiadasz?

–Tak.

–Dobra. Tylko wyjmij tę cholerną rękę zza kołnierza, bo mimo wszystko szlag mnie trafi.

Spis treści

[1987](#)